

De. II 1.
TOM CCLXIX.

ROK 68.

SERYA 9.

ZESZYT 807.



IBLIOTEKA

WARSZAWSKA.

M A R Z E C.

1908.

TOM I.—ZESZYT 3.

WARSZAWA.

ADRES REDAKCYI I ADMINISTRACYI: KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE 5.

—
1908.

TREŚĆ ZESZYTU.

	<i>Str.</i>
1. ŁUNA, — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	433
2. PIERWSZY GENERAL-GUBERNATOR KRESOWYCH PROWIN- CYJ.—przez <i>Michała Rollego</i>	469
3. TRAGEDYA SUMIENIA,—przez <i>W. Gostomskiego</i>	515
4. POLSKA SZTUKA STOSOWANA,—przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	546
5. RUCH UMYSŁOWY W NIEMCZECH,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i> . . .	563
6. PIŚMIENNICTWO:	
Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staat. Die Polenfrage von Ludwig Bernhard,—przez <i>Dra Ignacego Zielewicza</i>	598
Cyprian Norwid, eine Auswahl aus seinen Werken, übersetzt und eingeleitet von J. P. d'Ardeschah,—przez <i>M. G.</i>	609
7. KRONIKA MIESIĘCZNA:	
Komitet jubileuszowy Słowackiego. — Zamknięcie „Oświaty“ wileń- skiej.—Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników rolnych.—Towarzystwo Biblioteki publicznej.—Prawda o żargonie	612
8. WSPOMNIENIA POZGONNE:	
Ś. p. Karol Jurkiewicz i ś. p. Jan Ludwik Popławski,—przez <i>Z. D.</i> . . .	627
9. WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE	629

Do niniejszego zeszytu dołącza się Dodatek „PRACA“ № 3.



De II 1.

ŁUNA.

XVII.

— Pan bywa tu często? — na ulicy spytał Obroński.

— Nie byłem od roku...

— Ale księżniczka wpadła panu w oko? hoża dziewczyna mimo brzydkich rysów — najobojętniej mówił Obroński.

Paweł zmieszał się i doznał uczucia, którego się doświadcza, gdy niespodzianie w oknie ukaże się głowa i ktoś zagląda do mieszkania. Mruknął coś niewyraźnego w odpowiedzi. Obrońskiemu zaś przemknęła wówczas myśl, żeby wtajemniczyć Pawła w swoje zamiary i wyznać wszystko z prostotą, ułatwić i jemu i sobie, wahał się chwilę — i zamilkł. Na rogu pożegnał Pawła, który udał się do Kamienieckich i, zwolniwszy kroku, ruszył do domu. Widok ulicy był niezwykle. Tłum sunął wolno, zbity w gromady, jak gdyby podzielony na grupy i w jedną tylko stronę. Co jakiś czas tworzyły się na chodniku przerwy, znaczne odstępy, długie przestrzenie pustki, i mogło się zdawać, że jakaś niewytłómaczona obawa tłoczy ludzi w kupy. Pojedyńczych, śpieszących celowo przed siebie, codziennych przechodniów nie było. Panowała cisza. W martwym milczeniu odpoczywała asfaltowa równia bruku. Biegły po niej w dal spojrzenia, wypatrując, kiedy wreszcie ukaże się i zatętni goniec i zwiastun wydarzenia, rycerz dnia, którego w niepokoju wyczekiwały bezczynne tłumy. W jakiejś chwili uwagę spacerujących zwrócił chłopak, pędzący środkiem ulicy. Podrzucił do góry i łapał i znowu podrzucił butelkę... Zapadał przedwczesny zmrok pochmurnego wieczora, nudne i słotne były niebiosa.

Obroński ze wstrętem torował sobie drogę, pogardliwie roztrącał, gniewnie odpychał motłoch, a w kieszeni mocno ścisnął rewolwer. Przygotowany był w każdej chwili na wszystko. W domu miał całą kolekcję wyroków śmierci oraz listów z pogroźkami rozmaitego rodzaju, którymi zasypywano go od roku, od czasu, gdy, rozszoszczony bezmyślnym strajkiem, pozamykał wszystkie swoje fabryki. Poczucie niebezpieczeństwa dodawało mu jak zwykle energii. Zuchwale zaglądał w twarze, starając się w mroku rozpoznać i zmierzyć nieustraszonem spojrzeniem wroga, który czyha na jego życie, tchórza, który strzeli z tyłu, z zasadzki, podle, który niezawodnie chybi... (zadrży niewprawną chamską ręką!) I zwalniał kroku. Szedł w przeciwnym niż tłum kierunku, więc coraz to zanurzał się w ciżbie, a wówczas wydawało mu się, że otoczony jest przez zbirów, że to jest moment stanowczy, że pochwyca go wnet, obezwładnia, udusza... Potem z ulgą wydostawał się na puste miejsce. Gdyby to było możliwem, dosiadłby konia i runąłby z koniem na chodnik i przejechałby się po gawiedzi... Jedno mgnienie zabawiał się myślą o takim miazdzącym cwale, o przerażeniu gapiów... Nosił w sercu pogardę do próżniaczek, wolnościowej, rewolucyjnej hołoty, włóczącej się ulicami w tem jakimś oczekiwaniu, z bezmyślną nadzieją, z podłym strachem na dnie małych dusz; do nikczemnej hołoty, której przed tygodniem jeszcze nie było, która zniknie na pierwszy odgłos strzału, która, nie czyniwszy nic, chełpliwym wrzaskiem napełnia miasto; do niewolników, do gawiedzi ulicznej, która słuźalczo korzy się przed siłą, przed tym, który krzyczy najgłośniej; do ciurów, sunących ławą za rewolucją; do motłochu bezimiennego,—do tych, których jest o wiele za wiele... A nienawidził ukrytych kierowników, niewidzialnych sprawców, podziemnych pracowników, którzy oddawna przygotowywali, z niezmordowaną zaciekłością podkopywali się, przebiegle przez długie lata snuli przedsię swojej roboty... Z tymi chciałby się spotkać, i zmierzyć i stanąć do walki... Ta chwila była może bliską. Od szeregu dni śledził, badał, szukał tajemnych ściegów, sekretnych przejść, po nici dochodził do kłębka, aż natrafił na główną sprężynę, odkrył gniazdo spisku... I postanowił działać... Niecierpliwie drżały mu ręce, żadne czynu... Z zakamarków duszy wypełzły okrutne, krwiożercze instynkty... okrutnem zadowoleniem przejmowało go złudzenie władzy, złudzenie, iż trzyma w garści losy nieprzyjaciela...

Zatrzymał się w bramie pałacu, w którym mieszkał, ostatniem wzgardliwem spojrzeniem przebiegł po mrowiu ludzkim, po nikczemnym tłumie. Rad był w duchu, że skończyła się owa

podniecająca a nużąca przechadzka. Sam otworzył sobie bramę. W ogromnych salonach lokaje zapalali już światła i czynili przygotowania przed wielkiem zebraniem, które miało odbyć się tego jeszcze wieczoru. Cały zastęp posługaczy zdejmował niemające ceny gobeliny, któremi okryte były ściany, wynosił wielkiej wartości obrazy, zasłaniał przesłiczne posagi. Gospodarzowi chodziło snać o ukrycie przed gośćmi przepychu piękna, którym otaczał się w samotności. W tak zwanej marmurowej sali ustawiano rzędy najprostszych wiedeńskich krzeseł. Obejrzawszy wszystko dokładnie, spędziwszy po kilka chwil to tu, to tam, pod jakimś obrazem, skazanym na wygnanie, który szczególnie kochały jego oczy, u stóp posagu, nabytego niedawno, którym nie dość się jeszcze nacieszył, Obroński poszedł do swego gabinetu. Na biurku leżały listy... Przeglądał... jakaś kobieta w „płaczliwej nędzy“ była robotnica „pokorną prośbą“ na czterech stronicach prosiła go o wsparcie... komitet partji dyktował warunki... ktoś życzliwy ostrzegał go i doradzał, ażeby nie wychodził zupełnie z domu... kilku panów z liczby zaproszonych na posiedzenie wymawiało się brakiem czasu, chorobą żony, bólem głowy... pewna dama, ta przedostatnia, albo jeszcze dawniejsza, wyznaczała spotkanie... Listy nie przyniosły nic nowego. Komitet od roku bezskutecznie stawiał swoje żądania, robotnicy, którym anonimowo od czasu zamknięcia fabryki wypłacał regularnie każdego miesiąca trzy czwarte płacy zarobkowej, albo grozili śmiercią albo zwracali się o jałmużnę, bojaźliwi przyjaciele pragnęli przerobić go na tchórze, damy zanudzały... Przewidywał także, iż znaczna część zaproszonych zleknie się i nie pokaże się u niego... Wyrobił sobie opinię... Zamyślił się...

Ulubiony pies przybiegł w podskokach, dobry, wesoły, nieobludny drub, położył mu łapy na kolanach, kołatał wiernem, miłującym, psiem spojrzeniem do oczu, lizał czoło, potem z ciekawością natrętną, pracowicie chłodnym nosem obwąchiwał mu ucho, jak gdyby tam coś się ukrywało, kamerdyner przyszedł po ostatnie dyspozycye. Obroński był roztargniony i znużony. Poziwiał, słuchając zapytań służącego, gładząc psa. Była chwila, iż całe przedsięwzięcie wydało mu się chybionem w pomysle, że zastanawiał się, czy nie jest jeszcze pora odwołać. Jutro doskonały samochód firmy Lozzaine Dietrich pomknie z nim do granicy... Złoży głęboki ukłon ojczyźnie, gdzie tchórze wylewają wieczne łzy, gdzie rządzi motłoch, gdzie na łańcach patryotyzmu rozkwita bezmyślność, pożegna na zawsze... Kusiło go wspomnienie życia, które wiódł od czasu do czasu w dalekim zakątku, we własnej

willi, nad morzem „sinem,“ wspomnienie „wyspy szczęśliwości...“ Rwał i rzucając do kosza listy, dumał... Ale wiedział z góry, iż myśl o podróży jest czczą mrzonką, która nie urzeczywistni się, że to jest tracenie czasu. Wyjazd byłby ucieczką, ustępstwem, objawem słabości i strachu, byłby zwycięstwem tych, którzy chcieliby go pozbyć się. Zresztą było już za późno. Za pół godziny zjawią się zaproszeni. Przepatrzył uważnie z ołówkiem w rękę jakiś papier, który zamknął w szufladzie, przebrał się w smoking, potem zbiegł na dół, gdzie znajdowały się pokoje służby. Skierował się do izby, w której dogorywała toczona przez rak stara Ewa, jego i zmarłej siostry piastunka. Odwiedzał ją codziennie, codziennie zadawał te same pytania. I odpowiedzi były te same: „kaszlam,“ „słabo“ „nie pomaga lekarstwo.“ Ewa chciała jeszcze żyć i układała projekty powrotu do swoich, na wieś, byle zelżało tu w boku, i koło serca, byleby zcichł kaszel... Wydawało się jej, że choruje z przeziębienia, że doktor źle zgaduje, że lipowy kwiat, że ziele, które się zbiera na nowiu... Przy końcu wizyty prosiła zwykle o pieniądze dla córki, która to budowała nową chatę, to grzebała syna, to posyłała dzieci do szkoły, to krowę ostatnią sprzedała żydom za bezcen. Obroński dawał rubla, patrzył w zapadnięte oczy, w wychudzone oblicze staruszki, które przypominało mu dom, siostrę, rodziców, dzieciństwo, rzeczy dalekie, jasne i czyste, czasami pytał o jakiś szczegół z przeszłości, o nazwę kota-faworyta Ewy, o katastrofę na rzece, gdy wyrócił był łódkę, o wróżbę spotkanej w lesie cyganki... Ewa opowiadała niedołążnie i bezładnie, ale on lubił słuchać...

Gdy wrócił na górę, już pierwszy gość, staruszek Kłoniccki, rozbierał się, kaszlał, wycierał nos w przedpokoju. Napłynęli zaraz po nim inni. Obroński stał w progu, strojny w swoim smokingu i witał. Na zapytania o cel posiedzenia odpowiadał niechętnie, czasami opryskliwie, półsłówkami, nieokreślonym gościem. Gdy szeptano mu do ucha „najświeższe“ wiadomości, usniechał się z pobłażliwym niedowierzaniem. Niecierpliwił się, jeśli ktoś uprzejmy zaczynał wynosić pod niebiosa jego zbiory, i ubolewał, że gospodarz zazdrośnie ukrył takie skarby... O pewnej godzinie kazał zamknąć drzwi i nie przyjmować nikogo i zebrał gości do wielkiej sali. Osób było niewiele, ale zgromadzenie miało charakter niejednorodny. Spotkali się tu ludzie z kilku sfer społecznych, z kilku obozów. Byli przedstawiciele przemysłu, tak zwani panowie, znalazło się paru lekarzy i adwokatów, trochę literatów, jakiś ksiądz, mało znany, przechadzał się samotnie, jakieś zakazane figury spoglądały z podełba, byli członkowie partyi kon-

serwatywnej i Jan Żabski, znużony, milczący wódz narodowców ze swoim sztabem. Brakowało wielu najbardziej popularnych z kategorii tych, którzy to w pismach cieszą się do samej śmierci zasłużonem uznaniem ogółu, przybyli za to ci, o których mówiono powszechnie, że są nieprzejednanymi Obrońskiego wrogami. Nie było hrabiego Tobiasza. Z niejakim zdziwieniem przywitano wojskowego w mundurze generalskim i dwu oficerów, zauważono parę autentycznych chłopów...

Gdy goście usadowili się i lokaje obnieśli herbatę, Obroński zabrał głos. Zaczął niedbale banalnem podziękowaniem za łaskawe przybycie, wymienił nazwiska zaproszonych a nieobecnych, zaznaczył, że ceni odwagę tych, którzy nie odmówili swego udziału, gdyż wszyscy uczestnicy ściągną na siebie gniew ulicy, nienawiść tłumu, który mścić się będzie — i niejedyn padnie zapewne ofiarą dzisiejszego męstwa — zatrzymał się, powiódł wzrokiem po zebranych, badając twarze, potem przystąpił do rzeczy:

— Zarzucano mi nieraz — mówił spokojnie i dobitnie — że, obrawszy najłatwiejszą drogę krytyki, zawód wiecznego malkontenta, usuwam się od pracy społecznej, że zły ze mnie Polak i nieużyteczny magnat. Pisali pod moim adresem panowie literaci zjadliwe artykuły o sobkostwie, nazywano mnie w tem mieście karyerowiczem, renegatem, pomawiano mnie o serwilizm i szambelańsko-orderowe zakusy. Otóż chcę poprawić się, nie dlatego, żebym tak bardzo dbał o opinię albo o łaskawe po gazetach wzmianki. Nie chodzi tu zresztą o pobudki...

— Postanowiłem działać — podniósł głos o skalę wyżej — i wydaje mi się, że i wam, panowie, wypadłoby porzucić ogrody nadziei, po których przechadzacie się w daremnem oczekiwaniu mosty westchnień, grotę smutku, fantastyczne, przedziwnie polskie obszary marzenia, bo czas jest ostatni. Należymy do różnych obozów i warstw, ale wroga mamy wspólnego. Znamy go wszyscy. Przewidywałem zdawna i przepowiadałem, dziś stwierdzam, że to już się stało. Wróg wychylił się z podziemi, w których pracował, knuł, mnożył się i rósł, ludzie obłąkani albo niktzemni opętali tę ziemię. Na każdym kroku ich przebiegła i zgubna robota. Postanowili złamać nas głodem, uzbroili wsie, rozbroili wojska, dążą do władzy. Mamyż czekać cierpliwie?...

Urwał, z wyteżeniem wpatrywał się w swoich gości, uśmiech przesunął mu się po twarzy, gdy spotkał się z osłupiałem wejrzaniem kupca Gromadzkiego.

— Przerwałem — odezwał się po chwili tak swobodnie, jak gdyby prowadził w jakimś salonie światową rozmowę z damą —

bo zaczynałem wpadać w krasomówstwo. Nie moja rzecz wstrząsać waszemi nerwami. Unikałem zawsze popłatnego zajęcia, które polega na rzucaniu próżnych słów. Nie dla gawędy zebrałem was tutaj. Mam kilka rzeczowych propozycji i proszę was, żebyście mi nie przeszkadzali, aż skończę. W krótkich wyrazach...

— Usuwałem się dotychczas — tłumaczył dalej prędko — od waszych zgromadzeń i akcji, nie zaprzedałem się w niewolę żadnemu stronnictwu, nie ciągnąłem z wami ani ugodowej kibitki, ani narodowego wózka w krakowskim chomacie. Wstrętnym mi był jasyr partyjny. Mieszkałem sam w tym domu, wałęsałem się samotnie. Znacie mimo to moje zapatrywania, zresztą i dziś powiedziałem już dość... Ale was, panowie, pragnąlbym zbadać, od was usłyszeć wyznanie. Będziecie powoływali się na programy, na martwe hasła wczorajszego dnia. Domagam się żywego słowa, wyraźnej odpowiedzi na wołanie tego czasu... Odłóżmy tymczasem polemikę w sprawie mandatu od społeczeństwa, proces o sfałszowane patenty na patryotyzm, spór o spadek po przeszłości...

— Zapytam was—krzyknął naraz—tu, gdzie żaden tłum nie sypnie oklasków, przy zamkniętych drzwiach od ulicy, na cztery oczy w obliczu sędziwego rzeczoznawcy—historyi, z jakim uczuciem wy, wierni synowie ojczyzny, witacie łunę, która rozpala się nad krajem, jakie w obozach waszych wodzowie wydali rozkazy, jakie jest ostatnie narad waszych słowo... Zapytam poprostu, czy wy sprzyjacie tej... brak mi właściwego wyrazu... tej kociej muzyce, która rozlega się od tygodnia, temu rewolucyjnemu rzępoleniu...

Chłodnemi oczami ogarnął słuchaczy, czekał chwilę, zali nie odezwie się wśród nich jakie echo. Milczeli... Sam prosił, żeby mu nie przeszkadzano.

— Żądam stanowczej odpowiedzi — rzekł. Wiem, jakie po duszach waszych błąkają się szepty, zgaduję, co każdy z was myśli w skrytości, wiem także, iż bylibyście wdzięczni, gdyby udało mi się zdusić w zarodku sprzysiężenie motłochu... Gnębi wam serca strach o życie i mienie, trwoga zawistna o władzę, drzemie w was bojaźliwa nienawiść... Czytam tajne uczucia wasze. Ale chcę, żebyście jawnie wyznali...

Znowu powiódł wzrokiem po twarzach.

— Nie jest to takie sobie strajkowe *passee-temps* w braku gazet, teatru i rautów — mówił dalej — nie urządzaam zabawy, mitingu, popisu dla mówców. Sądzę, że pora już od słów, od hucznych rozpraw i dowcipnej gawędki politycznej przy czarnej kawie przejść do czynu. Czas nagli. Skoro oni tam nie próżnują, warto byłoby

i nam. Nikt jeszcze w wojnie nie zwyciężył przeciwnika za pomocą artykułów dziennikarskich i kwiecistych mów... A przecież, panowie, toczy się wojna... Dopóki wróg krył się w podziemiach, wolno wam było zamykać oczy albo wzdychać żałośnie, dziś byłoby grzechem... wyzwano nas na walkę.

Po sali rozległ się niewyraźny szmer—ktoś wstał.

— Uprzedzałem — zawołał Obroński — czekajcie aż skończę. Niemile wam zabrzmiał wyraz: walka... Domyślam się... Lubicie rzeczy połowiczne, półśrodki, umiarkowanie i pobłażliwość, w którą, niby ową przysłowiową prawdę w bawełnę, obwija się tchórzostwo... Czytałem gdzieś, że obecnie dyabeł zakrada się do dusz pod postacią tolerancyi. Ojcowie nasi nienawidzili zła i niszczyli je ogniem i mieczem, my wznieśliśmy się na wyżyny obojętności, która przebacza... Ale odbiegam od przedmiotu...

— Musimy tedy stanąć do walki. W każdym innym społeczeństwie nie byłoby dwu zdań... Człowiek napastowany broni się do ostatka... Gdy banda zbójów otoczy dom, chyba nikt nie będzie czekał zmiłowania Bożego... Ale u nas — frazesy, sentyment, jakieś przesady, a w rzeczywistości ospałość, zanik woli, niedołęstwo, bierność... Są jeszcze inne powody... Powstała w kraju partya, która głosi otwarcie, że dążyć będzie do zniesienia własności, która posiadaczom wypowiada wojnę, która nie przebiera w środkach... Zdawałoby się, że owi, zagrożeni w swoich prawach posiadacze pochwyć za oręż i z orężem w rękę rzuć się na nieprzyjaciela... Tymczasem staje się rzecz zgoła niezrozumiała: napastowani udają radość, przechodzą do wrogiego obozu, rozpoczynają czule zaloty...

— Nie powiedzie się wam, panowie, wasza obłudna gra — wołał donośnie. Nazywam to obłudą, bo przypuścić nie mogę, żeby zaślepienie wasze sięgało aż do granic szczerości. Ten podstęp jest na nic. Nie wyprowadzicie ich w pole. Nie uwierzą wam. Przeciwnik liczyłby się z wami, gdybyście okazali potęgę i męstwo — dziś drwi z was, z waszej kłamnej przyjaźni, z rozrzucającego zaparcia się siebie, z wolnościowego zapału. Stawimy, my i oni, dwa wrogie żywioły, dwie wyłączające siebie wzajem siły, i niemasz tu miejsca na zgodę, na porozumienie, na jakieś tam idealne braterstwo... Cokolwiekbyście wmawiali w nich, nie odsuniecie zagłady, która zawisła nad wami, która spadnie na was, gdy oni zdobędą władzę. Odbędzie się wówczas sąd, o którym śpiewa ich bojowa pieśń. I zginą ci, którym zabrakło sił do walki, którzy nie zdobyli się nawet na odwagę rozpaczy—zginemy wszyscy...

Zimno i obojętnie, mimo groźnej treści, brzmiał głos Obrońskiego, i gościom zdawało się chwilami, że to jest jakiś niesmaczny żart, jakaś nieudana mistyfikacja, że biorą ich tu na kawał. Spoglądano na siebie z niedowierzaniem. Niektórzy uśmiechali się dowcipnie.

— Zebrałem was tutaj—tłómaczył gospodarz—żeby ostrzedz i otworzyć oczy tym, którzy widzieć nie chcą, żeby przerwać niebezpieczną komedię i zedrzeć czerwoną maskę, za którą chowacie śmiertelnie przerażone twarze... Wzywam was, panowie, do obrony ojczyzny. Ja nie kocham, ale wy kochacie podobno tę ziemię. Zagłada idzie na kraj... Zbliża się panowanie motłochu... Przepowiadam wam... Nie ufajcie tym, którzy przechwalają się, że stoją u steru, że mają władzę nad wypadkami. Z gminu są dzisiejsi wodzowie, opętani królowie tej chwili, i gminowi ulegną. Do tego dążą bezwiednie, schlebując tłumom, korząc się przed gawiedzią, pchając nikczemne rzesze do sali tronowej dziejów... Wyzwalają niewolników, zwierzę ludzkie, chciwe ciało... Jest to bunt czerni, która strątuje duchy. Cham ogłosił siebie monarchą i będziecie czołem bić przed majestatem...

Zatrzymał się, spostrzegłszy, iż wpada w ton patetyczny.

— Zarzuci mi ktoś — spokojnie i trzeźwo ciągnął dalej—że wikłam się w sprzecznościach, że z jednej strony bagatelizuję ten ruch, a z drugiej grożę wam zgubą, że ojczyznę utożsamiam z klasą posiadającą i względami na dobro kraju zasłaniam egoizmem kastowy, trwogę o byt... postaram się to wyjaśnić, chociaż i tak zbyt długo utrudzam was, panowie...

W sali nie ozwało się zwykle w takich razach, uprzejmie: „prosimy, prosimy!“ Było głucho milczenie.

— Między bajki naukowe kładę — mówił Obroński — teorię o ruchach masowych, o duszy tłumu, o zbiorowym bohaterstwie. Tłum był i będzie po wszystkie czasy wrzaskliwym, biernym, bezmyślnym motłochem a w dziejach zapisują się tylko jednostki. Otóż ja nie widzę na naszej marnej arenie w tym ruchu, który tak się ma do rewolucji jak rzępolenie do gry mistrza, wodza, genialnego kierownika, twórcy na wielką miarę. Słyszeliśmy wszyscy o komitetach, które pieczętują, piszą odezwy, skazują na śmierć, gadają do późnej nocy na tajnych posiedzeniach, domyślamy się, że są jacyś bezimienni i niewidzialni przewodcy, ale gdzie jest człowiek opatrnościowy, mąż przeznaczenia, bohater? Nie ukrywałby się taki, gdyby był, za plecami niedołęжных, wielomównych komitetów!... Może zawadyaka Śniałowski?

Myślał chwilę, jak gdyby czynił w pamięci przegląd znanych działaczy rewolucyj, potem odezwał się znowu:

— A mimo to, powtarzam, zagłada idzie na was i na ten kraj. Nie potrzeba bowiem wysiłków geniuszu na to, by was, panowie, zdmuchnąć. Wart Pac pałaca... Pierwszy lepszy gadacz bajką o podziale dóbr poruszy ciemne i chciwe masy i wywoła zawieruchę... Jużście dziś przecie, jeszcze przed walką, złożyli broń i gotowi jesteście tę ziemię, zdeptaną, ubogą i znękaną oddać na łup, poświęcić ojczyznę, nad którą wiecznie wylewacie łzy, w przewrotnej rachubie, że uda się wam wyratować z rozbitcia przynajmniej własne tłumoki... Alboż nie ta jest ukryta myśl sojuszu, który zawarliście z partią przewrotu? Niech mi kto zaprzeczy! Oszołomieni na widok nowej potęgi, niespokojni o los tłumoków waszych, a może i życie, o zachwianą popularność wreszcie, upadliście na duchu i nie odezwało się w was wspomnienie rycerskiej przeszłości wstydem!... Czekałem, że błysnie wam w sercach męstwo, że zbudzi się pragnienie, żeby zmierzyć się z przeciwnikiem, żeby potykać się... Ileż to pięknych rozlegało się frazesów o miłości kraju, o ofiarnej pracy, o wytrwaniu przy świętym sztandarze, na posiedzeniach waszych, które opuszczałem zwykle przed końcem!...

— I mnie to, kosmopolicie i renegatowi — podniósł głos — wypadło zwrócić się do patriotycznych sumień waszych, wezwać do obrony ojczyzny!... Spełniam obowiązek... proszę o chwilę uwagi... Chcę, panowie, zawiązać stowarzyszenie, partię, bractwo dla walki czynnej z wrogiem, utworzyć związek ludzi odważnych, chcę walkę rozpocząć natychmiast i jawnie... Obmyśliłem plan. Dziś nie jest jeszcze zapóźno. Wydrzemy im władzę nad ludem, zepchniemy ich ze zdobytych placówek, będziemy tropić, osaczać, łamać... Oni nie przebierają w środkach, wykluczemy i my wszelką subtelność... A w każdej wojnie o wygranej stanowią zasoby kasy. My silniejsi...

Przyglądał się twarzom słuchaczy, uśmiechnął się do jakiegoś spostrzeżenia...

— Trzeba, żebyście tu, w tej sali wyrazili zgodę swoją i powzięli uchwałę, żebyście stanowczy wybór uczynili między rewolucją a pomyślnością ojczyzny, między anarchią a rządem, żeby bez wahań, wątpliwości i zastrzeżeń...

Gdzieś w ostatnich rzędach krzesel rozległo się zjadliwe sykanie. Obroński zmarszczył się i wolno, spokojnie, dobitnie mówił dalej:

— Mamy sprzymierzeńca w rządzie. Nie chcę przez to powiedzieć, że staniemy się jego najemnikami... Wierzę, że uda się nam zdusić bunt o własnej sile... Zaznaczam wszakże mimo ostrzegawczego sykania, że winniśmy przypomnieć sobie i zapamiętać i jasno zrozumieć wyrażoną niegdyś przez Taine'a prawdę, iż najgorszy rząd lepszy jest od anarchii... od tego zależy wiele... Obalenie rządu, jakkolwiek on jest nieprzychylny, oznaczałoby zgubę... Należy przeto wyraźnie stanąć po jego stronie i zaprzestać knozań i zmów z tymi, którzy występują zarówno przeciw rządowi, jak przeciw nam... Nie wytrzymamy walki na dwa fronty. Skupiwszy siły, uderzmy na wroga, który w danej chwili jest groźniejszy...

Na sali sykano ciągle.

— Prosiłem o chwilę cierpliwości—krzyknął Obroński. Nie zmusicie mnie tem do milczenia. Wiem, że mówię tu rzeczy wielce niepopularne, ale ja nie dbam... Spełnię obowiązek, a potem umyję ręce... Mamy tedy dziś jeszcze utworzyć partję antirewolucyjną i ogłosić wojnę... Zdaję sobie sprawę z następstw tego kroku, nie zataję ich przed wami... Zadanie niełatwe, a zwłaszcza niepopularne... Wrzask pójdzie po kraju, posypią się oszczerstwami, wyroki śmierci... W każdej chwili grozić nam będzie kula, nóż, sztylet... Nie pożąłają być może i bomb... okryje nas hańba... Ale gdy szczęście kraju, który wy podobno kochacie, wymaga ofiary, winniśmy ją złożyć...

Urwał z obawy, żeby nie wkroczyć w dziedzinę sentymentu.

— Dodam i podkreślę raz jeszcze—obojętnie ciągnął dalej— że nie występuję w obronie własności, kasty, przywilejów i na dowód oznajmiam, że zrzeknę się wszystkiego, co posiadam, że gotów jestem oddać na walkę, na cele związku... Powiedziałem i nie cofnę — powtórzył surowo, posłyszawszy śmiech — pragnąłbym, żebyśmy związani w stowarzyszenie mężnych stanęli murem dokoła wyniosłego grodu ideałów, żebyśmy strzegli świętych ksiąg ludzkiego rodu, żebyśmy Boga ocalili dla przyszłych pokoleń, pragnąłbym odeprzeć najście wandalów, rozproszyć noc ducha, która się nasuwa, stworzyć kohortę mężów... Nazywają nas wstecznikami, szydzą, że my morituri, i zatrzaśnięto przed nami drzwiami... Otwórzmy je...

Przez krótkie mgnienie w głosie jego drżał ów dziwny ton, który odzywa się, gdy skroś duszę człowieka płynie powiew marzenia. Zapanował nad sobą.

— Teraz rozważcie! — kończył sucho — postawiłem wniosek. Proszę, panowie, obierzcie przewodniczącego. Ja usunę się i za pół godziny wrócę. Czas nagli...

Oddalił się. Szedł przez szereg pustych pokojów aż w przeciwny koniec domu, żeby żadne echo narad nie mogło dotrzeć do niego. Tam przechadzał się po jakimś kurytarzu. Myśli, które w ciągu przemówienia wytrysły z głębi, myśli niedopowiedziane dopalały się wolno. Wspominał wyraz twarzy gości: głupie przerażenie kupca Gromadzkiego, dowcipne uśmiechy niektórych, zdumienie u innych, martwą powagę niewywczasowanego oblicza Jana Żabskiego, bystre spojrzenia redaktora, mozolne skupienie księdza... Przewidywał, jaki będzie wynik, miał kilka gotowych odpowiedzi, wyjętych, jak gdyby z ust rozmaitych mówców... Żałował... Czas dłużył mu się. Co chwilę spoglądał na zegarek. Zacierał gorące ręce... Ze spodu wydobywało się jakoweś uczucie bez nazwy, uczucie zawide i przykre...

Gdy upłynęło pół godziny, wrócił do sali. Stał na poprzednim miejscu, pod ścianą u marmurowej kolumny. Patrzył uważnie i czekał. Obojętność powlokła mu duszę. Mówcy zaczęli wstawać po kolei. Okazała się wśród nich pewna ilość uprzejmych, którzy pod mdłymi, jak złe perfumy, komplementami ukrywali niedorzecznie umotywowaną odmowę — tym naplwałby w ekliwie uśmiechnięte twarze... Wystąpili popisowi szermierze, łowcy oklasków, żądni popularności i paplali o świtach, o zorzy wolności, o braterstwie — tych nie słuchał. Znaleźli się oburzeni, którzy piętnowali go jednym słowem dosadnym. Byli tacy, którzy pragnęli osnuć odpowiedź mądrością i sami zaplatali się w jej subtelnych pasmach. Jan Żabski przemawiał długo i nudnie, ale szczerze, z głębi przekonania. Kilku naiwnych zadawało naiwne pytania... Staruszek Kłoniczki wspominał dzieje roku sześćdziesiątego trzeciego... Ze wszystkich opinij wynurzyły się następujące myśli: że utworzenie związku byłoby odstępstwem od narodowej solidarności, że cel nie uświęca środków, że rewolucya, szkodliwa ekonomicznie, może być zbawienną dla ojczyzny, że należy poświęcić dobrobyt osobisty, że „wskazaniem“ jest nie tłumienie ruchu, ale pokierowanie nim, że partye przewrotowe, groźne na razie, rozbijają się o narodowe uświadomienie ludu... Balaštu uczuciowego było co niemiara. Były także zaczepki, szyderstwa, zjadliwe aluzyje pod adresem gospodarza...

Obrońskiego zastanowiło tylko krótkie odezwanie się księdza, który powołał się na przykazanie: nie zabijaj!

Wstrętnemi wydały mu się wyrazy uznania i zachęty paru niespodzianych sojuszników z powodu pobudek, których domyślał się... W pewnej chwili znudzony przerwał jakimś gadule splątana oracyę krzyknąwszy, iż posiedzenie skończone.

Zebrani powstali. Zaległo milczenie, nieznośne dla obecnych, urągliwe, urągające...

— Posiedzenie skończone! — donośnie powtórzył Obroński.

Zadzwonił, lokaje pośpiesznie rozwarli drzwi. Goście ruszyli ławą ku wyjściu. Niektórzy odwracali się do gospodarza plecami, niektórzy szli najuprzejmiej pożegnać. Jan Żabski przeszedł obok sztywnie wyprostowany, nie patrząc. Przez chwilę z dołu, z sieni dolatywał gwar głosów, potem ucichło...

*

*

*

Obroński przechadzał się po pustej sali. W olbrzymim pokoju mimo doskonałej wentylacji był ów nieznośny poposiedzeniowy zaduch, cikliwe ciepło wydyszanego przez tłum ludzki powietrza, na wytwornej posadzce — ślady mokrego obuwia, niedopałki papierosów, strzępy papieru. Rozsunięte w pośpiechu krzesła tworzyły ścisk bezładny, cisza wydawała się dziwną, jak zwykle w miejscach publicznych.

— Oto i wszystko! — myślał Obroński ze zdumieniem, z którym człowiek popolicie stwierdza, że minęło zdarzenie, do którego przygotowywał się, którego oczekiwał.

Nie doznał zawodu. Przewidział był odpowiedź i motywy, najtrafniej odgadł niektóre frazesy, zwroty retoryczne, ozdoby uczuciowe. A mimo to trapiło go uczucie bez nazwy, zawiłe a przykre... Pamięć powtarzała mu od czasu do czasu krótkie odezwanie się księdza, który powołał się na przykazanie: nie zabijaj! Wspominał. Wracały całe ustępy z własnego jego przemówienia, których nie mógł sobie wybaczyć, i słyszał własny swój głos, chwilami patetyczny, chwilami śmiesznie rzewny... Ironia pewnych zwrotów wydawała mu się niesmaczną i płytką. Przyznawał się, że odstąpił od wytkniętego planu, że wyszedł z nakazanej sobie roli, że siląc się na prostotę właśnie przybrał pozę... Miał zanknąć całą rzecz w dziesięciu wyrazach, postawić wniosek, poddać go dyskusji. Tymczasem gadał długo sentymentalnie i nielogicznie, okazał słabość człowieka, który się gniewa. I nie podkreślił dostatecznie zasadniczej tezy, nie dość wyraźnie zaznaczył swoje stanowisko... W przedśionkach myśli tkwiło zdanie, jakgdyby wsunięte tam przez kogoś obcego, że stało się głu-

stwo, że popełnił okragłą niedorzeczność, i coraz dotkliwszem stawało się wspomnienie kilku szczerych wyznań, rzuconych przed tłum, strатовanych w tej sali przez gości. Z niemałym trudem i upokorzeniem przyszło mu stwierdzić, że i jego, który hołdował rozumowi i działaniu na trzeźwo, który wyszydzał złudzenia uczuć, polskie romantyczne ogrody, porwał marzenie... Wymawiał sobie uniesienie, a jednocześnie brał go gniew do słuchaczy, i odwracał z obrzydzeniem wzrok od ciżby krzesel, pospolitych i tandetowych, jak ludzie, którzy na nich siedzieli... Chciał był zwołać najlepszych — a zebrał się tłum... Kędyż są inni? Niema ich tu w tym kraju, ludzi odważnych, z jednej bryły, mężów wysokich, dostojnych rycerzy, z których tworzą się niezwalczone kohorty, zwycięskie legiony, zaszczycone godłem orła!...

Zwykłym torem zjadliwej krytyki podążyła myśl. U kresu tej drogi — skała pogardy, na której najczęściej przebywał. Zrażony do ludzi, zamykał się w pałacu swoim o zasłoniętych wiecznie oknach z pięknem, z wyniosłą zadumą, z nudą, której nie mogły rozproszyć kobiety... Samotny spokój zakłóciły mu wrzawa czasów, zawierucha rozzuchwalonej ulicy. Miał zabrać się do dzieła. Nie chodziło mu o władzę i hołdy społeczeństwa — szło o czyn, o skutek, o zasadę. On jeden w tem mieście przewidział niebezpieczeństwo i pojął obowiązek. Wydało mu się, że powołany jest, ażeby odeprzeć nawałę czerni, złamać bunt motłochu, ażeby uratować prawa ducha, wolność, święte księgi rodu ludzkiego, niezależność patrycyusza, dostojność, żeby obronić niektóre świątynie, poświęcone bogom gaje, szczyty... I wytracono mu oręż. Kazano mu zaniechać walki w chwili najbardziej pomyślnej niby wodzowi, który, wykonawszy szereg forsownych marszów, przebiegle osaczywszy nieprzyjaciela pewny jest wygranej. Przygotowywał się, obmyślał, planował... Obrońskiemu, jak myśliwemu na łowach, żal było zdobyczy... Nienawiść zbudziła w nim krwiożercze instynkty.

Przez parę ostatnich tygodni, w chaosie niespodzianych wypadków, w gorączce dni Obroński stracił równowagę, swój dawny, spokojny, trzeźwy sąd, zimne panowanie nad sobą. Czynu, walki, krwi zapragnęły ręce jego, uniosła go nienawiść...

Krążąc po pustej sali, zastanawiał się nad przyszłością. Widział przed sobą rzeczywisty obraz jutra: zwycięskie pochody niewolników, zuchwałą radość motłochu, rządy tłumu, pychę plebejuszów, widok służalstwa, podłości, schlebiania, panowanie chamstwa, wygnanie rzeczy wzniosłych, pokutę ducha, zbesczeszczenie nieśmiertelnych świętości... Skazany na bezczynność, uchodzić

będzie za jednego z tych, co ulegli przed gminem, co potakują bezprawiu i odstępują bojaźliwie. Przypomniały mu się jego dumne, nieubłagane słowa. Wzdrygał się na wspomnienie dni, które minęły, na myśl, że płynąć będą dni podobne, że on zostanie w kraju, który przeklina nieraz za to, że jest jego ojczyzną, z ludźmi, którymi pogardza, z bezsilną złością, z upokorzeniem... Zatrzymał się. Wyrosło przed duszą pytanie, dlaczego on sam niema prowadzić tej walki? Potrzebną mu była sankcya publiczna, upoważnienie tłumu, z którego drwi, którym gardzi? Boi się „hańby,“ wrzasku współczesnych, zemsty, boi się, żeby nie posądzono go o pospolity egoizm, żeby nie dopatrywano się najmniejszych pobudek? Ale sumienie jego wie i pamiętać będzie do końca dni, że nie z trwogi o życie i nie z miłości bogactw... Zabrakło mu tedy odwagi, zostały jakieś przesady, tkwi jeszcze strach opinii... Bo śmiesznie jest zasłaniać się argumentem, że w walce z partją, doskonale zorganizowaną, jednostka nie znaczy nic, że sam nie podoła, nie osiągnie celu... Ludzie w imię zasady ponoszą nieraz bezcelowe ofiary, zapał dla idei nie oblicza zysków...

Spoglądając ku martwym szeregom krzeseł, dumiał nad ciosem, któryby zdruzgotał przeciwnika, a miastu wykazał, że on, Obroński nie dba o sąd społeczeństwa, że dotrzymuje słowa i nie cofa się przed niczem... Któregoś dnia w momencie wzburzenia nawiedził go był pewien pomysł... Rozwagał... Z mroku szła ku niemu pokusa, ukazywał się oczom straszliwy zarys onego czynu. Wyobrażał sobie zgrozę, która ogarnie społeczeństwo, krzyk powszechnego potępienia, nienawiść rozjuszonego wroga, niebezpieczeństwo, pościg zemsty—w sercu zagrała przekorna radość, rozpałała się przekorna chęć... Przywołał siebie do porządku... Rozumiał, że sprawa była z góry przesądzoną, że nie potrafi stłumić w sobie tego, co podobało mu się nazywać resztkami polskich przesądów, i nie wykona zamiaru, który przez mgnienie nęcił go zuchwałością, pozorami męstwa i niezwykłością. Rzecz była zanadto poważną, ażeby mógł zabierać się do niej niby do figla, a miała także szpetne oblicze... Była podczas posiedzenia chwila, że, rozdrażniony sykaniem, chciał oszołomić do reszty słuchaczy i cisnąć w nich jak bombę swój projekt... Nastąpiłaby ogłuszająca eksplozja oburzenia—i śmiałyby się w duchu z łatwowiernych gości, i całe przedsięwzięcie obróciłoby się w zabawę. Ale pohamował uniesienie. Cel, dla którego po raz pierwszy otworzył podwoje nieprzystępnego pałacu, obchodził go rzetelnie, i żałował szczerze, iż na marne poszły zabiegi. Mimo arcydłu-

gich mów i prawie jednogłośnie uchwały zgromadzenia zostało w nim niezachwiane przekonanie o słuszności, i wydawało mu się w dalszym ciągu, że mógł, że chciał oddać krajowi znakomitą usługę. Gdzież leżała przyczyna niepowodzenia, gdzie wina? Po stronie lekkomyślnie sykającego społeczeństwa czy też w nim? Ogarniając pamięcią dzieje zebrania, stwierdzał z niejaką skrucą, iż zachowanie się jego było wyzywającym, że traktował gości z wyżyn pogardy, że obrał drogę najmniej właściwą... Stwierdzał, że wśród zgromadzonych byli jednakże ludzie godni szacunku i że ci właśnie odmówili mu poparcia... I stwierdzał dalej, że sprzymierzeńców znalazł tam, gdzie najmniej tego pragnął, że wyrazy uznania, którymi obdarzyli go jedyni dwaj sprzymierzeńcy, stanowiłyby mogły zarzut najcięższy i broń przeciw niemu... Przypominało mu się potem słowo księdza, twarde i mocne, jak ono wryte na kamieniu przykazanie, słowo, które zastanowiło go odrazu w pierwszej chwili i nie dlatego, że padło z ust księdza.

Obroński był katolikiem wierzącym z przekonania, a przez instynkt przekory, przez chęć odróżnienia się od tłumu, który przejmował go najgłębszym wstrętem, od miejskiego „inteligentnego motłochu“, od bezwyznaniowej ciżby przeciętnych adwokatów, lekarzy, literatów, jawnie i jaskrawie podkreślał klerikalizm, ale księży nie lubił. Nazywał ich rubasznymi, niezgrabnymi, małymi sługami wielkiego Boga i tolerował jedynie w kościele. To też dziś, gdy z ostatniego rzędu krzesel zabrzmiał nieśmiały głos mało znanego wikarego, zmrużył z lekceważeniem oczy i słuchał nie dbale. Spodziewał się jakiejś zwyczajnej seminaryjno-zakrystyjnej uwagi o zaślepieniu nieprzyjaciół krzyża, o bezdrożach i zbłąkaniu... Tymczasem skromne odezwanie się „małego sługi“ zawierało stanowczy wyrok, nad którym nie łatwo było przejść do porządku... Należało przycisnąć „księżula“ do muru i zażądać komentarza do wniosku, który albo opierał się na modnej acz niekościelnej teorii nie sprzeciwiania się złemu albo też wypływał z trafnego odgadnięcia tajemnych pobudek twórcy „związku do walki czynnej z rewolucją“ i następstw owej „walki czynnej“, trzeba było wszcząć spór, można było udowodnić, że nie zawsze dogmat... że dogmat błędnie zastosowany...

Przechadzając się po sali niby po polu przegranej bitwy, Obroński, jak dowódca w dniu klęski, usiłował usprawiedliwić przed sobą porażkę. Sprawa, im dłużej zastanawiał się nad nią, tem większej w oczach jego nabierała wagi. Odmowa, owo jednogłośnie votum nieufności społeczeństwa, mimo pozy lekceważenia, do której przywykł, bolała, i myślom, którymi przemawiał do

siebie, żeby zagłuszyć zękanie, towarzyszył jakowyś szept niewyraźny, niby głos nieustającej krytyki. Duszę trapił niepokój, ten sam, który dokucza posagowi, gdy, zabrany z pracowni rzeźbiarza i wystawiony na widok publiczny, znosić musi natrętność spojrzeń ludzkich... Było pragnienie ucieczki kędyś a także chęć wymazania tego, co zaszło... Myśli płynęły jednym korytem, a równolegle sączył się ów drugi szemrzący strumyk... To rozdwojenie stawało się coraz bardziej męczącym... W jakiejś chwili znużony postanowił przerwać nieużyteczną pracę myśli... Odsłonił okno, patrzył w ulicę. Chodniki były puste. Odpoczywały oczy jego, brzydzące się widokiem codziennej, nieskończonej włości ludzkiej... Śród martwego snu domów, w mroku i ciszy wolno mijała późna godzina jesiennej nocy...

„Odmowa społeczeństwa oznacza — wysnuwał się w głowie wniosek— że rozminąłem się z religią, z prawem ojczyzny... Zarzut ciężki... Przyszłość pokaże, kto błędził...

Naraz, gdzieś w pobliżu zabrzmiała strofa pieśni bojowej, której nie cierpiał... Zatrzasnęła okno.

Powierzchnię spokojnej zadumy wzburzył wrący nurt nienawiści...

XVIII.

Pani Henryetta Kamieniecka przyjęła Pawła żalobnie. W milczeniu podała mu rękę, milcząc wskazała krzesło, a gdy usiadł, milczała przez dłuższą chwilę.

— Dziękuję ci za współczucie— odezwała się potem głosem, jakim ksiądz we mszy pogrzebowej odczytuje ewangelię.

I rozplakała się. Chustką do nosa o czarnych brzegach zasłoniła sobie usta, odwróciła się nieco od gościa.

— Gdy spojrzę na ciebie, cały żal, cała boleść...—usprawiedliwiała swój płacz.

Paweł pochylił głowę, zakłopotany widokiem łez, zgnębiony obrazem żaloby. Jasność godziny, spędzonej z księżniczką, zgasła, jak nikt dla wędrowca, który idzie nocą przez wieś, blask oświetlonych okien, ścielący się na samotnej i ciemnej drodze, rozwiął się wskrzesający zapach nadziei, zatarty się niewyraźne [zarysy marzenia, w które wpatrywał się był przez mgnienie, niby [wygnaniec w daleki obłok płynący ku stronom rodzinnym. Zato żywo stanęła przed nim rzeczywistość wczorajszego dnia, odżyły wczoro-

rajsze uczucia, zaprawione przerażeniem. Przez drzwi, za którymi był szereg ciemnych pokojów, zaglądało wspomnienie śmierci... I nie słuchając ubolewań teściowej, dumał nad tem, co zaszło, pograżał się w nieokreślonej zadumie, jak gdyby w posepnej toni... A pani Kamieniecka żałośnie i cicho mówiła o zmarłej. Pokazywała tuzin jej fotografii w rozmaitych strojach i pozach, powtarzała jakieś powiedzenia, malujące dobroć serca, przywiązanie do rodziny i męża, świadczące o pobożności, odczytywała listy, pisane w dzieciństwie z klasztoru do domu.

— To wszystko, co nam zostało po niej—szeptała smutnie—trochę tych drobnych martwych, rzeczy... dusza odleciała daleko... chcę ustawić szafkę dla przechowywania pamiątek... Jeśli co znajdziesz u siebie, przynieś mi, Pawle... Zawsze ja, matka, więcej mam praw... będziemy razem przeglądali, żeby obcować z nią... Z każdego kąta odzywa się głos jakiś, który przypomina, że ona była tu, że jej już niema...

Pani Henryetta znowu chustką żalobną zasłoniła sobie usta, żeby stłumić spazm płaczu.

— W nieszczęściu, które dotknęło nas—mówiła potem—jedyną pociechą dowody przyjaźni ludzkiej... A otrzymaliśmy ich tyle!... Hrabina Skomoroch przysłała mi dla pocieszenia „Avis spirituels.“ Różia Miłowska postanowiła przez miesiąc nosić żalobę, Staś Tomicki ułożył nekrolog, który wydrukuje... Nawet służba... Rozdałam im suknie tej mojej biednej, oni zaś zrobili między sobą składkę i zakupili egzekwie... Jak to pocziwie z ich strony!...

— I ty, Pawle, dobry jesteś—zwróciła się do zięcia—zawsze ceniłam twoje złote serce... ona także wspominała często...

Wyciągnęła do Pawła rękę.

— Pamiętam zdanie mojej świętej matki, że złoto poznaje się w ogniu, a człowieka w bólu, duszę pod krzyżem... W ostatnim liście swoim, który pisała do mnie z Rzymu, przesała jak gdyby przepowiednię: gdy spadną na ciebie ciosy—pisała wówczas—znos mężnie i cierpliwie, gdy opuszczą cię blizcy, nie wyrzekaj, bo nic niema trwałego na ziemi. Moja matka miała dar jasnowiedzenia. Przeczula wszystkie niedole tego kraju, przesła-dowania kościoła, zuchwałę prądy myśli. Jej listy są dla mnie skarbnicą, z której czerpię spokój i hart. To był unysł niepospolity. Monsignor Lardelli udawał się do niej często po radę...

Paweł w tej chwili podniósł po raz pierwszy spojrzenie na teściową i spotkał się z jej wzrokiem. Oczy, mimo bolesnego brzmienia głosu, były pełne blasku i życia...

— Szkoda, że ty nie znałeś mojej matki! Onaby zrozumiała szlachetny niepokój twojej duszy, miałbyś w niej towarzysza w troskach nad losem ubogich, znalazłbyś gorliwą pomocnicę. Ludzie opowiadają tyle o jej miłosierdziu! Nie mogło być zresztą inaczej, bo matka wyznawała tę piękną zasadę, że największym przywilejem bogatych — jałmużna. Mówiła mi nieraz, że dlatego nazywają nas klasą uprzywilejowaną, ale że stokroć szczęśliwszym jest każdy ubogi, albowiem on wszystko ma u Boga. Przyznaj, Pawle, że to są wzniosłe myśli, że gdyby świat szedł po tej drodze, nie byłoby zgorzenia, nie wybuchalyby rewolucyje... Na przykład u nas... opowiadali tu dzisiaj, że anarchiści zwyciężyli na zebraniu i postanowili ogłosić republikę...

Pani Kamieniecka urwała, bo wydawało się jej niewłaściwym w tej chwili przechodzenie na szlaki polityki...

— Coby to powiedziała moja matka! coby to powiedziała moja matka! — powtórzyła ze smutkiem i umilkła.

Ruchliwemi, wечно zaniepokojonemi i ciekawemi oczami przebiegła po twarzy zięcia, domagając się odpowiedzi, udziału, jakiegoś żywego słowa, które byłoby hasłem do innej rozmowy, które wyprowadziłoby oboje z ponurego przybytku, przez próg cierpienia, z obszaru wspomnień do życia. Paweł nie rozumiał i nie chciał jej dopomódz. Jakiś czas trwała cisza, posępna w półmroku źle oświetlonego salonu, nieznośna na tle milczenia szeregu pustych i ciemnych pokojów, w których gościło prerażenie wczorajszego dnia...

— Aga belle — zaskrzeczało nagle gdzieś w górze.

— Aga belle, Aga belle — szybko i niewyraźnie powtarzała papuga i zaśmiała się swoim obrzydliwym papuzim śmiechem.

Paweł poszukał wzrokiem ptaka. Ogromna kopulasta klatka stała pod oknem. Papuga biła skrzydłami i darła się.

— Je vous aime... amour flamme — słyhać było wśród wrzasku — pipi sage, pipi bon... amour flamme.

— Obroński darował jej tę papugę — wytłómaczyła pani Kamieniecka — a ona bawiła się nią ostatniemi czasy i bardzo polubiła. Pipi umie nawet jakiś wiersz na pamięć...

I znowu w ciszy pokoju i mieszkania rozległo się wstrętne skrzeczenie ptaka, który chwilami rzekłbyś zanosił się od śmiechu. Słów nie można było pojąć. Pani Henryetta przysłuchiwała się z pewnem rozweseleniem, zadała papudze pytanie. Potem przykryła klatkę chustką. Ucichło. A wówczas, niby upiorna postać, weszło przez drzwi i stanęło między niemi milczenie szeregu czarnych, pustych pokojów...

Paweł poprawił się na krześle, zajrzał w rozbawione oczy teściowej i rzekł:

— Przyszedłem tu z interesem, z pewną wiadomością, dosyć przykrą...

— Alboż może być dziś dla nas jaka dobra wiadomość — ogólnikowo wstawiła pani Kamieniecka.

— Cokolwiek mi zwiastujesz — dodała jeszcze, ponieważ Paweł milczał — zniosę, przyjmę, wysłucham bez szemrania... Jeśli to nowy krzyż, widać, że tak trzeba... Im cięższym jest krzyż, tem więcej w nas sił...

Podniosła na Pawła niespokojny, badawczy wzrok...

Paweł utknął, nie wiedząc czy ma „przygotowywać“ teściowę do ciosu, czy też odrazu przystąpić do rzeczy. Poselstwo, które z lekkim sercem przyjął na siebie, zaczynało mu ciążyć. Spuściwszy oczy, martwym głosem, powoli mówił dalej:

— Czasy obecne obfitują w najgorsze niespodzianki. Stan finansowy kraju bardzo niedobry, zastój na całej linii, bankructwa stały się rzeczą codzienną...

— Pawle! — zawołała pani Henryetta.

A w tym okrzyku była trwoga, a może i prośba, żeby zamilkł.

— Co, proszę? — spytał, nie doczekawszy zaś odpowiedzi, ciągnął dalej:

— Z jednej strony wojna, spadek kursu, podrożenie kredytu, z drugiej — anarchia w kraju, nieustanne bezrobocie, pożary... To wszystko wywołało przesilenie... Słyszałem, że nawet solidne firmy zachwiały się... cóż dopiero takie, których istnienie opierało się na kredycie... — nudnie, bezbarwnie, machinalnie tłómaczył, starając się odsunąć moment stanowczy.

Pani Kamieniecka nie rozumiała, nie potrzebowała zresztą rozumieć tego wykładu. Od pierwszego słowa odgadła, iż za chwilę spadnie na nią to, czego obawiała się, co jak zmora trapiło ją w ostatnich latach. Z osłupieniem wpatrywała się w usta mówiącego, jak czynią głusi, i nie słuchała. Tak podczas niebezpiecznej operacji chory z przymkniętymi oczami wyczekuje straszliwej chwili, gdy w palcach chirurga zabłyśnie narzędzie, gdy ostrze zanurzy się w żywą ranę... Paweł niezręcznie posuwał się naprzód.

— Im bardziej rozgałęzioną jest sfera interesów, tem silniej daje się odczuć kryzys... krach Żymirskiego musiał się odbić... — wpadały jej do ucha urywki mowy.

Potem zaległo milczenie. Paweł siedział z posępną twarzą.

— Więc i to jeszcze!—cicho i apatycznie odezwała się pani Henryetta.

— Niestety...

I znowu była cisza. W każdej innej okoliczności pani Kamieniecka potrafiłaby znaleźć światową formułę przejścia do równowagi i w każdym innym strapieniu optymizm jej sprężystej natury podyktowałby jakąś pociechę — tu ciężar przerastał siły. Żaden z podniosłych ogólników, którymi hojnie szafowała, nie wybiegł na usta, sztuczny pancierz rezygnacyi nie wytrzymał próby, w szczytnej, popisowej roli, którą grała ze szczerem przejęciem, zabrakło słów... Po raz pierwszy do domu jej życia, gdzie mieszkwały cnoty, zasady, religia, dogmaty, wtargnął brutalnie drab nieszczęścia—i w jednej chwili uczyniła się pustka... Pani Henryetta zamknęła oczy. Otoczyła ją ciemność... Przemknęło kilka bezładnych i bezcelowych myśli—i zgasły. Słaby odruch nadziei, że może jeszcze tak nie jest, natychmiast stłumiony... Odczuła niezmiernie znużenie...

— Nie ośmieliłbym się nigdy wyjawiać tak bezwzględnie całej prawdy—rzekł Paweł—ale znam hart mamy. Trudne to są terminy... Na człowieka wałą się klęski, niby grom z jasnego nieba... Wczoraj śmierć, dziś ja... dziś uproszono mnie, żebym udał się do mamy i uprzedził... dlatego ja tak szczerze...

— Ależ proszę!—bezdźwięcznym głosem zachęciła pani Kamieniecka, a jednocześnie myślała, że jest ostateczna ruina, że gdyby została jakaśkolwiek pociecha, Paweł nie omieszkaby wysunąć jej na czoło, że przepadło i skończyło się wszystko, że zbliża się, że już się stało to, czego obawiała się oddawna, i przed rokiem, gdy uciekł Żymirski, i potem, gdy spalono trzy folwarki, i tydzień temu, zaraz po wybuchu strajku, i każdego dnia zwłaszcza, gdy tam w gabinecie odbywały się długie narady z nieznanymi panami, albo gdy mąż trzęsącemi rękami otwierał telegramy... Miała nieraz zapytać—brakło odwagi—wolała odsunąć, zapomnieć... Dziś przyszła sama, w sposób zupełnie zwyczajny, w osobie Pawła, i zagląda jej w oczy, i przemawia do niej ta zmora...

— Trzeba to przetrwać, trzeba uzbroić się w męstwo... może owa wiara, może owe listy... Rozumiem dotkliwość ciosu... W rewolucyi, którą przeżywamy, zapewne niejednego z nas czeka los podobny... Straty materialne porównałbym do przykrego kalectwa, które utrudnia i zachmurza istnienie...

Jak gdyby z odległości, dochodziły ją zbyteczne, całkowicie obojętne słowa Pawła. Chwilami dziwiła się, że on znajduje się

w tym pokoju i tak długo rozprawia... Nie poznawała głosu zięcia, twarz jego wydawała się obcą. Świat zewnętrzny oddalił się od niej: rozplywał się w jakiejś mgłę zamętu, która ogarniała ją swoim duszącym kłębem... Nie mogła objąć straszliwej rzeczywistości. Dumiała nad czymś niewiadomem, myśli beztreściwe, jak zdanie, pozbawione podmiotu i orzeczenia, błędziły kędyś poomaku. Zacierała się nawet świadomość nieszczęścia tak dalece, że nie od razu umiała odpowiedzieć, co zaszło i zostało tylko poczucie ogromnego ciężaru, który tłoczył, poczucie zupełnego zdruzgotania... „Więc to tak wygląda owo przewidywane, owo trapiące ją, niby nieodstępny upiór, nieszczęście? Więc to już stało się?“ Stwierdziła, jakoby z niedowierzaniem, z pewnym zdumieniem... Zdumionym wzrokiem przebiegła po zachmurzonym obliczu zięcia, po sprzętach pokoju, spojrzała na swoje ręce, na fotografię zmarłej córki pod lampą, w ciemną głęb nieoświetlonych salonów... Szukała widomej obecności nieszczęścia... Przed godziną nie było go tutaj... Prowadziła zwyczajną rozmowę, mówiła o matce, o śmierci córki, o swoim smutku, papuga śmiała się, spokojnie płynęły minuty... I nie zmieniło się nic dokoła. Odbywa się, jak gdyby w dalszym ciągu, w tym zacisznym buduarze zwykła gawędka z gościem, który rychło odejdzie... a potem długi wieczór jesienny... Zadzwoni, każe podać herbaty... trzeba odpisywać i dziękować ludziom za objawy współczucia, przede wszystkim hrabinie Skomoroch... Tak, tylko gdzieś stało się to, co ludzie nazywają bankructwem, i niema żadnej nadziei, i wszystko jest inaczej, i nie można się zabrać do zwykłych zajęć... Przez mgnienie zastanawiała się nad tem, co ma uczynić z sobą po wyjściu gościa, jakimi będą wobec tego, co zaszło, godziny wieczoru—i natychmiast odtrąciła podrzędną troskę... Wydawało się jej, że należy czekać, może jutra, może jakiejś pomocy, jakiegoś wybawienia... Zresztą nie wiedziała nic, nie pojmowała, nie mogła ogarnąć... W najcięższych chwilach życia, po śmierci matki i córki, widziała wytkniętą drogę rutyny, wyraźną linię postępowania: był płacz i modlitwa, były odwiedziny znajomych, którym opowiadało się o ostatnich chwilach zmarłych, były msze i listy z kondolencją, i żałobne stroje, i ciągnęła pamięć boleści, i czujna myśl o tem, by nie zboczyć z utartej ścieżki, by cierpieć z chrześcijańską rezygnacją, do końca wykonać rolę... Tu z chaosu i mroku wyrastało tylko ogromne i przerażające widmo jakowejś mocy okrutnej, która bezlitośnie pastwi się nad nią, która sprawiła, że wszystko zapadło się, że dokoła jest mrok i chaos... Z dziecięcym zdumieniem patrzyła przed siebie w ciemną dal po-

kojów... Nie umiała wyobrazić sobie realnego kształtu, w który przyoblecze się niedola. Co to jest owo bankructwo, na którego wspomnienie drżała oddawna, zaniepokojona krążącymi po mieście pogłoskami, nad którym tak długo rozwodzi się Paweł? Nędza, ubóstwo, więzienie, wygnanie?... zadała nieszczerze pytanie. Zbyt długo żyła na świecie i w świecie, zanadto interesowała się sprawami ludzkimi, wśród których kwestya funduszu zajmuje miejsce naczelne, żeby nie rozumieć treści i następstw tak pospolitego, jak bankructwo, zdarzenia; jeździła nieraz na wyprzedaje sprzętów, opiekowała się rodziną, która ze szczytu zamożności stoczyła się na ostatni szczebel nędzy; dosyć biegle orientowała się w obrotach pieniężnych; trafnie taksowała skalę zamożności znajomych, dbała o stronę „metaliczną“ życia—ale na razie próbowała ludzić się... Myślała o starych Zymirskich, którzy, mimo że syn roztrwonił mienie i zhańbił się ucieczką, nie zaznali niedostatku i nawet nie wynieśli się z własnej, zbytkowej willi... Wprawdzie wiadomem jej było, że Obroński roztacza nad nimi opiekę... Myślała dalej, że nie może się stać, żeby człowiek taki, jak jej mąż, Hilary Kamieniecki, posiadający wielką ilość majątków ziemskich, kamienic, fabryk, w jednym dniu przestał być właścicielem ogromnych dóbr... Myślała o miłosierdziu Bożem, o kapitałach hrabiny Hubertowej, bezdzietnej ciotki, o bogactwie tego samego Pawła i męża starszej córki Klary, o znajomych, którzy szli do ruiny, tonęli i znowu wypływali, o wpływowych stosunkach... Niby wyrazy, pisane palcem w powietrzu, były te myśli—zacierają się, rozplywały się w próżni, znikają bez śladu... Natomiast przypomniały się jej dola Kozłomirskich, u których sama nabyła dwa autentyczne podobno Teniers'y, olbrzymia cyfra długów męża, o której słyszała, ostrzeżenia paru życzliwych, jakiś anonim, pożary, stały od niejakiogoś czasu brak gotówki w domu tak dalece dotkliwe, że pożyczala nieraz u służby, że w ostatnim roku nie opłacała zupełnie rachunków w magazynach... I zwolna, a coraz wyraźniej, jęły ukazywać się przeraźliwe zarysy rzeczywistości. Martwa abstrakcyja nieszczęścia zamieniła się w obraz żywy i zrozumiały. Ujrzała nędzę owej rodziny podupadłej, którą odwiedzała z obowiązku, dwie znane dobrze izby na przedmieściu, posępne jak mogiła, nieznośne zapachem, który nazywała l'odeur du pauvre, tę panią o wytwornych ruchach, wytwornie popłakującą, niby na scenie w dramacie, podczas wiecznie tej samej opowieści o dawnych świetnościach, wybladłe dzieci, patrzące osowiałemi oczami, rozpaczliwą kanapę, na której siadywała, ubogie zapasy, starannie przechowywane za oknem, talerze z resztkami jadła, z za-

stygłą zupą, z jakimś poskubanem mięsiwem, na których widok doświadczała nudności... Chwycił ją dreszcz wewnętrzznego chłodu... Na samym dnie duszy leżała bryła twardego lodu... Zgroza wyłoniła się z myśli, że takim będzie jej los... Zawarła na chwilę powieki, jak człowiek, który nie może znieść widoku, którego spojrzenie pragnie spoczynku... I naraz w pamięci odżyła radość, która rozkwitała w sercu ze świadomości spełnionego obowiązku i dobroci własnej, gdy rozdawała dzieciom cukierki i kwiaty, a wykwintna pani, tytułująca ją hrabiną, próbowała pochylić się do jej ręki, radość, z którą przez śmierdzące podwórze wracała do swego powozu, gdzie lokaj w liberyi czekał, żeby z uszanowaniem otworzyć i zatrzasać drzwiczki, do swego świata, tak odmiennego, do szczęścia... I mknęły ulicą konie... Powiew uciechy zdmuchiwał, rozwiewał, jeśli co jeszcze zostało z przykrego wrażenia. Następowaly wizyty, czasami gwarny salon z rozweselającą atmosferą jour'u, którą lubiła, czasami w „poważnym“ domu poufna rozmowa z hrabiną Skomoroch, z Rózią Miłowską, z panią Hubertową, o rzeczach duchowych, rozmowa, która podnosi i pokrzepia... W domu obowiązki, powszednie a przyjemne troski, liczne zajęcia matki, która ma córkę na wydaniu, dobrej żony, matrony, świadomej swoich zadań... modlitwa, mody, listy, goście, opieka nad służbą, ochronka, stowarzyszenie niewiast katolickich... od czasu do czasu skrawek niedoli ludzkiej, którą spostrzegą przelotnie, którą osładzała... Łatwo mijały dnie życia... Nędza i cierpienie obcych, dalekich ludzi stanowiły szczególnie podrzędny, jak kamienie przydrożne, kamienie na drodze pod kołami powozu, podczas podróży, jak owe długie i nędzne wsie, przez które się jedzie z konieczności... Istnienie Henryetty Kamienieckiej wydawało się jej możliwem tylko w warunkach, w otoczeniu, do których przywykła, jak do własnej sukni, z którymi zrosła się; nigdy, mimo dręczącego niepokoju, nie powstała w niej myśl, żeby mogło być inaczej, nie ukazała się zblizka i namacalnie trwoga o byt, o trwałość domu, życia, w którym płynęły lepsze albo gorsze, mniej albo więcej przyjemne lata doli... Sprężysty optymizm i naiwna wiara w szczególną opiekę Boga nad nią zwalczały trzeźwą troskę, snuły sieć złudzeń, skrywały prawdę... Tymczasem stało się—i prawda stanęła, prawda wepchnęła w jej dom, do zacisznego buduaru nieszczęście...

— Nie może być, żeby wszystko, żeby tak, jak ty mówisz!— gwałtownie zwróciła się do Pawła—z dużej fortuny...

— I największe fortuny przyskają pod ciężarem długów... Fundusz rozpełza się powoli, nieznacznie. Wreszcie jakaś godzina

stanowacza, jakiś fałszywy ostatni krok... Zawily mechanizm psuje się, gdy lada sprężyna przestanie działać...

Pani Henryetta zmierzyla zięcia przejmującym spojrzeniem i zamilkła. Odczuła w tej chwili nieprzewartą nienawiść do Pawła, do jego suchego głosu, do ponurej twarzy, gładko uczesanych włosów, do sztucznej pozy, chłodnych i poprawnych okresów, którymi częstował ją od godziny, którymi zabijał w niej resztę otuchy... Zimno brzmiały martwe słowa o rezygnacyi, któremi starał się pocieszać, słowa jak gdyby jej własne, powtarzane przez nią często w innych okolicznościach... Tak, to były inne okoliczności... Teraz zaś ani przez mgnienie nie odezwała się w pani Kamiemieckiej potrzeba budowania Pawła przykładem męstwa, poddania się woli Bożej i cierpliwości... nie sięgnęła do obfitego zapasu pięknych myśli, nie próbowała utrzymać się w roli wzorowej niewiasty i córki matki swojej... Zdejmowały ją znużenie, niemoc i owa obojętność, która wynika z rozpaczyny... Chciałaby twardo zasnąć i spać długo... ciało, jak gdyby zmęczone pracą, domagało się wytchnienia... Ale jaskrawa świadomość nieszczęścia razila wzrok, niby światło latarni, którą zbój świeci w oczy swojej ofiary, i nie przychodziło zapomnienie... A serce wzruszyła żalność myśli, że oto Bóg, któremu polecała codziennie i siebie, i rodzinę, i przedsięwiorstwa męża, wobec którego spełniała wszelkie obowiązki, odwrócił się od niej, że dzieje się jej krzywda, że matka przestała nad nią czuwać... Na usta wychyliła się pół skarga, pół modlitwa, słabe, beznadziejne kwilenie... I znowu zapuściła spojrzenie w przyszłość, w niezbadany odmet, z którego wynurzało się najstraszniejsze widmo... widmo-widzenie owych dwu pokojów na przedmieściu w głębi zapowietrzonego podwórza, z wejściem przez kuchnię, z Matką Boską Nieustającej Pomocy na ścianie, z głodnymi osowiałemi dziećmi, z dystyngowaną zreumatyzowaną panią, do których przez nizkie okna zaglądał szary, smutny, niekończący się nigdy dzień niedoli... W duszy rozległ się krwawy krzyk buntu czy przerażenia... Ostatkiem sił odepchnęła nieprawdopodobne, niemożliwe przypuszczenie, żeby takim miał być koniec... Podniosła oczy na Pawła...

— Cioćia Hubertowa nie pozwoli—odezwała się—nie zgodzi się na to, żebyśmy, żeby ja z głodu...

— Hrabina Hubertowa... nie wiem...—mruknął Paweł.

Pani Kamiemiecka zwiesiła głowę, zgarbiła się, jak człowiek, który upada pod brzemieniem... Surowy wyraz twarzy zięcia kładł kres wątpliwości... I jęła powtarzać sobie po raz dziesiąty, że wszystko stracone, że niema żadnej nadziei, że jest ruina,

że stała się... ta krzywda... krzywda jej, która nie zasłużyła, nie spodziewała się... wybuchął z głębi niezmierny żal nad sobą i zamieniał się w płacz... Ale łzy nie polały się z oczu... wysuszał je chłodny powiew strachu.

— Zwiastowałeś mi najgorszą wiadomość — rzekła głosem zupełnie złamanym — i zamiast tego... doprawdy... widzisz Pawle, że ja...

Nie umiała wypowiedzieć swojej myśli. Targał nią dreszcz. Wyrazy przymierały na trzęsących się wargach.

— Jestem kobietą słabą... niech się dzieje... róbcie sobie... mój mąż zawinił... ja nie przywykłam i nie potrafię... czemu ty, Pawle?

Chwyciła fotografię córki, spojrzała i odrzuciła ruchem, jak gdyby gniewnym. Skrzywiły się jej usta, niby przed rozplakaniem się.

— Przeżyłam tyle lat... nie zniosę tego... wołałabym umrzeć... od młodości bałam się... i jeżeli tak, jeżeli nędza...

Urwała. Zdawało się jej, iż każde wymówione słowo, którym dotyka okropnego przedmiotu, niby podpis na cyrografie przybliża i czyni nieodwołalnym nieszczęście, a zarazem oznacza wyrzeczenie się wszelkiej nadziei i zgodę z jej strony, że nieszczęście, nazwane po imieniu głośno, zjawilo się i objęło nad nią władzę.

Paweł przypatrywał się zmienionej, szpetnie zmiętej i przeżalonej twarzy teściowej i odczuł głęboką litość.

— Właśnie chciałem prosić o chwilę uwagi — powiedział spokojnie. Mam kilka zapytań... Czy Kamieńczyce należą do mamy?

Przez dłuższy czas nie było odpowiedzi. Pani Henryetta zakryła sobie oblicze rękami.

— Kamieńczyce otrzymałam w posagu — odparła sennie.

— Może mama podpisała akt zrzeczenia się, albo wydała mężowi pełnomocnictwo z prawem sprzedaży?

— Nie pamiętam... chyba nie...

— Muszę wiedzieć napewno. Powstał bowiem wśród ludzi życziwych projekt wyratowania Kamieńczyc...

Pani Henryetta odsoniła twarz, słuchała uważnie.

— Przyszedłem przedzić mamę... Przypuszczam, że pan Hilary, nie mając już nic do stracenia, zechce zaryzykować i resztę funduszu żony... Będzie nalegał, postawi tysiąc propozycji... Niech mama odmawia... Nie jestem prawnikiem... Poszukamy jutro adwokata... Kamieńczyce są grubo zastawione w banku, część będzie spleciona.

Wyłuszczywszy wszystko możliwie dokładnie, Paweł umilkł. Krępował go badawczy wzrok teściowej. Jej martwe, przed chwilą osłupiałe oczy nabrały życia.

— Trzymałeś mnie tak długo w niepewności, zatrwożyłeś mnie—odezwała się—żeby teraz pocieszyć... uciekłeś się do taktyki gospodarza godów w Kanie Galilejskiej, który to zachował wino dobre na koniec uczty... — ostatnia uwaga wymówiona była w tonie prawie żartobliwym.

— Nie przesadzałem bynajmniej — zdziwił się Paweł — i nie chciałem straszyć... Rzeczy stoją tak, jak je przedstawiłem... Zapewniano mnie... ktoś, obznajomiony dokładnie, twierdził, że stan interesów pana Hilarego bardzo groźny, że ratować zapóźno... Musiałem to wszystko powtórzyć, żeby mama nie uległa namowom męża i nie poświęciła Kamieńczyc...

— Dziękuję ci z serca...

— A z drugiej strony... nie jestem prawnikiem i mało znam się na tych sprawach, wiem wszakże...—Paweł wahał się, trochę zmieszany—słyszałem, że ratowanie części funduszu w takich wypadkach odbywa się zwykle z pewną szkodą wierzycieli... Może ja myślę się... wspomniałem o tem dla usunięcia wszelkich nieporozumień... trzeba, żeby mama oryentowała się... Rozumie się, że tu, skoro księżna pochwała projekt akcji ratunkowej, niema obawy... O zachowaniu całego obszaru Kamieńczyc nie może być i mowy... Część pójdzie na pokrycie długów najbardziej pilnych i drażliwych... przynajmniej tak zapatrywała się księżna... — z zakłopotaniem wykladał Paweł.

Pani Henryetta spoważniała.

— Sprawy ludzkie krzyżują się i płaczą tak dziwnie... Niema ładu na naszej nędznej ziemi... człowiek błądzi, upada, kaleczy bliźnich... Nie krzywdziłam nigdy nikogo... i teraz, Pawle... Ale dobro dzieci moich leży mi na sercu — odpowiedziała wymijająco.

Było milczenie. Paweł uważał misę swoją za wyczerpaną...

— Kamieńczyce za moich panięńskich lat ceniono na dwakroć... Biedny Hilary zastawił w Banku i rąbał lasy... przybyły zato: gorzelnia, rektyfikacja, fabryka zapalek... Jaworów przynosi trzy tysiące—cicho, jak gdyby do siebie, ze ścisłą znajomością rzeczy, zauważyła pani Kamieniecka.

Potem postawiła parę pytań. Paweł bał się, żeby nie wypadło mu tłómaczyć, kto i z jakich pieniędzy spłaci dług bankowy, obciążający Kamieńczyce, bał się, że przyjdzie do walki, że

teściowa nie zechce przyjąć pomocy. Ale pani Henryetta nie poruszyła tej sprawy. Podziękowała mu tylko za szczerość.

— Jeśli chodzi o byt moich dzieci—wyjawiała—poniosę wszelkie ofiary... spełnię obowiązki... Nie zawiedliście się na mnie... Zaczna księżna zna moje poglądy... Nie ugnę się, podźwignę ten krzyż, jak tyle innych... Wdzięczną ci jestem, że nie zataiłeś prawdy, że w porę ostrzegłeś... Trzeba działać, nie tracąc czasu. Kamieńczyce, to nie tylko dach nad głową, przytułek dla nas, to placówka, kawał ziemi polskiej...

— Zapewne — zgodził się Paweł, zdumiony tonem energii i męstwa, na który niespodzianie zdobyła się teściowa, przed chwilą jeszcze złamana i bezradna.

Nie rozumiał powodów tej nagłej zmiany.

— Udamy się jutro do adwokata—kończyła pani Kamieniecka—niech radzi swoim ziemskim rozumem... mam wszakże gdzieindziej obrońcę, który nie zawodzi nigdy, któremu ja wierzę najwięcej... domyślasz się, Pawle, o kim mówię?...

W głosie była już zwykła otucha.

Wtem weszła do pokoju panna Maryńcia. Przywitała się z Pawłem, stanęła zakłopotana milczeniem, które zaległo... Pani Henryetta przywołała ją do siebie, pogłaskała po głowie, znacząco popatrywała w oczy.

— Usiądź i zostań z nami—rzekła poważnie—jesteś już w tym wieku, że możesz dzielić z matką wszystkie jej troski. I ja od młodości uczyłam się je dźwigać. Twoja babka wychowywała mnie w prawdzie...

Głędząc włosy córki, po dłuższej pauzie mówiła dalej:

— Spadło na nas, dziecko moje, nowe nieszczęście... Bóg doświadcza nas i zsyła krzyż po krzyżu... Musimy to znieść bez szemrania... Tłómaczyłam ci zawsze, że bogactwa, że wszelkie dobra ziemskie, że wszystko, co posiadamy, nie należy do nas... I dom w Kamieńczycach, który tak lubisz, i to mieszkanie, i koń, na którym jeździłaś, wszystko może być nam każdej chwili odebrane... Ludzie budują, a jeden powiew wiatru wywraca... zamożni stają się nędzarzami... Wszystko przemija i zmienia się. Dziś jesteśmy tu, pod dachem, jutro — Bóg wie?!... Nie należy przywiązywać się do rzeczy tego świata... Używajmy z wdzięcznością, cieszymy się z posiadania, ale smucić się nie wolno po stracie...

Na czole panny Maryńci niecierpliwie drgały znarszczki. Drażnił ją ton, którym matka przemawiała do niej niby do dziecka.

— Ja już domyślam się, mamgo!—sarknęła.

— Ojciec twój — wolno i jakby lubując się w opowiadaniu ciągnęła dalej matka—któż zresztą nie błądzi i komu to stale powodzi się? zaplątał się w interesach... pracował nad tem, żeby powiększyć fundusz, żeby zapewnić waszą przyszłość, ale przyszły ciężkie czasy... znaleźli się na drodze jego ludzie niesumieni, wybuchła rewolucya... Grozi nam, dziecko moje, ruina...

Panna Maryńcia skoczyła na krzesło.

— Nareszcie!—zawołała—wiedziałam, że to nastąpi... podsłuchałam rozmowę dwu panów na jakimś raucie rok temu, zaraz po ucieczce Żymirskiego...

— I nie wspomniałaś mi o tem!... Gryzłaś się po cichu, a ja bym uspokoiła ciebie... Córka nie powinna mieć tajemnic przed matką—zaczęła strofować pani Henryetta.

— Nie chciałam mamie mówić—żywo przerwała panna Maryńcia, żeby nie zasmucać. Sama nie przeraziłam się zupełnie. Byłam nawet rada. Mama wie, że ja nienawidzę bogactw. Wszelkie bogactwa są z krzywdy, z wyzysku, z rozboju. Myślałam nieraz na balach podczas kotylionów, że tam, gdzieś, w naszych fabrykach już pracują dla nas robotnicy, że za jedną moją suknię możnaby było kupić bucików dla dzieci z dwu wsi z Kamieńczyc i Perespy, że gdy my bawimy się, w więzieniach...

Pani Kamieniecka wyrzekła się czy zapomniała o pedagogii. Patrząc na córkę z uciechą, ze słabością rodzicielską, z nieświadomym zachwytem, który kryje się w każdym kochającym sercu matki, zaczęła śmiać się dobrodusznie.

— Słyszysz!—zwróciła się do Pawła—ona zawsze taka! pracuję nad nią, przerabiam, nawracam — i oto owoce! Spiskuje za mojami plecami, ukrywa w szufladach między bielizną bomby..., cieszy się, że rewolucya skasuje własność...

— A tak, mamó! I Paweł myśli to samo!... Nie będzie już uprzywilejowanych i pokrzywdzonych. W nowym ustroju każdy otrzyma tyle, ile własnym trudem... szczęśliwa jestem, że my teraz staniemy w szeregu tych, którzy uczciwie zarabiają... Ja utrzymam i mamę i siebie... ułożyłam cały plan...

— Unosisz się Marie—skarciła ją matka—i wpadasz w kranćcowość... Zostaw mi troskę o przyszłość i kierunek... Sterowałam dotychczas... i krzyżów było niemało... radziłam sobie...

— Wiem, mamó, wiem — niecierpliwiła się córka — ale zmieniły się czasy! Wszystko dziś inaczej... Straciliśmy fundusz, trzeba pracować...

— Pracować powinien każdy, zarówno bogaty, jak biedny... Twoja rewolucya nie wymyśliła nic nowego...

— To nie rewolucya, ale poprostu poczucie sprawiedliwości... Ludzie szlachetni chcieliby usunąć krzywdę... Mama nazywa ich bezbożnymi, a przecież Chrystus przeklął skarby i faryzeuszów i tych, którzy, jak wielbłądy przez ucho igielne...

Pani Henryetta spoważniała.

— Powtarzasz słowa, których nie rozumiesz dobrze—przerwała surowo i dotykasz niepotrzebnie religii... Notre Seigneur—przeszła na francuski—zstąpił na ziemię, żeby odkupić dusze, żeby uratować ludzkość dla wieczności niebieskiej... A bogactwo, własność, praca, władza—to wszystko sprawy ziemskie...

Panna Maryńcia sprobowała zaprzeczyć, zżymała się, wreszcie dała za wygraną. Słuchała pokornie, z twarzą chmurną, z jakąś troską na czole i spoglądała od czasu do czasu ku Pawłowi, który milczał.

— Pomówimy jeszcze z sobą—szepnęła w pewnej chwili.

Pani Kamieniecka długo nauczała oboje. Opowiadała o życiu swoim, o zasadach i duchu domu, o krzyżach doli ludzkiej, o matce swojej... Rozrzewniła się...

Gdy nadarzyła się sposobność, korzystając z pauzy, Paweł wstał i począł się żegnać... Pani Kamieniecka nie zatrzymywała go, ale prosiła usilnie, żeby koniecznie odwiedził „biednego“ Hilariego... Panna Maryńcia robiła mu także jakieś znaki oczami... Zgodził się tedy... Szedł przez szereg ciemnych pokojów... W salonie zmroziło go wspomnienie katafalku, zwłok, śmierci i onych myśli, które leżały gdzieś w głębi, czekając pory i kolei... Uśmiech, z którym przysłuchiwał się społeczno-moralnym rozprawom teściowej, zsunął mu się z duszy, jak papierowa maska...

U jakiegoś okna panna Maryńcia stanęła.

— Widzisz, Pawle,—zaczęła szepsem—przy mamie nie mogłam... Tu, na osobności, powiedz mi szczerze, jak z tem jest, czy niema tu nieuczciwości i krzywdy... Słyszałam, że robotnicy nieopłaceni oddawna, że są jakieś długi, zaciągnięte u ludzi niezamożnych. Szlachta zaściankowa w Kamieńcycach przynosiła papie swoje oszczędności... sama widziałam... Mów wszystko... ja muszę wiedzieć...—gadała gorączkowo.

— Nie wiem nic — cicho odrzekł Paweł.

— Koniecznie, Pawle... wyznaj mi... nieoszczędzaj mnie... cierpię nad tem oddawna... Ludzie opowiadają rozmaite rzeczy o Żymirskim i o papie... Chciałam pójść i spytać papę poprostu... Ale papo nie powie... To wszystko zmęczyło mnie... Rozumiesz, jak bolą posądzenia, jak boli myśl, że ktoś bliżki... Taki mi żal tych ubogich, z trudem uciulanych rubli, które utonęły w naszej

kasie... Z przyczyny papy może setki rodzin cierpią nędzę... Jeśli to zupełna ruina i niema z czego oddać, będę pracowała, sprzedam wszystko, ale zwróczę...

Paweł spoglądał przez okno w okna przeciwległej kamienicy, niby w nudny szereg obojętnych twarzy, które zdaleka śledzą ich rozmowę... Było mu, jak gdyby do serca spłynęła lza... Ujął wzburzone ręce dziewczyny.

— Uspokój się Maryńciu—powiedział serdecznie—wystarczy jeszcze na zapłacenie robotnikom i szlachcie... Będziemy czuwalili... Nie zatrapiaj się... Plotek krąży mnóstwo...

Panna Maryńcia dumiała chwilę.

— Jeśli to prawda... jeśli ty nie oszukasz mnie...

— Prawda rzetelna Maryńciu...

Nastąpiło milczenie.

— Mam jeszcze jedną prośbę — z cicha odezwała się dziewczyna. Siedzę tu beczynna niby w jakim klasztorze, nie wiem o niczem, nie biorę udziału... A dokoła wre walka... Zapisz mnie, Pawle, do partii, do której sam należysz... Może przyjmą mnie... Pracować będę jak wszyscy, nie gorzej zapewne... Marzę o tem oddawna... ale ciebie nie było... wśród znajomych w salonach na próżnym szukała... Zrób to, Pawle, dla mnie—prosiła.

— Kiedy ja nie należę prawie... zraziłem się...

— Jaktó! ty... Maryлька opowiadała mi tyle o twojej działalności... Pamiętam także, z jaką mową ty wystąpiłeś przed rokiem na raucie u Agi... I teraz, kiedy idzie do zwycięstw, ty... to niepodobne do ciebie...—dopytywała się żywo panna Maryńcia...

Ty zapewne tylko unyślnie przedemną, żeby mnie zniechęcić... Mama wpłynęła... nie chcesz brać na siebie odpowiedzialności... boisz się, że ja za młoda i nie potrafię dochować sekretu... Widzisz, domyśliłam się...

— Nie zgadłaś—odparł Paweł z uśmiechem—powierzyłbym tobie wszystkie tajemnice, a oni przyjęliby ciebie z otwartymi ramiionami... Kobiet tam mnóstwo, zwłaszcza brzydkich... stanowiłabyś wyjątek...

— Zartujesz... a to zajmuje mnie niezmiernie... powiedz poważnie, dlaczego zraziłeś się...—nalegała.

Paweł sposepniał. Patrzył chwilę ku nieznośnemu szeregowi twarzy-okien, zdawało się, zasluchanych w ich rozmowę.

— Długoby o tem mówić—rzekł—przekonałem się, że są zagadnienia ważniejsze, niż wszystkie kwestye społeczne... postanowiłem znaleźć odpowiedź...

— Słowem filozofia...

— Może i tak...

— Ja nie lubię filozofii, gdyż ona gmatwa i zaciemnia... Naprzykład ktoś wymyślił, że świat zewnętrzny nie istnieje... I piszą ludzie traktaty... chociaż nikt nie wątpi o smaku zupy podczas obiadu. Zresztą zapewne za głupia jestem... Chciałabym działać, usunąć krzywdę, nędzę, tysiącne cierpienia... To wystarczy...

Panna Maryńcia popadła w zadumę.

— Dowiedziałam się niedawno—odezwała się po chwili— że Hanka, Hanka Skibowska... znałeś ją niegdyś—mieszka tu od kilku miesięcy, że jest w nędzy, że spotkało ją nieszczęście—głos jej drgnął. Może i ty słyszałeś? Trzebaby dopomódz... odszukaj ją... mam adres... bo sama... bo mnie trudno jest...

Dalszą rozmowę przerwał im stuk otwieranych drzwi. Ukażał się lokaj ze świecą, za nim niemłody pan, który szedł śpiesznie. Z pewnem zdumieniem obejrzał parę pod oknem, ukłonił się uprzejmie pannie i pomknął dalej.

— Doktor papy — objaśniła panna Maryńcia, prowadząc Pawła do gabinetu ojca. Nie zapomnij o Hance... Numer 48, mieszkania siódmy... opowiesz mi szczegółowo...—szepnęła już przed drzwiami.

Paweł zastukał, wszedł, przywitał teścia, usiadł. Pan Kamieniecki, zwykle uprzedzająco grzeczny, nie zwrócił nawet uwagi... Podkreślił ogień w lampie, pochylił się nad receptą, badał skrupulatnie...

— Znasz się na lekarstwach—odezwał się nagle do Pawła—przeczytaj mi to... Natri?...

A gdy Paweł wysylabizował łacińską nazwę, znowu zapadło milczenie... Pan Hilary przeszedł się po pokoju, przejrzał się w lustrze, chodził, stał w jakimś kącie koło szafy, zamysłony.

— Tupalskiego chwałą—rzekł—ale on nie podobał mi się... Obojętny jest dla chorego, zanadto żywy... Nie lubię także lekarzy, którzy w czasie badania rozprawiają o polityce, prowadzą wesołe rozmowy... Może to taktyka, skierowana do uśpienia czujności?... Ja czytam im z twarzy, z oczu, z czoła...

— Wierzysz w medycynę? — spytał potem zięcia.

— Nie bardzo — odparł Paweł.

— Nie wierzysz! — powtórzył pan Kamieniecki i zdziwiony czy zaciekawiony odpowiedzią, zbliżył się, przysunął krzesło, zaczął uważnie przyglądać się Pawłowi...

— Nie wierzysz!—powtórzył jeszcze raz, jak gdyby ze zniechęceniem, ale nie zażądał wyjaśnienia.

A ja wierzę i czczę — powiedział po chwili — słyszałem o tylu wypadkach uzdrowień, poprostu cudownych... Przekonałem się i na sobie... Wydobyli mnie z zapalenia opłucnej, z tyfusu brzuszkiego, podtrzymują i teraz...—nieufnie spojrzął zięciowi w oczy.

To jest potężna nauka! Śledzę, czytam, rozmawiam z lekarzami... Co za postępy! jakie odkrycia i wynalazki! Każdy dzień przynosi nowe coraz to doskonalsze środki... Tak, tak mój drogi... Toczy się zażarta walka na wszystkich punktach... Cóżby było, gdyby nie oni, ci panowie od słuchawki!... Pomyśl tylko! Kędy tylko rzucić okiem, czyha na nas niewidzialny wróg. Zakrada się powietrzem, którem oddychamy, wodą, którą pijemy, kryje się w wąsach, w firankach, między stronicami książki. Przyłapa do podeszwy, załazi pod paznogie... — mówił z ożywieniem, z widoczną przyjemnością o przedmiocie, który lubił.

Ktoś słusznie zauważył, że żyjemy jak gdyby śród stada dzikich zwierząt. Spacerujemy ulicą, bawimy się w teatrze, wskazujemy do tramwaju, a dokoła czają się hyjenty, szakale, tygrysy... Kładziemy się spać, tymczasem w nocy jakaś gadzina... Na każdym kroku niebezpieczeństwo... Jeśli zamkniesz się w domu, w czterech ścianach higieny, to jakiś znajomy uprzejmie przyniesie ci w chustce do nosa zarazek... Ile włosów na głowie, tyle wrogów... Gruźlica, rak, kamienie, nieżyt, skir, zapalenie ucha i opon, otrzewna, nerki... Organizm człowieka to pole bitwy, która nie ustaje ani na chwilę... Sześć czy siedem chorób mieszka w nas stale i czeka sposobności... Sekcyje to wykazały... Zdawałoby się, że niema ratunku... Ale na szczęście istnieje taki sobie pan Tupalski, Ostrowski, Zabojecki, który za pomocą kilku łyżek mikstury albo pigułek zapobiega, usuwa, zwalcza... Czy to nie jest cudowne!

Gdy doktor zapisze mi lekarstwo — opowiadał jeszcze — udaję się zwykle sam do apteki, siadam i czekam... Co moment otwierają się drzwi, wpadają zdyszane kucharki, jakieś panie, młodzi ludzie, lokaje, posłańcy... płacą, odchodzą z pośpiechem... Lubię ten widok... Myślę wówczas, że gdzieś na jakimś łóżku choroby wije się w cierpieniach i trwodze i że w małej butelce, w pudełku z proszkami, starannie zawiniętem i opieczętowanem, czyjaś ręka przyniesie mu życie, ulgę i radość... Myślę o potędze medycyny i człowieka...

— Aż wreszcie przychodzi godzina, w której żadne lekarstwo i żaden doktor... — trafnie, ale najbardziej niesubtelnie, zauważył Paweł.

Pan Hilary drgnął i mimowoli odsunął się od zięcia, mru-
gnął parę razy powiekami.

— Ano tak — zgodził się cicho.

— Aga była młoda, lekarz czuwał od rana do nocy...

— Ano tak...

Nastała cisza. Pan Hilary bezradnie przebierał palcami, silił
się na jakiś uśmiech, nadrabiał...

— Któż o tem nie wie? — mruknął.

I było coś takiego w fałszywym uśmiechu, w intonacyi,
w tem pozornie bagatelizującym przejściu do porządku, że nawet
Paweł zmiarkował się i podniósł badawcze spojrzenie... A w chwili,
gdy patrzył, wydało mu się, że widzi tę rudą o wysokiem spraco-
wanem czole głowę już w trumnie na białej atlasowej poduszce,
uśpioną, straszliwie nieruchomą...

— O czem myślałeś teraz?—niespokojnie i podejrzliwie spy-
tał teść.

Paweł zmieszał się, rzekłbyś złapany na gorącym uczynku.

— Myślałem, że dzień jutrzejszy przyniesie ciekawe nowiny —
kłamał niezgrabnie, pod uporczywem wejrzeniem teścia, pe-
wny, że on czyta mu w oczach — powtarzają na mieście sensacyj-
ne plotki o ustępstwach rządu... dziś w nocy nadejdzie podobno
oficyalne potwierdzenie...

A pan Kamieniecki zgadł rzeczywiście:

— Być może, być może—rzekł dziwnym głosem. Ty wszakże
myślałeś, że dla mnie już bliska godzina, w której żaden lekarz,
żadne lekarstwo...

— Ależ ojciec!...

— Sukcesyi nie otrzymasz... czekaj tedy cierpliwie... Wam
nic nie przybędzie, a ja bym jeszcze... — nadrabiał znowu i silił
się na uśmiech. Interesa moje idą najgorzej... Żymirski spłatał
mi figła, chłopci, których ty bierzesz w opiekę, dopomogli, strajk...
słowem umyłem się z fortuny—mówił szybko, jak gdyby zagady-
wał i najzupełniej obojętnie — przedsiębiorstwa, oparte na kredy-
cie, zawodzą najczęściej... Jakichże zysków potrzeba, by coś się
okroiło po opłaceniu długów na dziesiąty, dwunasty procent...
Opowiadali ludzie cuda o rektyfikacyi... Zbudowałem dwie i go-
tów jestem dziś odprzedać... W tym kraju wszystko rozbija się
o to, że ludzi niema... Jedni kradną, drudzy uprawiają politykę...
Miałem pisarza, który w oborze czytał gazetę, a wieczorami pisy-
wał wiersze patryotyczne...

I doczekaliśmy się rewolucyi — prawil głosem niedbałym.
Narobi tu ona bigosu... Pójdziemy wszyscy z torbami... Dlatego

ja machnąłem ręką... Jak powódź, to powódź!... Na to niema rady... Odbiora, albo zniszcza, spala, stratuja... Igni ferroque... A pracowałem niemało i, widzisz, niekoniecznie dla zysku, nie przez chciwość auri sacra fames, nie z tej dwuznaczej pasyjki, żeby z rubla urodził się mały synek — półrubel... Była to twórczość... Jedni na papierze, na płótnie, w marmurze, ja w prze-myśle... Lubiłem gorączkę zdyszanych dni, wrący ukrop spraw i owo złudne zapewne poczucie potęgi... Ktoś inny usiadłby wygodnie przy stole suto zastawionym i zajałaby poziewając — mnie trawiła żądza życia... Pamiętasz, spieraliśmy się niegdyś jeszcze w Kamieńczycach, toczyliśmy długie rozprawy właśnie o życiu... częstowałeś mnie swoim pesymizmem, który jest także paskudną chorobą...

Sypał pośpiesznie słowami, jak piaskiem, i wciąż z uwagą przypatrywał się zięciowi. W oczach tkwiła mu jakaś myśl, nie zawarta w wyrazach, któremi przemawiał.

— Bankrutują tylko głupcy w rodzaju Żymirskiego... Ludzie sprężyści tracą i dorabiają się, włączają na szczyt bogactwa, spadają... Jest w tem nawet pewien wdzięk... Im więcej dróg człowiek przemierzy, tem rozleglejszem staje się obszar życia... Idź i powiedz mojej żonie, która zatrapia się, że Hilary Kamieniecki poradzi sobie w każdej okoliczności... Wszystko na świecie zależy od stopnia kruchości naczyń krwionośnych... A właśnie Tupalski przed chwilą zagwarantował mi dziesięć lat — zaśmiał się.

Spojrzenie jego małych i bystrych, teraz jakby zmęczonych oczu, wpiło się poprostu w źrenice Pawła... Pod powiekami o rudych rzęsach tkwiła ta sama zawsze, uparta, nieodstępna myśl, którą zagłuszał gadaniem, usypiał, oszukiwał... Paweł odgadł ją... Przypomnił sobie teraz, że wczoraj po eksportacyi ktoś, może Obroński, może Klara, szeptał mu o atakach sercowych i groźnym stanie serca pana Kamienieckiego i przepowiadał drugi pogrzeb w bliskiej przyszłości, przypomnił sobie popłoch w kościele śród pań, gdy pan Kamieniecki zasnął... I znowu podczas krótkiej chwili milczenia ukazał mu się obraz trumny, w której atlasową poduszkę ugniatła martwym ciężarem ruda głowa teścia... Widział, patrząc w uśmiechniętą twarz żywego człowieka, beznadziejny spokój spracowanego czoła, śmiertelną bladość policzków, od której odbijał złotawy połysk zarostu, wymuszony grymas sztucznie zaciśniętych ust, przeraźliwą robotą śmierci, a jednocześnie czuł natrętny, przenikliwy wzrok oczu żyjących jeszcze, które napęłniał strach...

— I dziesięć lat i dwadzieścia, kto to w wieku ojca... — chwycił rękę Paweł.

— Więc powiadasz, że dzisiejszej nocy jakieś sensacyjne wiadomości—nerwowo, z niepokojem przerwał mu pan Hilary—że rząd ustępuje i rewolucya górą.. Nie dałbym i trzech groszy... Rozprężenie powszechne... Gdyby robotnicy postawili mi dziś najtrudniejsze warunki, zgodziłbym się na wszystko, bo wobec zachwianych interesów nie mam sił do walki... To samo tam...

Rozpoczęła się nudna dla obu rozmowa polityczna, którą prowadzili z nieszczerem zainteresowaniem. Pan Hilary udawał zapał, próbował unosić się, używał dawnej błyskotliwej broni.

— Nastąpi wybuch i zawierucha — rozprawiał — to potrwa czas jakiś, a potem, co potem? Ty może wierzysz w skutki, w realne korzyści? Niestety, ja... Lubię nadzwyczajnie Paryż i jeżdżę tam co roku, a że trzeba coś czytać nawet w Paryżu, wybieram sobie na owe dwa tygodnie pobytu jakąś historję tak zwanej Wielkiej, w rzeczywistości małej, szumnej, nadętej, wyśrubowanej Rewolucyi. Wieczorami w hotelu przeglądam rozdziały, na-jutrz od rana, włącząc się z ulicy w ulicy, sprawdzam, zestawiam, szukam... Niech mi kto pokaże drugie miasto na świecie, gdzieby tak wspaniale, tak arogancko i cynicznie kwitło to wszystko, co krzykliwa rewolucya usiłowała zniszczyć!... Prawa człowieka? Zwiedzałem umyślnie takie spelunki i zakamarki, do których przeciętny turysta nie dociera, żeby przekonać się naocznie, czy też one błogosławione prawa człowieka uszczęśliwiają Francję... Na papierze wypisać można wszystko...

Paweł wstawił jakąś uwagę z obowiązku, dla podtrzymania sporu. Potem przeszli na temat ordynacyi wyborczej i parlamentu z głosem doradczym, snuli przepowiednie co do przyszłości państwa...

— Dlaczego wciąż przypatrujesz mi się? — niespodzianie w pewnej chwili spytał Kamieniecki.

Spojrzeli sobie w oczy, Paweł odpowiedział niby żartobliwie... i zapadło milczenie. Kamieniecki stracił nagle ochotę do rozmowy. Zwiesił głowę, bezradnie przebierał palcami splecionych rąk, wstał, krążył po pokoju... Potem zmęczony się, usiadł. Oddychał ciężko.

— Tupalski zalecił mi ruch—mówił sapiąc—oni zawsze z tym swoim umiarkowanym ruchem na świeżem powietrzu... tymczasem nuży mnie to... odwykłem chyba... przyplątała się jakaś zadyszka... nazywają to rozedmą... kawał lekarza ze mnie...

Niedoleżnie uśmiechały się wargi, a w zmęczonych źrenicach odbiła się prośba, której Paweł nie rozumiał, której nie mógłby spełnić, prośba, z którą człowiek chory patrzy na zdrowie i młodość...

— U Obrońskiego odbywa się dziś posiedzenie... coś tajemniczego...

Na nowo zawiązała się sztuczna, rwąca się co chwilę, niepotrzebna rozmowa.

KAZIMIERZ ZDZIECHOWSKI.

Pierwszy generał-gubernator

KRESOWYCH PROWINCYJ.

Michał, syn Nikity, Kreczetnikow pochodził z rodu, który już od XVI stulecia poczynając, na różnych wydatnych stanowiskach służył państwu rosyjskiemu i jego władcom. On sam urodził się pod jakąś szczęśliwą gwiazdą: cała karyera jego wojskowa, z kolei—gdy poczynano braknąć pola do wojennych popisów—urzędnicza, to jedno długie pasmo powodzeń i chlubnych odznaczeń, uwieńczona równie zaszczytnym, jak odpowiedzialnym posterunkiem pierwszego generał-gubernatora kresowych prowincyj, oraz koroną hrabiowską.

W dziejach porozbiorowych Polski przypadła mu w udziale rola wybitna i trudna naczelnika sił zbrojnych armii rosyjskiej, gospodarującej wszechwładnie w granicach rozpadającej się w gruzy Rzeczypospolitej, wreszcie administratora i mentora przyłączonych do Rosyi po drugim rozbiorze kraju prowincyj. Stąd i przypomnienie człowieka, sylwetka jego, jak również przyjęty przezeń sposób „urządzenia“ kresów na rosyjską modłę, niemały budzą interes.

*

*

*

Michał Kreczetnikow, oddany w młodym wieku do korpusu kadetów, przykładał się z wielką pilnością do nauk. Po zdaniu ostatecznego egzaminu, wszedł odrazu do czynnej armii, awansu-

jąc szybko ze stopnia na stopień w hierarchii wojskowej. Szczęście mu sprzyjało: umiał pozyskać względy przełożonych, a nadto wstępował na arenę w chwili dla odznaczeń z szablą w rękę najspodobniejszej. Z jednej strony zatargi z Turcyą, z drugiej z Polską, nastęrczały pola do popisu ambitnemu człowiekowi bardzo dużo; obie przeciwniczki, osłabione wewnątrzniemi rozterkami, z góry rokowały łatwe zwycięstwo olbrzymim armiom, które Katarzyna rzucić mogła i istotnie rzucała na szachownicę bojową, więc i horoskopy dla uczestników owych zapasów wojennych układały się wcale pomyślnie.

W r. 1769 spotykamy Kreczetnikowa¹⁾ już w randze pułkownika na czele trzech pułków w pierwszej armii księcia A. M. Golicyna, oblegającej Chocim. W kilka miesięcy, w nagrodę za świetnie wykonane ataki, odbiera podziękowanie swej monarchini i awansuje na brygadiera i generał-majora. W r. 1770 odznacza się w walnych bitwach z Turkami w Małej Wołoszczyźnie, zdobywając dla państwa stolicę kraiku, dla siebie — order św. Anny I-jej klasy.

Oczyściwszy w r. 1771 oba brzegi Dunaju z wojsk tureckich, gdy nadto pogłoski o zawrzcć się mającym rozejmie pozwalały oczekiwać dłuższej przerwy w działaniach wojennych, rozpoczyna w Petersburgu starania o przeniesienie do służby cywilnej. Po tytułach, odmowa nad Nową spotkać go nie mogła i rzeczywistość nie spotkała.

Pierwszy rozbiór Polski dał Rosyi spore obszary, z których utworzono niebawem dwie gubernie: pskowską i mohylowską. Obie czekały na administratorów sprężystych i zasłużonych: ostatnia przypadła w udziale generał-majorowi Kachowskiemu; zarząd pierwszej objął Kreczetnikow z prawem przebywania kolejnego w Witebsku i Połocku. Obydwaj nowo-kreowani gubernatorowie mieli podlegać zwierzchnictwu białoruskiego generał-gubernatora, hr. Czernyszowa.

Niedługo atoli bawił Kreczetnikow na nowem stanowisku: już pod koniec 1775 r. zostaje gubernatorem twerskim: z kolei urzędują namiestnictwa kałuźskie, tulskie i rjazańskie, a mianowa-

¹⁾ „Żurnal relacyj k Jeja Impieratorskomu Wielicestwu kałuźskiego, tulskiego i rjazańskiego general-gubernatora, *Michała Nikiticza Kreczetnikowa* w 1782—1787 godach.“ Wstęp *O. Bodiańskiego*. („Cztiemija w Imper. Obszczestwie istorii i drevnostiej rossijskich pri moskowskom Uniwersitietie.“ Moskwa, 1863, księga IV.)

ny generał-gubernatorem wspomnianych właśnie trzech prowincyj, w przeciągu lat piętnastu niespełna, zdobywa najwyższe orderzy rosyjskie, oraz rangę „pełnego“ generała i inspektora armii.

Podobną karyerą, nawet za panowania Katarzyny II, mogło się pochlubić niewielu jego rówieśników. Karyera to tem więcej uwagi godna, że Kreczetnikow, przebywając stale zdala od Petersburga, nie miał sposobności do wstąpienia w szeregi tak przez carową wyróżnianej kamaryli dworskiej.

Zbliżamy się wreszcie do epoki w życiu Kreczetnikowa, w której wypadło mu działać na obszarach Rzeczypospolitej. Wkraczał w jej granice obwieszony wstęgami orderowemi, ufny w dotychczasowe swe powodzenie, z wiarą, że i w nowej fazie karyery złamie wszelkie nastrożające mu się przeszkody, pokona przeciwności, zdobędzie nowe odznaczenia i nowe uznanie. Wy-ciskało to, rzecz łatwo zrozumiała, na jego postępowaniu z polskiem społeczeństwem specyalne piętno.

*

*

*

Ciężkie chmury zawisły nad państwem rosyjskiem: imperatorowa zawikłała się w wojnę na dwa fronty, a Leopold II, szczerze sprzyjający Polsce, korzystając z osłabienia groźnej sąsiadki—wiąże się w Pilnitz z Prusami, odciąga je na teren walki we Francyi, uznaje przytem i zaręcza niepodległość Polski i młodziutką jej konstytucję 3 maja. Oczekiwany jednak grom nie uderzył w Rosyę, przeciwnie, po upływie kilku zaledwie miesięcy sytuacja zmienia się kardynalnie: Katarzyna II wydobywa się zrcznie z matni i całą forszą zmierza do wykonania ułożonych zdawna planów i projektów.

Pokój, zawarty ze Szwecyą, pozwala jej rzucić całą armię na południe i doprowadzić 9 stycznia 1792 r. do zakończenia w Jas-sach zatargów z Turcyą. Równocześnie prawie rozstaje się z tym światem „miłośnik pokoju,“ Leopold II, następca zaś jego, Franciszek I, zajęty wyłącznie Francyą, zapomina na razie o Polsce naj-zupełniej.

Na taką chwilę czekała tylko Katarzyna II.

„Imperatorowa — pisze *Joachim Lelewel* ¹⁾ — wyzwoliwszy się od wojny z Turcyą, zamierzyła sobie zająć się Polską, tym celem zawady, jakieby inne mocarstwa stawiać mogły, usunąć przedsięwzięła. Osobne z gabinetem wiedeńskim unawianie prędko wyjednało uchylenie warunków konwencji Pilnitz, ściągających się do Polski. Osobno wezwany do porozumienia się Fryderyk Wilhelm II, zajęty już niemało Francją, a wpatrując się w korzyści, jakie mu Rosya z łupów polskich podsuwała, zeszedł z toru, wyrzekł się i zaparł sojuszów z Polską zawartych. Francya tedy w tych stanowczych chwilach, odciągając baczność mocarstw sprzymierzonych ku sobie, odejmowała sprzymierzeńców Polsce. W tym stanowczym razie, Wielka Brytania opuściła i zaniebawiła, a Fryderyk Wilhelm II zdradził Polskę. Imperatorowa tedy bez przeszkody poskromienie Polski przedsięwziąć mogła, a lubo państwo jej nieco wojnami strudzone było, jednakże zdecydowała się wpływ i przewagę nad Rzeczpospolitą odzyskać.

Przyszedł jej zresztą z wydatną pomocą sojusznik wewnątrz Polski działający, obałamucony i zapamiętały w gniewie malkontent konstytucyi majowej: Targowica.

Zaledwie rok upłynął od chwil podniosłych, w których o mury domów warszawskich obijały się stokrotne echa entuzjastycznych okrzyków ludu: „naród z królem! król z narodem!“ a już poseł Bułhakow zapowiedział wkroczenie wojsk rosyjskich „dla przywrócenia dawnej zagwarantowanej formy rządu.“

Zwrot ostatni, powtarzany rzekomo z dobrą wiarą przez twórców nieszczęsnej konfederacji Targowickiej, uspił i obałamucił wielu; stronnictwo narodowe, wierne hasłom konstytucyi majowej, ujrzało się wobec dwóch wrogów — wewnętrznego i zewnętrznego, z których żaden nie przebierał w środkach walki dla pokonania przeciwnika.

Korpus litewski Ludwika ks. Wirtemberskiego poddał się niemal bez wystrzału. Korpus polski cofać się musiał przed przeważającym nieprzyjacielem; na nic się nie zdało męstwo ks. Józefa, Zajączka i Kościuszki; rozprawy pod Zieleńcami i Dubienką uratowały jedynie honor polskiego żołnierza, realnych korzyści nie przyniosły wcale.

¹⁾ „Panowanie króla polskiego Stanisława Augusta.“ Bruksella, 1847, str. 137—138.

„Pod zastoną wojsk rosyjskich, postępujących w głąb krajn i popierając je nawzajem, rozwijała się konfederacya Targowicka. Pokazało się wówczas, że „odrodzenie“ nie ogarnęło jeszcze całego narodu, że konstytucya 3 maja do ogółu nie umiała przemówić i w swoją grę go wciągnąć. W innych warunkach zewnętrznych byłyby się z czasem utrwałała i wytępiła żywioły anarchii, które umiała pokonać, póki one samym sobie były pozostawione. Gdy jednak nieprzyjaciel do tych żywiołów się odezwał, znalazł je na swe zawołanie, a konstytucya moc i urok swój utraciła. Wielka ilość szlachty, która już uległa stronnictwu patryotycznemu i zaprzysięgła konstytucyę, przechodziła teraz na stronę konfederacyi. Jedni czynili to w nadziei obłowienia się na majątkach patryotów, które ulegały grabieży lub konfiskacie, drudzy szli za dawną, przytłumioną tylko na chwilę, tradycyą burzenia wszelkiej władzy rządowej, większość zaś, ludzie krótkowidzący i słabi, ulegali urokowi, który otacza siłę. Nie przewidywali w zaślepieniu, dokąd to niechybnie prowadzi.“¹⁾

Do rzędu najstarszych należał niewątpliwie następca Piastów i Jagiellonów, Batorego i Sobieskiego, miłośnik sztuk i umiejętności—Stanisław August. Nieszczęściem jego było największem, że zasiadł na tronie właśnie wówczas, gdy nie mecenasa sztuk wyzwoionych, lecz przewidującego polityka i nieustraszonego wodza było Polsce potrzeba. Niestety, brzemień nań włożone, przerastało jego siły, to też umarł na wygnaniu, w carów stolicy, zanim to jednak nastąpiło, chwiejność i słabość charakteru ostatniego króla przysporzyły Rzeczpospolitej upokorzeń i szkód bez liku.

Najnowsza szkoła historyczna, niedostępna żadnym sentymentom, oceniła Stanisława Augusta z całą bezwzględnością: „Łudził się, jeśli przypuszczał, że odstąpieniem od konstytucyi uratuje państwo; w istocie rzeczy szło mu przeważnie o uratowanie tronu, choćby w poniżających warunkach; słaby jego charakter czepiał się strony silniejszej, brak moralnego hartu nie pozwalał mu ocenić, czem w dalszych następstwach mogło się stać uratowanie tego narodowego honoru, który jego powierzono pieczy.“²⁾ Skoro próba ratowania kraju przez wyznaczenie w. ks. Konstantego następcą tronu w Polsce zawiodła wskutek *veta* Rosyi, przy-

¹⁾ Michał Bobrzyński: „Dzieje Polski.“ Wyd. III. Kraków-Warszawa, 1890, str. 338—339.

²⁾ Ibid. 339.

łącza się z polecenia wszechwładnej już Katarzyny do Targowicy, dla siebie gotując śmierć moralną, dla kraju nieobliczalną w następstwach katastrofę.

*

*

*

Uchwała Sejmu czteroletniego, zalecająca tak gorąco powiększenie kadrów wojska, pozostała martwą literą na papierze, piękną pamiątką obywatelskiego zapału. Tym razem cudu zapał ten nie stworzył, a wkraczające w granice Rzeczypospolitej armie generałów Kachowskiego i Kreczetnikowa spotkały się, zamiast z bitnymi pułkami polskimi, z... dziwem nad dziwami. Oto armie rosyjskie z początkiem kampanii rozciągnięte były na niezmiernie długiej linii, wdzieraly się do Polski aż siedmiu oddziałami, ku końcowi zaś nad Bugiem stanęły, według obliczenia samego Stanisława Augusta, w skromnej liczbie 64,000 ludzi; mimo to ani jeden z tych oddziałów zniesiony nie został; wodzowie polscy stale uskarżali się w raportach na przewagę nieprzyjaciela w chwili spotkania; połowa zaledwie naszej siły zbrojnej zajrzała temu nieprzyjacielowi w oczy.

„Takie dziwy dają się zrozumieć tylko przy ostatecznem niedołęstwie wodza naczelnego Stanisława Augusta, który na początku kampanii d. 22 czerwca napisał już błagalny list do Katarzyny, a nie wyprawił, wbrew zwyczajowi międzynarodowemu, posła jej, Bułhakowa, z Warszawy i nakazywał Komisji Wojskowej, aby wydawała pasporthy dla kuryerów ambasady rosyjskiej.“¹⁾

Nic dziwnego więc, że w podobnych warunkach wodzowie rosyjscy, rozrzućeni po rozmaitych punktach na obszarach Rzeczypospolitej, porozumiewali się między sobą najspokojniej przez Warszawę, w której murach p. Bułhakow wkładał się czapkę i papką w łaski i względy najbliższego królewskiego otoczeniu, znajdując wpływ przemożny „i do rad, i do gabinetu, i do sypialnego nawet pokoju Stanisława Augusta.“ Wszak „pauz z Szydłowskich Grabowska, kochanica królewska“ publicznie chępiła

¹⁾ T. Korzon: „Wewnętrzne dzieje Polski za Stanisława Augusta.“ Kraków, 1886, tom IV, część II, str. 150.

się „manelami z dużych szafirów, otoczonymi dyamentami,“ nie ukrywając się wcale, że pochodzą one z daru Bułhakowa. „W pośród namów gromady potrwożonych kokosz, w pośród podłych doradców, podobien był Stanisław August temu uszczwanemu już jeleniowi, który z wywieszonym ozorem, lejąc łyzy obfite, nie śmiejąc w żadną rzucić się stronę, czeka zgonu swego na miejscu.“¹⁾

*

*

*

Kreczetnikow posiadał jedną, ważną bardzo, zwłaszcza dla swoich biografów, zaletę: skrupulatnie prowadził dziennik, polecając adjutantowi swemu zapisywać z pewnego nawet rodzaju pedanterią wszystko, co zasługiwało na upamiętnienie lub przynajmniej bacniejszą uwagę.

Adjutantem tym, cieszącym się najzupełnijszem zaufaniem długoletniego swego zwierzchnika i towarzysza broni, był Piotr, syn Michała, Grocholski. Pochodził ze starej szlachty polskiej herbu Syrokomla, w rosyjskiej służbie przebywał stale. Do tej suchej i zwięzłej wzmianki *O. Bodiańskiego*²⁾ więcej szczegółów o Grocholskim—już jako o wicegubernatorze wołyńskim—polskie dorzucza źródło:³⁾ „Był to Polak-Białorusin,⁴⁾ człowiek światły i bardzo obeznany z krajowemi ustawami, a nawet miał to być urzędnik bardzo uczynny, gdy w ambarasach rządowych jego rady lub intercesyi przyszło szukać. Kiedy gubernatorowie często w Żytomierzu odmieniali się, Grocholski bardzo długo na urzędzie się utrzymywał. Miał on żonę i podobno z familii dystygowanej,⁵⁾ ale nigdy tu nie była, a w dobrach swoich mieszkała: żył więc jak kawaler. Mając mieszkanie niedaleko Pruszyńskiej, kasztela-

¹⁾ *J. U. Niemcewicz*: „Pamiętniki czasów moich.“ Lipsk, 1868, str. 143.

²⁾ „Cztienija,“ j. w., str. XII.

³⁾ „Pamiętniki *Seweryna Bukara*,“ Drezno, 1871, str. 104.

⁴⁾ *Kacper Niesiecki* w swoim „Herbarzu polskim“ notuje, że Grocholscy h. Syrokomla wywodzą się z Sandomierskiego. Najstarsza o nich wzmianka sięga 1460 r.

⁵⁾ Grocholski ożeniony był z księżną Szachowską; syn ich, *Wasilij Pietrowicz*, umarł bezpotomnie, córka poślubiła późniejszego generał-porucznika, *Patapowa*.

nowej żytomierskiej, zacnej staruszki, raz na zawsze był przez przez nią zaproszony i u niej jadał. Dało to powód Józefowi Baczyńskiemu, prezesowi sądu głównego wołyńskiego, do facecyi, która w swoim czasie wielki poklask odebrała: bo gdy za gubernatora Kumburleja partyę dość znaczną prochów przywieziono do Żytomierza, Kumburlej zaambarasował się, gdzieby dla nich skład najbezpieczniejszy zrobić, wtedy Baczyński zaproponował Kumburlejowi kuchnię wicegubernatora Grocholskiego.“

Wicegubernatora wołyńskiego nie należy utożsamiać z hr. Grocholskim, gubernatorem podolskim, z którym pierwszy nie zostawał nawet w żadnym stopniu pokrewieństwa. Obaj, acz działali w trudnych bardzo warunkach, wśród zaostrzonych narodowościowych przeciwności, pozostawili po sobie dobre wspomnienie. To jedno było im wspólne.

„*Dniwnyja zapiski o dwiżenii i diejstwiujach wojsk russkich w Wielikom Kniażestwie Litowskom i Polsce w 1792 godu*“—rozpoczyna Kreczetnikow 19 kwietnia wspomnianego roku. Rozkaz imperatorowej z daty 2 kwietnia 1792 r. polecał mu objęcie naczelnego zwierzchnictwa korpusów, zbierających się na Białejrusi a przeznaczonych do wkroczenia w granice Wielkiego Księstwa Litewskiego. Główny z nich znajdował się w danej chwili pod Połockiem, inne w okolicach Dynaburga, Tołoczyna i Rogaczowa.

Poruczywszy zarząd trzech małorosyjskich gubernij miejscowym gubernatorom, 17 kwietnia wyjechał Kreczetnikow z Kijowa.¹⁾

Ostatnia „zapiska“ w dzienniku dla nas tak bardzo interesującym, pochodzi z 4 września 1792 r. Ważniejsze ustępy powtórzymy w przekładzie polskim, w możliwie zwięzłym streszczeniu:

Nowe stanowisko, acz tak zaszczytne, przysparzało ogromnie wiele trosk i kłopotów: generałowie, którzyin poruczono komendę nad poszczególnymi korpusami, zwlekali z przybyciem na wyznaczone posterunki, wypadało więc ich na razie zastępować kim innym, bo sprawa nie cierpiała zwłoki a cała armia znajdowała się już w przededniu niemal pochodu ku słupom granicznym Rzeczypospolitej. Równocześnie pamiętać należało o nowym zaprzęgu dla artyleryi, konie bowiem wyczerpane i wychudzone w ciągłych marszach i bitwach, odmawiały już posłuszeństwa, oraz o urządzeniu przeprawy przez Dźwinę.

W głównej też kwaterze w Połocku panuje ruch ożywiony, kuryerzy pędzą ze sztafetami w rozmaitych kierunkach, poczekalnia Kreczetnikowa roi się od mundurów generalskich.

¹⁾ „Cztienija,“ j. w. („Dniwnyja zapiski“ i t. d.), str. 21—104.

Z Polaków najczęściej tu przebywa generał-porucznik Kossakowski. On to donosi pod dniem 3 maja poufnie, że w Wilnie pozostawiono zaledwie czterystu artylerzystów, gdy cała piechota wymaszerowała do Mińska i to w drobnych oddziałkach po 100—200 najwyżej ludzi. W przejeździe oglądał u wojewody Chomińskiego pismo królewskie, w którym Stanisław August komunikuje mu, iż otrzymał z Petersburga informację, jakoby w Wilnie i jego okręgu zbierała się rekonfederacja. Chomiński zawiadomił nadto swego gościa, że w Warszawie podpisano już „konstytucję,” na mocy której wszystkie województwa i powiaty miałyby dostarczyć z każdego dziesięciu dymów po jednym uzbrojonym kompletnie żołnierzu. Komendę nad nową milicją ma objąć ks. Czartoryski, ks. Wirtemberski zaś maszeruje na czele armii z Warszawy ku Wilnu.

Informacje Kossakowskiego i innych, równie zacnych obywateli, wpłynęły zapewne na krok stanowczy, już bowiem następnego dnia rozesłano z głównej kwatery do wszystkich komendantów korpusów rozkazy, by pospiesznie ruszali ku granicom Rzeczypospolitej, a nadto udzielono im pewnych kredytów dla łączących się z nimi polskich pułków. Kreczetnikow zaleca usilnie, by za prowiant i furaż—zanim generalna konfederacja litewska nie wyda w tym kierunku odpowiednich zarządzeń — płacić gotówką, nie wypada bowiem tak odrazu, przy pierwszym zetknięciu, zrażać do siebie ziemian-Polaków. Do każdego z korpusów, zdążających ku Polsce, dodano jednego z obywateli, dostatecznie obznajomionego z miejscowymi stosunkami, służącego równocześnie za pośrednika między konfederacjami a posiłkującą je armią wszechwładnej monarchini. Akty konfederacyj, związanych świeżo, postanowiono oblatować w urzędach grodzkich zaraz po przekroczeniu słupów granicznych. Kopie tych dokumentów przesłał Kreczetnikow niezwłocznie do Petersburga, gdzie z ogromnem zadowoleniem przyjmowano każdy nowy dowód lojalności przyszłych obywateli państwa.

Niestrudzony w swej usłudze generał Kossakowski informuje ponownie w liście z dn. 5 maja o położeniu wojsk polskich w Wilnie i Mińsku, a nadto donosi, że do powiatu braclawskiego przysłany został z Warszawy podkomorzy Mirski, który, pragnąc wszystkich jaknajgorzej usposobić względem Rosyan, rozgłasza wszędzie, iż król pruski przybędzie z pomocą; dwór saski zgodził się na następstwo tronu; król Węgier i Czech również przyrzekł posiłkować Polskę, więc do czasu tylko należy samym opór stawić Rosyi, a armia carowej, sprowadzona do kraju przez garstkę zdrajców, rychło przekona się o przykrej pomyłce i niebawem

wróci tam, z kąd przyszła. Tego rodzaju wieści nie były dla Kreczetnikowa wygodne ani pożądane; zaraz też nazajutrz otrzymali wszyscy dowódcy drobniejszych nawet oddziałów wojsk rosyjskich energiczne zalecenie, by po wstąpieniu do Polski chwywali energicznie owych kolporterów plotek Mirskiego i dostawali ich do głównej komendy.

We wszystkich korpusach odczuwać się daje gorączkowy ruch. Na skinienie Kreczetnikowa wydłuża się cała armia w kilka kolumn, które, jak stalowe węże, wiją się po drogach, zmierzając w jednym i tym samym kierunku. Przeprawę przez Dźwinę ma przygotować Kossakowski. Wojska rosyjskie przekroczyły też wzmiankowaną rzekę w dniu 11 maja o godz. 3 rano bez wystrzału; oddział polskiej konnicy, z 200 zaledwie złożony ludzi, umknął przed tak przeważającą siłą w głąb kraju. Korsak, marszałek konfederacyi województwa połockiego, wezwany został do objęcia urzędowania i rozpoczął je od nakłonienia obywateli do zaprzysiężenia wierności monarchini. W ten sposób zwykły akt gwałtu i najazdu przystrojono, dzięki współuczestnictwu zaślepionych Targowiczan, w pozory legalności i prawa. Taktyki podobnej trzymał się zresztą Kreczetnikow o ile możności wszędzie, wyzyskując równocześnie jaknajskrupulatniej wszelkie wskazówki i informacje ambitnych jednostek, dybiących mimowolnie na zgubę skołatanej ojczyzny. Dość przeglądać, bodaj pobieżnie, jego „dziennik,“ by przekonać się najdowodniej, że każdy np. list Kossakowskiego spowodowywał natychmiast długi szereg nowych rozkazów i rozporządzeń. Jemu też zawdzięczał Kreczetnikow najwięcej, bo istotnie Kossakowski należał do niezwykle starannych i pilnych informatorów. Uznanie to, co prawda, zaszczytu mu nie przynosi, ale bezstronny sąd wydać je nakazuje.

Korsak ze swej strony nie ustaje również w pracy. Przy pomocy obu tych dygnitarzy polskich, Kreczetnikow gromadzi w rozmaitych etapach swego pochodu szlachtę, zapewnia ją o wspańiałości monarchini i zaleca najgoręcej wiązanie się w konfederacye celem obrony dawnych praw, wolności i przywilejów, zagrożonych przez niegodną konstytucyę majową. Posłuch znajdował często: jednych przerażała siła, drugim imponowała, to też Katarzyna II coraz to nowy prezent odbierała z Litwy od swego zaufanego sługi i przemyśliwała już nad nową dlań nagrodą.

Nie mając zamiaru kreślić dziejów kampanii 1792 r., pomiary potyczki i spotkania obu armij, uwieńczone drugim rozbiorem kraju i sejmem grodzieńskim, zależy nam bowiem jedynie na scharakteryzowaniu, bodaj w przybliżeniu, taktyki Kreczetnikowa

w postępowaniu jego z polskim społeczeństwem, niepośledniego sprytu i dużego zasobu zmysłu politycznego. W trudnych sytuacjach lawirował on bardzo zręcznie, stwierdzając ponownie dobrą opinię o sobie petersburskiego dworu; wyzyskiwał usłużność i zaślepienie Targowiczan, ich rękoma wyciągając z ognia przysłowiowe „gorące kasztany.“

W myśl przyjętego z góry programu każe więc generałowi hr. Mellinowi za wszelką cenę ściągnąć oporną szlachtę okoliczną do Mińska i skłonić ją do zawiązania konfederacji; poleca generałowi Kossakowskiemu, by ten, zająwszy Wilno, przedewszystkiem przystąpił do zawiązania konfederacji generalnej, któraby ze stolicy okupowanego kraju rozrzuciła w najdalsze zakątki Litwy uniwersały, usposabiając ludność miejscową przychylnie na przyjęcie nieoczekiwanych i nieupragnionych bynajmniej gości. Skłonnych do składania przysięgi skierowywano do marszałka powiatu orszańskiego; oporni maszerowali pod silnym konwojem do głównej komendy.

Miasteczko królewskie Dżisna okazało się głuche na wszelkie wezwania do zaprzysiężenia posłuchu i wierności konfederacji, wobec tego p. Korsak zażądał pomocy wojskowej, a wydelegowany umyślnie pułk kozacki miał wpłynąć na złagodzenie oporu biednych mieszczan. Ponadto dwa korpusy armii oczekiwały w okolicy Wilna zawiązania się generalnej konfederacji, a Kossakowskiemu polecono, by nawet po dwa razy dziennie informował główną komendę o przebiegu tej arcy-ważnej sprawy. Równocześnie kołatał Kreczetnikow usilnie, by szlachta skonfederowała się corychlej w Kownie, Wiłkomierzu, Poniewieżu i Rosieniach.

Mniej politycznego zmysłu okazali natomiast marszałkowie poszczególnych konfederacji. Dufni w pomoc i poparcie wojsk rosyjskich, tak energicznie i bezwzględnie poczynali sobie z braćmi-współpowietnikami, że aż Kreczetnikow widział się zmuszony w dniu 8 czerwca wydać zarządzenia hamujące zbytek ich zapędy. Zdaniem głównej komendy, należało zwolenników kaptować namową i perswazyą, nigdy gwałtem, który jeno zraża ludzi do sprawy i źle usposabia względem planów imperatorowej.

„Wziąwszy na uwagę — czytamy w pamiętniku autora współczesnego omawianym wypadkom — krzywdy i uciski przez Kossakowskich wyrządzone, oddawano podówczas tę sprawiedliwość generałowi Kreczetnikowowi i innym komendantom rosyjskim, iż ci, choć obcy, z obywatelami i szlachtą obchodzili się jeszcze jako ludzie sprawiedliwi i sumienni. Najboleśniejsem było dla obywateli, iż wszystkie uciski ponosili od krajowców.“

„Uskarżali się wtedy najbardziej obywatele litewscy, iż nigdy podobnej zemsty od rosyjskich za dawniejszych czasów nie ponosili, żeby komendni p. Kossakowskiego po powiecie kowieńskim i preńskim obywатели niszczyli, domy palili i wszystkie niegodziwości, jakie tylko być mogły, wyrządzali.“¹⁾

Wracamy do dziennika Kreczetnikowa:

Ponieważ drobne oddziały rosyjskie narażone bywały na zbrojne napady miejscowej ludności, polecono generalnej konfederacji poczynić odpowiednie kroki celem ściągnięcia wszystkiej broni i przechowania jej w bezpiecznym miejscu. Na majątki nieprzychylnych konfederacji osób nałożono sekwestr. Krok ten wywołał z góry oczekiwany efekt: oto Kossakowski donosi, że w dniu 10 czerwca 280 szlachty, pochodzącej z różnych województw, podpisało w Wilnie akt konfederacji generalnej. Kreczetnikow tryumfował: nowe powodzenie uwieńczyło jego usilne zabiegi. Osobny kuryer popędził ze sztafetą do Petersburga, a równocześnie główny komendant wyruszył osobiście do stolicy Litwy.

Właściwą uroczystość wyznaczono na 14 czerwca w kościele św. Jana. Dnia poprzedniego witali Kreczetnikowa z pełną czołobitnością u bram miejskich dygnitarze konfederacyi, tłumy szlachty, magistrat i mieszczanie. Czternastego czerwca dzwony wszystkich świątyń wileńskich obwieszczały „radosną“ chwilę. O godz. 10 rano sunęły ulicami miasta cechy z barwnymi chorągwiemi, godłami i bębniemi; w kościele zgromadzili się mnisi wszelkich zakonów, a zwarty tłum ludu wypełnił sąsiednie place. Z uderzeniem godz. 11 przybyli do kościoła biskupi w otoczeniu kapituły, licznych zastępów duchowieństwa świeckiego i szlachty; Kreczetnikow zjawił się na czele generalicyi, bez wojskowego konwoju lub straży; resztę miejsca wypełniły w murach świątyni szkoły oraz członkowie Akademii z rektorem.

Po Mszy św. kaznodzieja odczytał z ambony pismo Kreczetnikowa, wyjaśniające przyczyny wkroczenia wojsk rosyjskich w granice „najjaśniejszej Rzeczypospolitej Polskiej“ i wzywające całe obywatelstwo do współdziałania w zabiegach najmiłościwszej imperatorowej, zmierzających do utwierdzenia powszechnego dobra i zbawienia ojczyzny. Z kolei przeczytał tenże sam kaznodzieja wśród grobowej ciszy zgromadzonych „akt generalnej i wolnej konfederacyi Wielkiego Księstwa Litewskiego;“ biskup Kossa-

¹⁾ „Czasy Stanisława Augusta Poniatowskiego, przez jednego z posłów wielkiego Sejmu napisane.“ Poznań 1867, str. 182, 183.

kowski zaintonował pieśń: „Ciebie Boga chwalimy“ i błogosławił naród przy dolatujących z zewnątrz strzałach armatnich.

Po ukończeniu uroczystości kościelnej, odbył się w pałacu biskupim wspaniały objad dla Kreczetnikowa, generalicyi, wyższego duchowieństwa i szlachty. Przy huku strzałów armatnich i dźwiękach orkiestry wojskowej toastowano na cześć imperatorowej „wielkodusznej protektorki skonfederowanej Rzeczypospolitej,“ Kreczetnikowa i wojsk rosyjskich. Główny komendant ze swej strony wniósł toast na pomyślność „skonfederowanej Rzeczypospolitej,“ biskupa-gospodarza i całego duchowieństwa, wreszcie nowo-ogłoszonego (niiby to „z woli narodu,“ a właściwie na rozkaz Kreczetnikowa) ¹⁾ wielkiego hetmana litewskiego, rosyjskiego generał-porucznika ...Kossakowskiego. O królu polskim — dodamy z naszej strony — nie wspomniał nikt ani słówkiem: dla zgromadzonych u biesiadnego stołu on nie istniał.

W rynku ustawiono beczki z winem, przy których huląca weselo gawieź uliczna.

Nieco inaczej wygląda ta uroczystość w opisie „jednego z posłów Wielkiego Sejmu“ ²⁾:

„Po tylu wyrządzonych uciskach i gwałtownościach, nowe i w Wilnie zaczęły się nieco później sceny przez Kossakowskich, które nawet byłyby śmieszne, gdyby złość tych ludzi nie miała za cel zguby ojczyzny. Kossakowski, przybywszy z Rosyanami i biskupem bratem swoim, czynili układy dalszych operacyj. Dzień 25 czerwca ogłosili za dzień uroczystej publikacji aktu konfederacyi; ale jak go sami utworzyli, tak go też sami publikowali. Obywatele, przeglądając wcześniej przymus i gwałt, powyjeżdżali, jedni do ^{kr.}Warszawy, drudzy w kraje pruskie; magistrat także wyniósł się i było pusto tak dalece, iż obywatele prowincyi i miasta reprezentowali sami Kossakowscy z żołdatami, kozakami i małą liczbą ubogiego i smutnego pospółstwa. We wspomnianym więc dniu spędzono zakony i co można było ludzi do kościoła św. Jana, gdzie była Msza śpiewana; potem biskup Kossakowski kazał czytać z ambony akt mniemanej konfederacyi narodu litewskiego i list generała rosyjskiego, następnie odśpiewał *Te Deum laudamus*. Po skończeniu tych ceremonij z tą prostotą i szczerością, których tyle dał dowodów w całym biegu nieskazitelnego i cnotliwego życia swego *jurata fide*, winał bratu, że przyszedł do

¹⁾ „Pamiętniki Michała Ogińskiego.“ Poznań, 1870. Tom I, str. 129.

²⁾ „Czasy Stanisł. Aug. Poniatowskiego,“ j. w., str. 182—183.

tęgo stopnia reputacji sławy, a osobiście szacunku w narodzie, że, nie będąc nominowany od króla i stanów, ani od kogo innego, cudem niesłychanym został hetmanem litewskim, że urząd ten połączył z generałlejtnantowstwem aktualnem w służbie rosyjskiej. Po takim komplemente trąby szwadronów rosyjskich słyszeć się dały na chórze, a biskup przez ten cały czas kadził brata mirą i woniami. Nazajutrz rozrzucono akt konfederacji już drukowany. Z zadumieniem widziano w nim mnóstwo osób nieprzytomnych, nietylko w Wilnie, ale nawet w Litwie, którzy ani wiedzieli zapewne, że im Kossakowscy tę zakałą uczynili, zapisawszy ich za konsyliarzy z pensją.

„Do aktu, jak oni nazywali, konfederacji Targowickiej przyłączyli Kossakowscy i swój, w którym domieścili, że za przewodnika do steru narodu litewskiego wzywają i zapraszają J.O. ks. Aleksandra Sapiechę, kanclerza Wielkiego Księstwa Litewskiego...“ Najwyższa władza wojskowa spoczywać miała w rękach męża „zaleconego z znajomej cnoty, męztwa i sztuki żołnierskiej,“ Szymona Kossakowskiego, „generał-lejtnanta wojsk W. Ks. Lit. i wojsk najjaśniejszej imperatorowej całej Rosyi.“ Między płatnymi z cesarskiej kasy konsyliarzami znaleźli się w kompanii: Józef Kossakowski, Michał Kossakowski, Józef Kossakowski (drugi) i podstolic Kossakowski ¹⁾.

Wobec powyższego sprawozdania z przebiegu uroczystości, z uśmiechem politowania czyta się już dalszy ustęp dziennika Kreczetnikowa, w którym adjutant najspokojniej, na wieczną rzeźbę pamiątkę, zapisał: Wszystko odbyło się w zupełnym porządku ku „wielkiemu zadowoleniu mieszkańców Wilna,“ tak szybkie zaś doprowadzenie do skutku konfederacji generalnej, zawdzięczać głównie należy usilnym zabiegom biskupa Kossakowskiego, „cieszącego się w najszerszych kołach specjalną cześć i zaufaniem.“

Hańbiąca śmierć księcia Kościła polskiego miała bardzo rychno — rychlej chyba, niż on sam tego się spodziewał — zadać kłam zapewnieniom adjutanta Grocholskiego: obaj bracia Kossakowscy odpokutowali strasznie za usługi, świadczone imperatorowej i jej zaufanemu generałowi.

Zanim jednak nadeszła tragiczna chwila obrachunku z życiem pod słupem szubienicy, nowy hetman litewski nie zasypiał sprawy: 28 czerwca, w rocznicę wstąpienia na tron Katarzyny,

¹⁾ Ibidem, str. 184.

doprowadził do zawiązania konfederacji powiatu grodzieńskiego; następnego dnia donosi znowu o konfederacjach nowych w województwach mińskim i trockim, oraz w powiatach kowieńskim i upitskim; 7 lipca wreszcie występuje z projektem zajęcia Warszawy.

Poinformowano go właśnie, że wojsko polskie wynaszerowało do Węgrowa, pozostawiając w murach stolicy zaledwie jeden batalion piechoty. Kreczetnikow winien skorzystać z tak szczęśliwej okazji, a sposób owładnięcia Warszawą bardzo łatwy: oto należy Bugiem pełnąć do Wisły w największej tajemnicy czterotysięczny korpus rosyjski, który, unikając zetknięcia się z armią polską, przeprawi się cichaczem przez Wisłę i zdobędzie łatwym sposobem „serce Polski.“ Projekt, niezwykle naiwny, niepoehlebne bardzo daje świadectwo zdolnościom wojskowym hetnana, a stokroć gorzej jeszcze świadczy o wartości moralnej człowieka, który z taką zimną krwią układa nieprzyjacielski najazd na stolicę bądź co bądź swej ojczyzny. Kreczetnikow z punktu wojskowego uznał projekt Kossakowskiego za niewykonalny i polecił mu odpisać, że tak liczny oddział wojska nie jest w stanie przemknąć się niepostrzeżenie, a narażony byłby jedynie na niebezpieczeństwo odcięcia od reszty armii rosyjskiej.

Bez uciekania się do podstępu zbliżała się ona zresztą i tak z każdym dniem do stolicy państwa: 15 lipca korpus główny przebył Bug i rozłożył się po drugiej jego stronie, gdzie wysłaniec upełnomocnionego ministra Bułhakowa przyniósł zapewnienie, że Stanisław August wraz z wojskiem polskim postanowił przyłączyć się do konfederacji. Wobec tego polecono jeszcze tego samego wieczora wyruszyć Kossakowskiemu w awangardzie i stanąć obozem na Pradze, wydając równocześnie najostrzejszy rozkaz powstrzymywania żołnierstwa od jakiegokolwiek swawoli i puszczania oficerów do Warszawy jedynie za specjalnymi imiennymi biletami. Wiadomość o tak pomyślnem załatwieniu misji powiózł do Petersburga brygadyer Gudowicz.

Ośmnastego lipca drugi wysłaniec Bułhakowa zjawił się u Kreczetnikowa z prośbą, by ten ośm dni nie ruszał się z miejsca, pierwiej bowiem, dla uniknięcia nieprzyjemnych starć między obiema armiami, należy rozpuścić do domów znajdujących się w pobliżu Warszawy polskich żołnierzy. Równocześnie baron Fersen donosił o rozbiciu nieprzyjaciela pod Brześciem Litewskim, z jednej więc strony rosła pewność wygranej, z drugiej potężniało pragnienie okupienia za wszelką cenę spokoju i panowania choćby nad obkrojonem ze wszystkich stron państwem. Stanisław

August, rzucając się w objęcia Targowicy, nie zyskiwał miru u dawnych swoich malkontentów, a tracił nieodwołalnie zaufanie tych kół, które stały wiernie przy hasłach majowej konstytucyi. W dodatku i Katarzyna nie ukrywała się bynajmniej ze wstrętem względem dawnego swego protegowanego, a na takim tle występuje dopiero w wyrazistych konturach cała bezgraniczna wprost słabość charakteru ostatniego króla polskiego, który z honorem paść nawet nie umiał pod gruzami walącej się ojczyzny.

25 lipca hetman Kossakowski na czele korpusu wkroczył w mury Warszawy, nie napastowany ani powstrzymywany przez nikogo u rogatek stolicy, w której pozostać miał dłużej celem strzeżenia spraw konfederacyi.

Cały kraj pokrajano kolumnami wojsk, ¹⁾ znoszących się bezustannie z sobą, kępujących każdy swobodniejszy ruch miejscowej ludności, a nad tym krajem panował jeszcze do czasu nominalnie król, otoczony w swoim pałacu warszawskim gęstą siecią obcych stróżów, wykonywujący ślepo wszystkie rozkazy upelnomocnionego ministra wszechwładnej imperatorowej, zakreślającej na mapie zupełnie dowolnie granice przyszłych swoich posiadłości, z góry pewnej, że absolutnie nikt nie sprzeciwi się jej bezwzględniemu żądaniu.

I jakże skolatana wewnętrzna rozterką Rzeczpospolita nie miała runąć, skoro posiadała aż tylu Kossakowskich. Hetman, z zapałem godnym lepszej, uczciwej sprawy, doprowadza 11 sierpnia do przysięgi wojska litewskie; w trzy dni później urządza,

¹⁾ *S. Bukar* j. w. str. 98: „Wojsko polskie rozkwaterowano tak, aby jak najwięcej skomunikowanie się i skupianie przeciąć. Każdy regiment polski dwoma lub trzema pułkami rosyjskimi był okolony.“

T. Korzon j. w. str. 263—264: „Głównem zadaniem było ustawianie wojska w ten sposób, iżby każdy oddział polski był otoczony przemożnemi siłami nieprzyjaciela, oraz aby nie miał artyleryi i amunicyi. Cała dywizya Lubowidzkiego już w kwietniu 1793 r. wcielona została do armii rosyjskiej. Generał Kreczetnikow, obiecując oficerom „wysokie względy, łaski i szczerobliwość swjej monarchini, które bez wątpienia na wszystkich w ogólności i na każdego z subalternów w szczególności obficie wylane będą,“ pozostawiał im tymczasowo dawne mundury, zmieniając tylko felecechy na czarne dla odróżnienia od korpusów, pozostałych pod polską komendą.“

W dekreście Sądu Najw. Kryminalnego przeciwko hersztom Targowicy czytamy: Kompanije artyleryczne od armat oddzieliwszy w odlegle miejscu na Ukrainę, następnie przez Moskwę zabraną... wysłać dysponowali.“

jakby na ironię, w Brześciu Litewskim właśnie, uroczystość zjednoczenia obu konfederacyj generalnych.

Społeczeństwo polskie — aczkolwiek o tem woli przemilczeć dziennik Kreczetnikowa — nie składało się jednak z samych jeno obywateli w stylu Kossakowskich. Pomimo strat, klęsk, zawodów i nieustannego cofania się polskiego wojska, nie brakło ludzi gotowych każdej chwili sięść na koń. W Wileńskim, Mińskim i Grodzieńskim oddziały ochotników czekały na wezwanie do walki; Zabiełło, Tyzenhaus i inni ślą do króla błagalne listy, nie na wiele jednak zdały się ich lamenty i nawoływania. Taki sam skutek odniosły projekty samoobrony w Koronie.

„Większą część Ukrainy zajęły wojska rosyjskie — pisze znany pamiętnikarz Antoni Andrzejowski. ¹⁾ — Wielkopolska, Krakowska i połowa Litwy jeszcze były nasze. Na Wołyniu i Podolu wojska polskie, ożywione powodzeniem pod Zieleńcami i Dubienką, trzymały się jeszcze i zbierały pod naczelnictwo Kościuszki. Dziwne też to były czasy! Dwoch narodów, które już miały sobie wypowiedzianą wojnę, wojska przeciągały temiż samemi drogami, jedno drugiego nie zaczepiając. Dońce tylko dopuszczali się łupieztw i rabunków.“ „Karczmy i dwory pustkami stały,“ a przygodni wędrowcy „po wieśniaczych chatach przytułku na noc szukać musieli.“ ²⁾

Na wieść o akcesie Stanisława Augusta do Targowicy, rozpacz ogarnęła wszystkich; cała armia głośno poczęła szemrać, okrzyk „zdrada!“ wyrwał się z piersi; Józef książę Poniatowski z największym trudem wstrzymał podkomendnych „w granicach obowiązku,“ zażądał atoli niezwłocznie i stanowczo natychmiastowego zwolnienia od wszystkich, piastowanych przez siebie, godności i zaszczytów. Listowi jego towarzyszyło około 200 równobrzmiących próśb o dymisyę generałów i oficerów wszelkiej broni.

Emigracya zaroiła się przybyszami z Polski, którzy przed nowym porządkiem uciekali z kraju zagranicę, częstokroć na nędzę i poniewierkę ³⁾.

Siódmego września wyruszył Kreczetnikow do Petersburga, wezwany tam przez cesarzową Katarzynę. Że zasłużył na zupełne uznanie i sową nagrodę — sam chyba o tem ani przez chwilę

¹⁾ „Ramoty starego Detiuka o Wołyniu.“ Wilno 1861, Tom I, str. 61—62.

²⁾ Tamże, I, 25.

³⁾ *T. Korzon* j. w., str. 151—168; *Michał Ogiński*, j. w., Tom I, str. 137.

nie wątpił. Co prawda, cała akcja w Polsce poszła mu nadspodziewanie gładko, nie stoczył właściwie ani jednej prawdziwie krwawej bitwy, ale to już było takie jego szczęście...

*

*

*

Rokowania rozbiorowe między Prusami a Rosją dobiegały końca: 23 stycznia 1793 roku stanął alians, bielmo spadło z oczu konfederatów, zapóźno niestety. Wprawdzie znajdowali się wśród nich ludzie, zostający na żoździe rosyjskim, wyciągający spragnione dłonie po majątki skonfiskowane „patryotom,” ale nie wszystkich malkontentów konstytucyi majowej do ich rzędu zaliczyć można. Dla owych, istotnych zwolenników „starych wolności,” nadeszła straszna chwila rozczarowania; nie też dziwnego, że niejeden z tych obalamuconych nieszczęśliwców kończył samobójstwem lub obłądem.

Na oficjalne zawiadomienia o dokonanych „sąsiedzkich układach” nie potrzeba było zbyt długo czekać: 24 lutego 1793 r. ukazał się manifest króla pruskiego, zwrócony ostrzem przeciw Gdańskowi, „jako siedlisku złośliwej sekty, która w występki coraz mocniej grząźnie i powszechnym nieprzyjaciółom zboża oraz innych potrzeb dostarcza.” Groźba, wypowiedziana w ostrych, bezwzględnych słowach, rychło zamieniła się w czyn. Województwa: poznańskie, gnieźnieńskie, kaliskie, sieradzkie, łęczyckie, miasto i klasztor Częstochowę, ziemię wieluńską, w większej części województwa rawskie i płockie, z Gdańskiem i Toruniem, król pruski do swego wcielił państwa.

Rosya ze swej strony w manifestie z 29 marca (9 kwietnia) „w podobnych wyrazach powstaje przeciw twórcom konstytucyi 3 maja, których opór, lubo jest przełamany, ale oni skrycie działać nie przestają.” „Tenże manifest zapowiada, że imperatorowa wszech Rosyi z królem pruskim i cesarzem rzymskim, znaleźli jedyny środek zabezpieczenia siebie, przez ścieśnienie granic Rzeczypospolitej; wzywają przy tem Polaków, aby jaknajrychlej zebraли sejm, dla polubownego ułożenia się. Poczem Rosya zajmuje wschodnią część wszystkiego, połowę Litwy, połowę Małejpolski, jaką wskazała linia prosta ręką imperatorowej na karcie geografi-

cznej nakreślona, od końca wschodniego Kurlandi, koło Pińska, przez Wołyń, do granic Galicyi wschodniej. Król pruski tym podziałem obejmował najpiękniejszego kraju 1061 mil kwadratowych, Rosya — 4553. Austrya tym razem pozostawiona w oczekiwaniu. Rzeczpospolita miała się jeszcze składać ze 4016 mil kwadratowych.“¹⁾

Bolesne te przejścia, wszystkim w głównych bodaj zarysach znane, przypomnieć należało przed przystąpieniem do przedstawienia ostatniej fazy kariery Kreczetnikowa. Pomijamy też krótką jedynie wzmianką sejm grodzieński, jeden z najtragiczniejszych momentów w dziejach Polski, kiedy to przemocą zmuszona reprezentacya narodu, sankcyonowała drugi rozbiór kraju. Pomijamy milczeniem całą przewrotną i brutalną zarazem taktykę Siewersa, który, mając stale na ustach zapewnienia o „wspaniałomyślności imperatorowej“, groził równocześnie opornym posłom najostrzejszemi represaliami i terroryzował formalnie całe zgromadzenie²⁾.

Traktat zaczepno-odporny polsko-rosyjski, gwarantujący „dawną konstytucyę“ i „wolność Rzeczypospolitej“, oraz „całość jej granic“, wyglądał w podobnych warunkach na drwiny ze zgniecionej przemocą „sojusznika.“

*

*

*

Musimy się cofnąć w naszej opowieści o kilka miesięcy wstecz.

O dniu przybycia Kreczetnikowa nad Nowę nie posiadamy wiadomości, jak również nie znamy szczegółów spotkania jego z Katarzyną. Musiało ono jednak zadowolić ambicyę generała, a opierany się w tem mniemaniu na dokumentach, leżących przed nami, powierzających Kreczetnikowowi tyle zaszczytną misyę.

¹⁾ *J. Lelwel*, jak wyżej, str. 148, 149.

²⁾ *Siergiej Sołowiew*: „Istorija padienija Polzki.“ Moskwa, 1863, str. 310—311; *D. Ilowajski*: „Grodiuenskij sejm.“ Moskwa 1870, — przytacza moc upakarzających szczegółów o przekupstwie Targowiczau, zapisuje skrętnie pobierane przez nich od rządu rosyjskiego pensye i t. p.

Pierwszy z nich, to „najpoufniejszy“ reskrypt cesarzowej, wydany na imię „naszego generała Kreczetnikowa,“ z daty 8 grudnia 1792 roku ¹⁾, rzucający tak olbrzymi snop światła na dzieje omawianej chwili, że nie wahamy się powtórzyć go w polskim przekładzie w całej niemal rozciągłości:

„Zbytecznem byłoby wspominać tu o przyczynach, zmuszających nas do przyłączenia do naszego cesarstwa ziem Rzeczypospolitej, niegdyś należących do Rosyi, miast, fundowanych przez rosyjskich książąt, oraz ludów wspólnego z Rosyanami pochodzenia i wspólnej z nami wiary; jako też o naszych do nich prawach. Dowiesz się pan o nich z manifestu, który w odpowiednim czasie wydrukowany i wydany zostanie, a w którym wszystko to obszernie będzie wyjaśnione. Na razie uznaliśmy za pożądane, przygotować pana do użycia takich środków, jakie w swoim czasie przedsięwziąć należy, by na wszystko być gotowym i podyktować zasady, według których masz pan postępować przy zajmowaniu niżej oznaczonych ziem Polski, jako też przy naczelnym zarządzie i urządzaniu tych nowych nabytków.

„Mianując pana wykonawcą naszej najwyższej woli, oddajemy pod jego dowództwo całą naszą armię, rozrzuconą pod nazwą korpusów obserwacyjnych w województwach: kijowskiem, bractawskiem, podolskiem i wołyńskiem, na Litwie zaś w brzeskim okręgu. Jakie mamy na myśli pułki i których generałów, określone już bliżej zostało w danem panu rozporządzeniu, położenie zaś wojsk rosyjskich i polskich pozna pan z załączonej mapy.

„Resztę naszej siły zbrojnej, na obszarze ziem polskich operującej, powierzyliśmy naczelnej komendzie generała Igelstroma, któremu polecono komunikować się z panem o ile możności najczęściej i zgodnie z nim postępować, zwłaszcza przy wytyczaniu przez pana kordonu, który ma być ściśle zamknięty i zabezpieczony przez jego właśnie wojska, o czem pan dowiesz się zresztą z załączonych kopij danych Igelstromowi wskazówek.

„Stosując się do tego, masz pan prawo żądać, by celem ubezpieczenia nowych naszych nabytków, rozporządzał on ruchem podległych mu wojsk zgodnie i po porozumianiu się z panem. Ponieważ poruczona panu misya związana jest ściśle ze sprawami reszty Polski, winien pan nawiązać bezzwłocznie korespondencję z naszym posłem, rzeczywistym tajnym radcą Siewiersem, oraz

¹⁾ „Materiały dla historii podolskiej gubernii, (1792—1796).“ Kamieniec Podolski, 1885, str. 6—16.

ze wspomnianym już generałem Igelstromem, od których otrzymywać będziesz wszelką pomoc i dokładne informacye o wszystkim, co tylko zdarzy się w ich zakresie działania.“

Omówiwszy zwięźle wspólną niefortunną akcyę dworów pruskiego i wiedeńskiego, prowadzoną przeciw „francuskim buntownikom,“ a zmierzającą do zapewnienia spokoju monarchom i ludom i do stłumienia grożącej całej Europie rewolucyjnej zarazy, pisze cesarzowa Katarzyna dalej:

„...Cesarz i król pruski zaproponowali nam podział Polski, jako najodpowiedniejszy środek dla osiągnięcia wyżej wspomnianych celów, pozostawiając nam prawo, w miarę ich nabytków, zaspokoić siebie odpowiednią rekompensatą. W tym celu przysłał król pruski pełnomocnictwo swemu ministrowi, akredytowanemu przy naszym dworze, z którym, po wspólnych pertraktacyach, ułożyliśmy następujące warunki: dwór berliński zyskuje Gdańsk i Toruń oraz całą Wielkopolskę z wyjątkiem województwa mazowieckiego, prowadząc linię graniczną od Częstochowy na Rawę i Sołdan. ¹⁾ Dwór wiedeński zadawalnia się Bawaryą, nam natomiast wypadnie zająć i pociągnąć nasz kordon, zaczynając od granicy Semigalii na Postawy, jeziora Świetala i Szpachta, na Wielkie nad rzeką Wilią, dalej rubieżą województwa wileńskiego do stolicy; stąd przekroczywszy rzekę Niemen do Nieświeża, do rzeki Prypeci na Pińsk, stamtąd wreszcie na Kuniew najprostsza linia do Wyszogroda nad granicą galicyjską, od tego punktu do Dniestru, łącząc obecną granicę polską z granicą cesarską, Dniestrem zaś z Mołdawią. Wszystkie ziemie w granicach tego kordonu winny pozostać w wiecznym naszym posiadaniu, ustąpione nam na mocy uchwały sejmu Rzeczypospolitej a utwierdzone wzajemną poręką zaprzyjaźnionych z nami mocarstw austriackiego i pruskiego.

„W oczekiwaniu ostatecznej decyzji króla pruskiego, która niebawem nadesłaną tu zostanie, winien pan z należytą roztropnością i ostrożnością czynić wszelkie przygotowania, dotyczące położenia wojsk i gromadzenia w oznaczonych miejscach niezbędnych prowiantów, urządzając wszystko pod pretekstem koniecznej obrony przed Turkami w ten sposób, by przed oznaczoną chwilą, która panu zakomunikowaną zostanie, nie niepokoić bez potrzeby ziem przez nas zajmowanych i nie zwrócić przeciwko

¹⁾ Wszystkie nazwy miejscowości powtarzamy wiernie według oryginalnego ich brzmienia w cytowanym dokumencie.

nam narzekań, żeśny samowolnie zapoczątkowali ten rozdział, na który musieliśmy się zgodzić, ustępując usilnym naleganiom króla pruskiego, który zdecydował się wkońcu wprowadzić swoją armię do Wielkopolski, zajmując ją pod pretekstem utrzymania w tych ziemiach spokoju, nie przyłączając ich jednak do swoich dzierżaw przed ostatecznem porozumieniem się z nami w sprawie ustalenia wspólnego postępowania.

„Wkroczenie wojsk króla pruskiego w granice Polski, zmusza i nas do przedsięwzięcia kroków, mających na oku dobro imperyum, a czynimy to tem łacniej, że pobudza nas do tego obecny stan Europy, zwłaszcza niezgoda i niesnaski, rozwieleniońne wśród samych Polaków, podsycane podszeptami francuskiej jakobińskiej frakcyi, partyzantów konstytucyi 3 maja i malkontentów konfederacyi Targowickiej, występujących zupełnie jawnie przeciwko wszystkiemu, czego byśmy nie postanowili dla uspokojenia Rzeczypospolitej polskiej.

„Wobec tego rozkazujemy panu:

„I. Przy zajmowaniu ziem w granicach wyżej przez nas wskazanych, przeciągnąć proste linie od jednego punktu do drugiego, wznacniając je w najodpowiedniejszych miejscach oddziałami wojskowymi, pozostającymi z sobą w ciągłej łączności. Nieśwież i Pińsk uważać jako pograniczne twierdze.

„II. Od granicy Semigalii po Pińsk możesz pan użyć w tym celu całego litewskiego korpusu, pozostawiając jedynie pod Mińskiem pewną jego część, jako rezerwę dla ewentualnego wsparcia zagrożonych punktów oraz dla utrzymania porządku i spokoju wewnątrz kordonu.

„III. Na przestrzeni od Pińska do granic cesarstwa użyjesz pan II-giego korpusu pod komendą generał-porucznika Lewanidowa, umieszczając również odpowiednią rezerwę w okolicach Ostroga.

„IV. Główną uwagę przy ogłaszaniu manifestu zwrócić należy na Kamieniec Podolski. Dla tego też równocześnie z urządzeniem kordonu i bez straty czasu winien III korpus pod dowództwem generał-porucznika Derfeldena dotrzeć wszelkimi drogami do fortecy i zacisnąć ją takim pierścieniem, by ani z jej wnętrza ani do niej nikt absolutnie przedostać się nie był w stanie. Zamknąwszy wszystkie przejścia, zawiadomić komendanta garnizonu i mieszkańców miasta o wydanym manifestie, żądając od nich, by niezwłocznie poddali się i złożyli w ten sposób dowód życzliwości dla naszego tronu. Nie dopuszczając do bombardowania miasta, czynić można ku temu przygotowania jedynie

celem przestraszenia jego mieszkańców. Ważny ten gród bezwarunkowo znaleźć się winien w naszych rękach i czem prędzej to nastąpi, tem lepiej; z chwilą bowiem poddania się jego, wszystko się skończy i ułoży pomyślnie. Dla osiągnięcia więc zamierzonego celu użyć należy wszelkich środków, przyrzekając komendantowi nagrodę pieniężną, majątek i wysokie stanowisko. Gdyby jednak one zawiodły, ogłodzić miasto, a w razie ostatecznej potrzeby, według pańskiego uznania, działać postrachem artyleryi i siłą oręża.

„V. Wojska polskie, rozrzucone w granicach naszego kordonu, te zwłaszcza, które znajdują się w pobliżu nowej granicy a nie składają się z mieszkańców zajmowanych przez nas obszarów, należy w swoim czasie—po porozumieniu się z ich komendą—skierować ku wewnętrznym prowincjom Polski pod pretekstem lepszych tamże warunków utrzymania. Baczyć jednak pilnie należy, by liczba ich nie była zbyt wygórowana, w podobnych warunkach stałyby się bowiem nietylko ciężarem dla pozostałej reszty Polski, lecz utrudniałyby zarazem zaprowiantowanie naszej armii tam znajdującej się, a to tembardziej, że niebawem i z Wielkopolski zostaną wojska polskie wyparte przez króla pruskiego.

„VI. Te zaś pułki i brygady, które znajdują się w pobliżu naszej granicy i okrażone już zostały przez wojska rosyjskie, mogą być nakłonione do przyjęcia naszego poddaństwa i winnego nam posłuszeństwa. Mamy niepłonną nadzieję, że w tym kierunku z dobrym skutkiem pomagać panu zechce wielki hetman hrabia Branicki; winien pan więc—po porozumieniu się z nim—ogłosić wspomnianym wyżej wojskom, żeśmy przyłączyli do cesarstwa prowincye, związane z niem niegdyś w jedną całość i że wojska polskie, w granicach naszych pozostające, winne zaprzysiądz nam wierność. Tym zaś żołnierzom, którzy oderwani od swych ognisk rodzinnych, pragnęliby do nich powrócić, pozwala się to uczynić po złożeniu broni. Gdyby natomiast niektóre brygady, pułki lub komendy zechciały w obecnym stanie rzeczy wstąpić w naszą służbę, gotowi jesteśmy zadosyć uczynić ich prośbie, pozostawiając im dawnych oficerów i zatwierdzając dotychczasowe ich stopnie i rangi. Gdyby jednak niektóre z nich, nie bacząc na wszystkie udogodnienia i przywileje, ośmieliły się sprzeciwiać naszym postanowieniom, należy przeszkodzić połączeniu się opozycyjnych oddziałów i rozpowszechnianiu szkodliwych hasel oraz stłumić wszystko w zarodku, a opornych łapać i odsyłać partyami do komendanta wojsk, rozrzuconych w namiestnictwie ekaterynosławskim i Tauryce, generała hr. Suworowa-Rym-

nińskiego, któremu poruczyliśmy, według własnego jego uznania, rozdzielić buntowników między poszczególne roty i dokompletować nimi nasze pułki. Ku temu celowi właśnie przeznaczaliśmy armię, nazwaną pierwszym korpusem, przy którym urządziwszy główną kwaterę swoją w Połonnem i Zwiąhlu oraz zaprowadziwszy stałą komunikację z korpusem drugim, tworzącym kordon do Pińska i z częścią armii litewskiej, jak również z korpusem oblegającym Kamieniec Podolski, winien pan nie tylko opatnować rozsypane po kraju wojska polskie i doprowadzić te prowincye do posłuszeństwa, lecz nadto, według własnego uznania, zwracać się wszędzie i ku wszystkim punktom, gdzie pańskiej pomocy potrzebować będą trudne do przewidzenia z góry okoliczności.

„VII. Przedewszystkiem niech pan nie zapomni zabrać artyleryę polską, pozostawioną w Braclawiu, Krasnem i w pobliżu Kamieńca Podolskiego, pozbawiając ich w ten sposób środków, któreby mogły być użyte na naszą szkodę. Pomyślny skutek osiągnąć można tutaj tem snadniej, że artylerya ta, pozbawiona niezbędnej osłony, znajduje się w pośród powierzonej pańskiemu zwierzchnictwu armii.

„VIII. Skoro tylko wszystko to spełnione zostanie, ogłosi pan we wszystkich miejscowościach równocześnie o przyłączeniu kraju do naszego cesarstwa. Dostateczna liczba egzemplarzy manifestu dostarczona panu zostanie we właściwym czasie. Sądownictwo, podatki i komory celne, tak od strony cesarstwa, jak i tureckiej, funkcjonować będą do chwili wydania w tym kierunku specjalnych rozporządzeń, według dotychczasowej normy; przedsięwziąć należy jednak jaknajsurowsze środki, by dżuma lub inne epidemie nie przedostały się z Turcyi w granice naszych posiadłości.

„Przyprowadziwszy w ten sposób nowo zdobyte ziemie do posłuszeństwa i zapewniwszy sobie wszędzie spokój i porządek, winien pan z pełnym zasobem sił i z całą uwagą przystąpić do naczelnego zarządu niemi. Powierając panu główną komendę wojsk, mianujemy go równocześnie generał-gubernatorem, pragnąc w tem połączeniu władzy wojskowej i cywilnej w jednych rękach, użyzyć panu wszelkich możliwych środków, zmierzających do zadosyćuczynienia najwyższej naszej woli, a zarazem do osiągnięcia jaknajlepszych rezultatów w sprawach panu powierzonych, dla spokoju i szczęśliwości nowych naszych poddanych. Ponieważ jednak porządek we wszystkim jest duszą rządu, uważamy za wskazane rozkazać panu w tej sprawie:

„I. Po zajęciu nowonabytych prowincyj, dla lepszego ich poznania, polecisz pan funkcyonaryuszom generalnego sztabu, znajdującego się przy powierzonym panu wojsku, zdjąć dokładną mapę tych prowincyj wraz z opisem ich miejscowości.

„II. Po sporządzeniu map i zebraniu najdokładniejszych wiadomości o kraju, należy przystąpić do przyłączenia przyległych naszej granicy powiatów, do gubernij: połockiej, mohylowskiej, czernihowskiej, kijowskiej i częściowo do ekaterynosławskiej; do wskazanych gubernij przypisać te obszary, które się najlepiej do tego nadają z racyi sąsiedztwa z jedną lub drugą gubernią. I tak np. pozostała reszta województwa połockiego złączoną być może z namiestnictwem połockiem. Cały obszar, znajdujący się między powstałą w ten sposób nową granicą wspomnianego namiestnictwa a rzeką Berezyną, połączone być mogą z Mohylowszczyzną. Okrąg mozyrski i część województwa kijowskiego stanowić mogą administracyjne jednostki z guberniami czernihowską i kijowską. Wreszcie części województw kijowskiego i braclawskiego przyłączyć można do namiestnictwa ekaterynosławskiego.

„III. Całą pozostałą resztę nowonabytych ziem przeznaczyć do podziału na trzy gubernie. Np. pierwszą z nich można urządzić na Litwie w Mińsku; drugą na Wołyniu—izjasławską, w mieście, zwanem obecnie Zasławiem, (któremu atoli przywrócić należy pierwotne miano: Izjasław) lub w Konstantynowie, zaleźnie od tego, gdzie się okażą dogodniejsze miejscowe warunki; trzecią, w Braclawiu, z województwa tejże nazwy; przyłączając do obu ostatnich gubernij te części województwa podolskiego, które dla wygody zarządu złączone z nimi być mogą.

„IV. Celem ułatwienia w spełnianiu poruczonych panu spraw, przeznaczamy przedewszystkiem gubernatorów dla tych nowych trzech gubernij: w Mińsku, generał-majora Nieplujewa; w Izjasławiu lub Konstantynowie, generał-majora Szeremetjewa; w Braclawiu, generał-majora Berchmana, którzy pozostając nadal przy wojsku, dopiero po ogłoszeniu faktu zajęcia tego kraju i oznajmieniu im przez pana najwyższej naszej woli, winni przystąpić do pełnienia poruczonych im obowiązków, nie naruszając aż do czasu wydania w tym kierunku szczegółowych zarządzeń, w niczem obecnej administracyi. Do pomocy przeznaczamy im wicegubernatorów: Michajłowa, dla mińskiej, Weljaminowa, dla izjasławskiej lub konstantynowskiej, wreszcie Grocholskiego — dla braclawskiej gubernii. Wyśłani oni zostaną do pana nie pierwiej, aż wszystko przygotowane będzie do wykonania naszych poleceń,

nie chcemy bowiem, by równoczesny ich przyjazd do miejsc przeznaczenia przyczynił się do wywołania trwogi lub niepokoju. Z dniem objęcia przez nich urzędów, należeć im się będzie pensya równa uposażeniom w innych guberniach; gubernatorom natomiast wypłacać koszta utrzymania (*stołowyja diengi*) z fundusów nadzwyczajnych.“

V, VI i VII punkty omawiają szczegółowo kwestyę uzupełnienia kadrów urzędniczych w nowozabranych prowincjach. Kreczetnikow ma prawo posługiwać się i Polakami, po stwierdzeniu ich prawomyślności i przywiązania do Rosyi, dojść jednak w swej karyerze urzędniczej mogą oni tylko do rangi tytularnego radcy. Kancelistów dostarczyć mają „małorosyjskie gubernie,“ jak tulska, kałuńska i inne.

„VIII. Wysłać dla przeprowadzenia rewizyi pod nadzorem gubernatorów zaufanych ludzi, którzy mają spisać mieszkańców i włościan każdego z powiatów, oraz znajdujące się tam wsie ziemiańskie i klasztorne, jak również dochody każdej włości, zapisując osobno, co z nich zabiera właściciel a co Korona. Porządek w tej pracy zatrzymać należy taki, jaki stosowany już był na Białorusi, spis zaś winien być sporządzony podług wręczonych panu formularzy.

„IX. Dawny dochód koronny przypada obecnie naszemu skarbowi. Wicegubernatorzy powinni dokładnie określić, gdzie i w jakiej wysokości ściągać należy cło i inne dochody, mniejsza o ich nazwę. Wszystko to polecisz pan gromadzić w naszej kasie aż do dalszego w tej materyi postanowienia.

„X. Rozdzielisz pan włości ziemiańskie na dwie kategorye: 1) dziedziczne, 2) dożywotnie, dane w nagrodę za zasługi, jak np. starostwa i inne, bez względu na ich nazwę.

„XI. Miasta pozostawisz pan narazie na dawnych prawach i przywilejach, nie przeszkadzając żadnemu z nich prosić nas o potwierdzenie tych praw.

„XII. Co się tyczy klasztorów, winien pan: 1) wziąć w zarząd skarbowy te klasztorne włości, których mnisi uchylwszy się od złożenia nam przysięgi, zostawiając gmachy pustką, usuną się zagranicę; 2) toż samo przedsięwziąć z majątkami zakonów zagranicznych; 3) inne klasztory pozostawić przy zarządzie dóbr aż do dalszego naszego rozporządzenia; 4) oddzielnie spisać pijarskie klasztory, zakłady naukowe i szkółki, a równocześnie rozciągnąć nad nimi specjalny nadzór z powodu szkodliwego ich nauczania, opartego na wybujałych zasadach francuskiej pseudomądrości, podkopującej fundamenty prawowitych społeczeństw i rządów.

„XIII. Poleci pan zebrać wszelkie dane, na jakich podstawach oparta jest w tych miejscowościach sprzedaż spirytualiów i po jakich cenach; dalej, skąd ludność otrzymuje sól i jaka jest jej cena na targach; wreszcie, gdzie według pańskiego mniemania wypadałoby wzdłuż nowej granicy ustanowić komory celne.

„XIV. Wszystkie zebrane informacye, zmierzające do urządzenia tej prowincyi, winien pan — wraz z własnymi uwagami — jaknajrychlej nam przedstawić.

„XV. Potem wszystkiem należy przeprowadzić podział na okręgi i wprowadzić w życie urzędy na zasadzie wydanych postanowień o zarządzie guberniami.

„XVI. Po urządzeniu gubernij przenieść komory celne na nowej granicy do punktów najodpowiedniejszych, z góry upatrzonych już ku temu celowi.

„XVII. Główna troska pańska zmierzać powinna do utrzymania spokoju w tych prowincyach i dla tego jaknajostrożniejszy nadzór rozciągnąć należy nad wszystkimi, podległymi panu czynnikami, żeby z ich strony nie doświadczali nowi obywatele najmniejszego ucisku lub krzywdy.

„XVIII. Masz pan starać się wszelkimi sposobami, by z chwilą przejścia omawianych prowincyj pod nasze berło, przerwały się w ich granicach wszystkie nadużycia, niesprawiedliwości, uciski, rozboje, zabójstwa i tym podobne nieporządki, a w śledztwach ohydne tortury, dotykające zarówno winowajcę jak i niewinnego i wszelkie surowe kaźni. Jednem słowem, żądamy, żeby te prowincye nie tylko siłą broni były przez nas podbite, lecz abyś pan pozyskał serca tamtejszych mieszkańców dla rosyjskiego imperyum, ludzkim, łagodnem i sprawiedliwem postępowaniem, tak, żeby oni sami oderwanie się swoje od anarchii Rzeczypospolitej polskiej uważali za pierwszy krok do zdobycia zupełnego szczęścia.

„XIX. Uznaliśmy już raz na zawsze, jako zasadę obowiązującą w całym cesarstwie rosyjskiem, że „w tak olbrzymiem państwie, rozciągającym swoją władzę nad tylu różnymi ludami, byłaby dla spokoju i bezpieczeństwa obywateli szkodliwą dewiza, głosząca nietolerancję lub ograniczenia dla najrozmaitszych wyznań (patrz §§ 494, 495 i 496 ukazu).“ I pan więc powinienes z całą ścisłością przestrzegać w powierzonych sobie obecnie prowincyach te zasadnicze paragrafy, oparte na prawach prawosławia, polityki i zdrowego rozsądku.“

„XX punkt poleca generał-gubernatorowi stylem pełnym uroczystej powagi wszystkich mieszkańców, przyłączonych do Rosyi prowincyj, żyjących spokojnie i gotowych szczerze, bez

obłądy złożyć przysięgę na wierność monarchini, nietylko pozostawić przy prawem władaniu posiadany dobytkiem, lecz ochraniać ich nadto przed wszelkiego rodzaju niebezpieczeństwem.

„XXI. Po ogłoszeniu manifestu i po uroczystem objęciu władzy przez pana i panów gubernatorów, masz pan wszystkich, bez względu na stan i rangę, wezwać do przysięgi i podać do ogólnej wiadomości, że każdy może najspokojniej władać swoim mieniem, niema jednak prawa używać przemocy celem odzyskania zagarniętej mu przez kogobądź własności, lecz starać się winien otrzymać ją na drodze sądowej, skoro tylko odpowiednie urzędy funkcjonować zaczną.

„XXII. Gdyby który z obywateli w oznaczonym w manifestie terminie przysięgi złożyć nie chciał, winien opuścić granice naszego państwa, tracąc tem samem przysługujące jedynie poddanym naszym prawa władania ziemią i dziedziczenia majątków.

„Zresztą jesteśmy z góry przeświadczeni, że wszystkie dawane panu w tych czasach polecenia, spełnione zostaną jaknajlepiej i że doświadczenie pańskie, znajomość tych spraw, a przede wszystkim gorliwość i ściśle, a zawsze szybkie wykonywanie naszej woli, i na tem odpowiedzialnem stanowisku wskażą panu najlepsze środki ku spełnieniu wszystkiego dla rzetelnej korzyści i chwały cesarstwa rosyjskiego, w myśl przepisanych przez nas żądań i wskazówek. Starać się pan będziesz usuwać szkody we wszystkich sprawach i czynić nam przedstawienia, gdyby okazała się niezbędną nasza pomoc, a możesz być pewnym, że wszelkie spostrzeżenia pańskie, zmierzające do przyprowadzenia powierzonych panu gubernij do lepszego stanu, przyjmowane przez nas będą zawsze z wdzięcznością...

„Dan w S.-Petersburgu dnia 8 grudnia 1792 r.

Katarzyna w. r.“

*

*

*

Kreczetnikow spieszył na kresy przeznaczony na bardzo zaszczytne i odpowiedzialne stanowisko. Pismo cesarzowej mogło go istotnie wzbić w dumę, wkładało jednak nań równocześnie obowiązki ciężkie, wymagające ogromnej rutyny, taktu, doświadczenia i rozumu politycznego. Program postępowania przypisano

mu z góry w najdrobniejszych szczegółach. Że został przez nowego dygnitarza wykonany z właściwą mu ścisłością i szybkością — nie wątpimy ani na chwilę. Z taktu i sprytu zdał już zresztą Kreczetnikow egzamin z odznaczeniem w czasie swego pochodu z Płocka do Wilna; teraz pozostawało mu co rychlej doprowadzić mieszkańców drugiego zaboru do przysięgi, rozbroić wojska polskie, urządzić trzy gubernie ¹⁾ i zdobyć Kamieniec Podolski. Z licznych danych wiemy, że ostatnia sprawa leżała cesarzowej najgorzej na sercu, że wiadomości o zajęciu niezdobytej do niedawna kresowej placówki oczekiwano w Petersburgu z nieukrywaną niecierpliwością i z niepokojem.

„W marcu 1793 r. — pisze Seweryn Bukar ²⁾ — Kreczetnikow, z mocy danej sobie, kazał opublikować manifest ³⁾, zapowiadający zajęcie i przyłączenie do Rosyi części kraju polskiego, zaczynając od osady Drui na lewym brzegu Dźwiny, zajmując całe wileńskie województwo, dalej przez Stołpcę, Nieśwież, Pińsk etc. ku granicy Galicyi i idąc po tejże aż do Dniestru i Dniestrem aż do Jahorlika, dawnej granicy między Polską a Rosyą. Donosił razem do wiadomości publicznej, że jest naznaczony generał-gubernatorem tych prowincyj. Zalecał wykonanie przysięgi imperatorowej Katarzynie, w przeciągu miesiąca marca etc. Manifest datowany był w obozie pod Połonnem.“

Szanowny pamiętnikarz pod pewnym względem nie jest ścisły, zawiodła go widocznie pamięć: manifest datowany 27 marca pod Połonnem, został tegoż dnia o godz. 10 rano odczytany równocześnie we wszystkich świątyniach, przyłączonych świeżo do Rosyi prowincyj, wciągnięty do ksiąg grodzkich i przybity w odpowiednich miejscach celem uprzystępnienia jego treści całej lu-

¹⁾ Ciekawy szczegół u S. Bukara („Pamiętniki“ j. w., str. 103 — 104): „Powiedzieć muszę nieco o rozporządzeniach Kreczetnikowa. Mając on dawną, a nawet podobno bardzo ścisłą zażyłość z ks. Januszową Sanguszkową, strażnikową litewską, zrobił jej nadzieję, że imperatorowa kupi miasto Zasław, na guberskie miasto, jako bardziej środkowe od Żytomierza, blisko granicy gub. kijowskiej leżącego; i stąd lubo mieszkanie gubernatora było w Żytomierzu, gubernia jednak zwała się Izjasławską.“

²⁾ „Pamiętniki“, jak wyżej, str. 98—99.

³⁾ Dosłowny tekst manifestu znajdujemy w *Russkim Archiwie*, Moskwa, 1866, rok pierwszy, str. 592 — 596. Zawiera on do pewnego stopnia streszczenie ogłoszonego przez nas powyżej reskryptu Katarzyny, z tej racyi poprzestajemy na ogólnikowej o nim wzmiance i powtórzeniu jakby skreślonego na podstawie właśnie tego manifestu ustępu z pamiętników Bukara.

dności. Czas na złożenie przysięgi oznaczono na przeciąg jednego miesiąca, a więc po 27 kwietnia 1793 r. Opornym pozostawiono termin trzymiesięczny na sprzedaż majątków i dobrowolny wyjazd z granic państwa. Skoro ten upłynął, wszelkie znajdujące się jeszcze w posiadaniu takich emigrantów włości, przechodziły na skarb państwa.

Generał-gubernator Kreczetnikow z całą energią zabrał się bez dłuższej zwłoki do urządzania powierzonych jego pieczy prowincyj. Ogłoszenie manifestu stanowiło w danych warunkach raczej czczą formalność tylko, bo i bez tych uroczystych aktów wszyscy byli dostatecznie poinformowani o zmianie dotychczasowego stanu rzeczy, o przejściu olbrzymiego szmatu ziemi polskiej pod rosyjskie panowanie. Trudniejsze i zawilsze były sprawy inne: ludność ukraińska, posiadająca jeszcze tak świeże tradycje buntów, niełatwo dawała się okiełznać, ująć w paragrafy, ukazy i reskrypty; nowy dygnitarz jednak rozporządzał znaczną liczbą wojska, to zaś, rozrzucone po całym kraju, dawało wiele do myślenia, zmuszało już choćby samą obecnością swoją do poszanowania poleceń i przestróg imperatorowej.

Wprawdzie Katarzyna zostawiała na razie wszelkie urzędy przedzobiorowe, lecz już samo zestawienie statystycznych danych o zabranym kraju i prace przygotowawcze, zmierzające do wprowadzenia z czasem nowych porządków i urzędzeń, były niezwykle mozolne i żmudne. Plik rozporządzeń, przesyłanych przez Kreczetnikowa podwładnym mu gubernatorom, acz bynajmniej nie kompletny, stanowić już może rzetelny dowód jego zapobiegliwości i... metody rządzenia.

I tak, 11 marca 1793 roku ¹⁾ przesyła komendantowi wojsk w gubernii braclawskiej, generał-porucznikowi Derfeldenowi dwieście egzemplarzy najwyższego manifestu o przyłączeniu omawianych prowincyj do Rosyi, szczegółowo wyłuszczając formę ogłoszenia jego w dniu 27 marca „o godz. 10 po północy“ w cerkwi prawosławnej oraz w świątyniach rzymsko- i grecko-katolickich, a nadto przy dźwiękach trąb i huku bębnow na placach publicznych wszystkich miasteczek. Manifest rzeczony winien być wpisany do ksiąg grodzkich Winnicy i Latyczowa, w których funkcjonują konfederacje braclawska i podolska.

Następnego dnia po ogłoszeniu manifestu winno całe duchowieństwo świeckie i zakonne zjawić się w przynależnych doń

¹⁾ „Materiały dla historii podolskiej gubernii,* j. w., str. 32—37.

świątyniach i złożyć przysięgę na wierność monarchini. Opornych należy wysłać niezwłocznie do głównej komendy, gdzie im doręczone zostaną pasporyty na wyjazd za granicę. Przysięgę złożyć mają również: szlachta, mieszczenie i Żydzi; za spokój i wierność włościan odpowiadają ich właściciele.

Komendantom i oficerom wojsk polskich, zgadzającym się na zaprzysiężenie wierności imperatorowej, wydaje Kreczetnikow potwierdzenia dotychczasowych ich stopni i rang. Pragnącym opuścić szeregi wojskowe i wrócić do roli lub innych zajęć, nie stawia najmniejszych przeszkód.

Rosyjskich oficerów sztabowych poleca wysłać do polskich komór celnych, znajdujących się w rejonie danego korpusu, celem stwierdzenia wysokości złożonych tam kwot i zebrania statystycznych danych o dochodach skarbowych każdej z komór.

Arnia rosyjska, rozrzucona po rozmaitych punktach zabranego świeżo kraju, nie mogła jeszcze oswoić się z faktem, że nie ma już do czynienia z obywatelami Rzeczypospolitej polskiej, z którą pozostawała na wojennej stopie.

Rzeczłatwo zrozumiała, że pociągało to w następstwie obustronne nieporozumienia: ucisk i prześladowanie z jednej, niechęć w dostarczaniu prowiantów i kwater z drugiej strony. Pragnąc tego rodzaju szkodliwym niesnaskom położyć tamę, wysłała Kreczetnikow 31 marca cyrkularz¹⁾ do wszystkich naczelników wojsk, w którym objaśnia tychże, iż z chwilą przyłączenia kresowych prowincyj do państwa rosyjskiego, cała ich ludność winna być ochrania-
na przed wszelkiego rodzaju uciskiem i gwałtami. Zakazuje jaknajsurowiej wymagania od mieszkańców furazu i prowiantu, które dostarczane być mają nadal przez komisję prowiantową; przestrzega przed braniem czegokolwiek bez odpowiedniej zapłaty; w czasie przemarszu wojsk dwory szlacheckie zajmować należy tylko w razie koniecznej potrzeby i to wyłącznie dla oficerów sztabowych i wyższych stopni, unikać atoli poleca wyrządzania ich właścicielom jakichkolwiek przykrości; domy duchowieństwa uwolnione są od ponoszenia tego rodzaju ciężarów. Nakazuje ochraniać podczas przemarszów ludność wiejską i karczmy przed gwałtami żołdactwa; za wynajęte podwoły płacić po 2 kopiejki od wiorsty i konia, lub pary wołów. Przy głównej kwaterze ustanawia po dwóch komisarzy z każdego województwa, których powinnością będzie przestrzegać sumiennego wykonywania wy-

¹⁾ „Matierijały dla istorii podolskoj gub.,” j. w., str. 38—41.

danych rozporządzeń, gromadzić skargi miejscowej ludności i przedstawiać je generał-gubernatorowi.

15 kwietnia poleca nowo-mianowanemu gubernatorowi braclawskiemu, generał-majorowi Berchmanowi ¹⁾, by ten objaśnił podległe sobie sądy i magistraty, iż urzędować obecnie mają w imieniu jej cesarskiej mości, trzymając się ustaw, obowiązujących w Polsce po dzień 3 maja 1791 roku. W śledztwie poleca im zaniechać używania wszelkiego rodzaju tortur; kara śmierci zostaje zniesiona. Zwierzchnicy grodów, miasteczek i wsi winni przestrzegać surowo, by nie działy się żadne gwałty i rozboje, skierowując wszystkich pokrzywdzonych na drogę sądową.

W dalszym ciągu żąda Kreczetnikow od gubernatora szczegółowych danych o zaludnieniu Braclawszczyzny, majątkach koronnych, liczbie rekruta i t. p. Przypomina mu nadto o przedsięwzięciu środków, zapobiegających zawleczeniu chorób zakaźnych z sąsiedniej Turcyi i poleca wicegubernatorowi Grocholskiemu rewizyę granicznych komór celnych.

W długim szeregu pism, przesyłanych co dni kilka niedługo pod adresem wspomnianego już Berchmana, omawia wszystkie sprawy, z urządzeniem i uporządkowaniem Kresów w ścisłym pozostające związku, wprowadzając z wolna coraz to nowe reformy, wedle wskazówek udzielonych mu w reskrypcie cesarzowej. Z kolei prosi przedstawicieli miejscowego ziemiaństwa, by zechcieli na jego ręce przesyłać zapytania w sprawie sądownictwa, urządzeń policyjnych i innych kwestyj pierwszorzędnego znaczenia. A zamieszanie panowało pod tym względem ogromne: epoka przedkonstytucyjna, konstytucya majowa i Targowica wprowadzały coraz to nowe zmiany, pozostające niejednokrotnie ze sobą w niezupełnej zgodzie i harmonii, należało więc co rychlej ustalić główne zasady postępowania i oprzeć nowy porządek na trwałych, logicznie obmyślanych podstawach.

Zapytania też we wszystkich wątpliwych kwestiach wystosowali do Kreczetnikowa: ²⁾ Hieronim ks. Sanguszko imieniem wołyńskiego województwa, starosta Janusz ks. Sanguszko imieniem krzemienieckiego sądu grodzkiego, Prot Potocki imieniem województwa kijowskiego, wreszcie Marcin Grocholski jako reprezentant Braclawszczyzny. Odpowiedzi i rezolucye Kreczetnikowa okazują istotnie dużą znajomość wszystkich tych spraw i może

¹⁾ Ibidem, str. 42—50.

²⁾ Ibid., str. 29, 61—74.

wierzyć wypadnie przypuszczeniom, że pomocnym był mu tutaj w wysokim stopniu znany nam już „szlachcic białoruski,“ Piotr Grocholski, który mimo nominacyi na wicegubernatora braclawskiego, z kolei wołyńskiego, głównej komendy w Łabuniu nie opuszczał, grając w dalszym ciągu rolę prawej ręki i zaufanego powiernika pierwszego generał-gubernatora kresowych prowincyj.

Z rezolucyj Kreczetnikowa dowiadujemy się przedewszystkiem, że: na urzędników wybieraną być może szlachta polska po złożeniu przysięgi na wierność Rosyi; kalendarz starego stylu musi być niezwłocznie wprowadzony wszędzie w użycie; ustalono napisy i tytuły na sądowych dokumentach i pieczęciach oraz herby państwowe; uciążliwe dla ludności postanowienia konfederacyi Targowickiej zostają uchylone; w miejsce „uniwersałów,“ za których pośrednictwem obwieszczano rządowe rozporządzenia, wprowadza się t. zw. „kursorya;“ wreszcie postanowiono przewieźć do Winnicy z powrotem wszystkie księgi akt i protokółów komisyi wojewódzkiej braclawskiej, zabrane przez konfederacyę Targowicką do Tulczyna.

Uwzględniając nieznaną jęzika rosyjskiego wśród miejscowej ludności wydaje uniwersały w języku polskim. ¹⁾ Wszystkie trzy pochodzą z ostatnich dni kwietnia 1793 roku. W pierwszym z nich, „uwiadomiony z Raportów J. W. Imć Pana Generała Lubowidzkiego Komenderującego Dewizyą Ukraińską, iż w wojsku pod Komendą jego będącym, częste trafiają się dezercye,“ poleca surowo „dla zapobieżenia onym, wszelkim zwierzchnościom po miastach, miasteczkach y wsiach, rząd miejscowy utrzymującym, aby Wojskowych Ludzi bez paszportu ich własney Komendy, albo abszytu, przechodzących nie przepuszczali, owszem takowych zatrzymywali, y albo o zatrzymaniu do naybliższej Komendy znać dawali, lub zatrzymanych związać kazawszy, do takowey Komendy odsyłali.“ A dezercya ta musiała być istotnie wielką, skoro Kreczetnikow, zalecający stale wszystkim podwładnym łagodność w postępowaniu z miejscową ludnością, posuwa się tym razem do groźby: „gdyby który Obywatel, sam Dziedzic, albo Posesor, czyli z ramienia onych miastem albo wsią zarządzający ważył się wojskowego bez paszportu lub abszytu przepuścić, albo onemu dać schronienie, a to mu dowiedziono było, z takowym niezwłocznie podług surowości Prawa postąpiono będzie, co aby każdego iaknayprędzey doszło wiadomości, Uniwersał ten po Parafiach rozestłany y z ambon publikowany mieć chce.“

¹⁾ Ibidem, str. 80—86.

Uniwersał drugi dotyczy podatków, które „dla nowych w tej części Kraju urzędzeń,” chwilowo nie wpływały do kasy państwowej. Obecnie wyznaczono na uiszczenie zaległości podatkowych termin miesięczny od 15 maja do 15 czerwca, po którego upływie oporni „natychmiast exekucją wojskową do uiszczenia się przynagleni zostaną.“

Wspominaliśmy już niejednokrotnie, jak Katarzynie bardzo zależało na tem, by drugi zabór uzyskał potwierdzenie sejmu polskiego. Wszelkie zakulisowe pertraktacje w tej bolesnej dla Rzeczypospolitej polskiej sprawie, wykraczają po za ramy, objęte niniejszym szkicem, poprzestajemy więc jedynie na zanotowaniu faktu, że cesarzowa dopięła wreszcie swego: sejm zwołany został do Grodna, a Michał de Kreczetnikoff rozesłał uniwersał, w którym „wszem w obec y każdemu z osobna, komu o tem wiedzieć będzie należało, wiadomo czyni, iż ponieważ na dniu 25 Aprila (6 maja) Król Jegomość Polski wydał Uniwersał do Obywatelów swego Państwa, żądający po nich, aby na dzień 27 miesiąca Maia podług Rzymskiego kalendarza na seymiki ziechawszy się, tam na seym extraordinaryny, którego zaczęcie dzień 17 miesiąca Czerwca, równie podług Rzymskiego kalendarza, a na miejsce seymu miasto Grodno przeznaczą, zdatnych z pomiędzy siebie do radzenia o dobru ich kraiu obrali Posłów, a w kraiu tutejszym od Naymłościwszey Monarchini moiey Rządowi memu łaskawie powierzonym, wielu znaydować się może takowych, którzy w kraiu polskim dobra mając y posiadając, są y onego obywatelami, a stąd mają prawo radzić o ogólnym onego szczęściu, którego części y na nich szczególnie spływać mają, każdy przeto takowy Naymłościwszey moiey Monarchini wierny poddany, z dóbr y Urzędów Swoich Rzeczy Pospolitey Polskiej Obywatel, na następujących tego Kraiu przedseymowych y seymowych obradach bydź przytomnym, radzić y przywileiow w tantym Kraiu sobie służących używać mocen iest, y zupełną ma sobie zostawioną wolność.“

Jak wyglądała ta obywatelom kresowym „zostawiona zupełna wolność“ i czy pan de Kreczetnikoff równie energicznie zalecałby współdziałanie w sejmikach, gdyby tu o sejm Grodzieński nie chodziło—nie potrzebujemy chyba dodawać.

*

*

*

Właśnie w tym samym miesiącu kwietniu, kiedy Kreczetnikow, wysławszy szczegółowy „najpoddańszy“ raport do Petersburga, tak energicznie zabiegał około uporządkowania i uspokojenia powierzonych jego pieczy prowincyj, podpisała Katarzyna II dwa dokumenty, ściśle związane z omawianymi przez nas dziejami. Pierwszy z nich, to „ukaz do naszego Senatu“¹⁾; powtarzamy go w wiernym przekładzie:

„Do niniejszego rozporządzenia dołączamy manifest, ogłoszony w Polsce z naszego polecenia przez generała Kreczetnikowa, z powodu przyłączenia do naszego cesarstwa pewnych obszarów, w granicach przez nas nakreślonych, a oznaczonych we wspomnianym manifeste. Z dokumentu tego dowie się Senat o przyczynach, skłaniających nas do uczynienia podobnego kroku.

„Nie omieszkaliśmy naszymi reskryptami, wydanymi dawniej i teraz na imię wspomnianego generała, zaopatrzyć go we wszelkie potrzebne wskazania, tyczące się już to przyłączenia tych wszystkich obszarów do naszego państwa, już to wydzielenia z nich, z racji miejscowych warunków, niektórych ziem do gubernij: połockiej, mohylowskiej, kijowskiej, czernihowskiej i ekaterynosławskiej, rozkazując z pozostałych utworzyć nowe trzy gubernie: mińska, izjasławska i braclawska.

„Generał-gubernatorem tych gubernij mianowaliśmy wspomnianego generała Kreczetnikowa, gubernatorami zaś i ich zastępcami: generał-majora Nieplujewa i radcę kolegiального Michajłowa, dla pierwszej; generał-majora Szeremetiewa i radcę kolegiального Weliaminowa, dla drugiej; generał-majora Berchinana i radcę nadwornego Grocholskiego, dla trzeciej.

„Po zdjęciu planów nowo-nabytych obszarów, po spisaniu wszystkich osad i przeprowadzeniu ogólnego spisu ludności—rozkazaliśmy podzielić te ziemie na okręgi, przypisać je dla ułatwienia administracyi do miast, a w razie braku tychże, potworzyć nowe; dla wszelkich urzędów ułożyć prawa, przedstawiając je do naszej sankcyi; ogłosić wybory sędziów ziemskich, innych zaś sprowadzić, skąd należy—słowem, urządzić te gubernie według norm i praw, obowiązujących w cesarstwie i w guberniach również od Polski przyłączonych; zaprowadzić w nich urzędy, które po ukończeniu odpowiednich prac przygotowawczych, uroczyste otwarte być mają, według przyjętego ceremoniału; w końcu zawiadomić nas i Senat o wszystkim i czynić to zawsze, ilekroć zajdzie tego potrzeba.

¹⁾ Ibid. str. 17—18.

„Do chwili wydania specjalnych rozporządzeń, urzędują sądy w naszym imieniu, podług norm i praw, obowiązujących w Polsce, o czym zawiadamiając Senat, celem wykonywania przezeń nadzoru nad wszystkimi temi sprawami, rozkazujemy: podać w całym cesarstwie do powszechnej wiadomości o przyłączeniu nowych obszarów do naszego państwa, jak również o urządzeniu w ich granicach wspomnianych gubernij, a nadto przedstawiamy Senatowi do spełnienia:

„I. Zebranie i przygotowanie na czas wszystkich praw i rozporządzeń, potrzebnych do zarządu i wykonywania funkcyj sądowych w tych guberniach, przesyłając je niezwłocznie na każde zażądanie generała Kreczetnikowa.

„II. Obsadzenie, na żądanie wspomnianego już generał-gubernatora i po porozumieniu się z pełniącym urząd generalnego prokuratora, generał-porucznikiem Samojłowym, urzędów, według przyjętych w państwie norm, nie wykluczając od tego tych nowych poddanych naszych, którzy przez generał-gubernatora poleceni i przedstawieni zostaną, z zastrzeżeniem, że ci we wspomnianych trzech guberniach dojść mogą jedynie do rangi tytułarnych radców włącznie. Dotyczy to również służby kancelaryjnej, którą, w razie braku kandydatów, kazaliśmy werbować z trzech małorojskich gubernij i innych.

„III. Wypłatę wszystkim urzędnikom, przeznaczonym do nowo-nabytych gubernij i wydzielonych z nich okręgów—ze względu na czekającą ich daleką podróż—dodatkowo trzeciej części pobieranych przez nich pensyj.

„IV. Wstrzymanie, na wniosek generał-gubernatora, ściągania podatków w nowo-nabytych prowincjach aż do 1795 roku i wysłanie dostatecznej liczby egzemplarzy załączonego manifestu pod adresem generał-gubernatora, celem niezwłocznego rozpozszerechnienia tegoż na miejscu.

Petersburg, 13 kwietnia 1793 r.“

Ukaz drugi „do naszego Synodu,“ z daty tegoż samego 13 kwietnia,¹⁾ dotyczy urządzenia prawosławnej dyciezyi w oderwanych od Polski prowincjach:

„Wydawszy rozkaz utworzenia, z nowo po wieczne czasy do naszego cesarstwa przyłączonych ziem Rzeczypospolitej polskiej, trzech gubernij: mińskiej, braclawskiej i izjasławskiej, nie zapomnieliśmy zwrócić uwagi naszej na znajdujące się w tych

¹⁾ Ibid. 19—20.

guberniach klasztory i cerkwie prawosławnego greko-rosyjskiego wyznania ...

„Polecamy:

„I. Cerkwie i klasztory, fundowane w miastach i siołach, które z racyi bliskiego sąsiedztwa i innych miejscowych warunków, przydzielone według naszego rozkazu zostaną do graniczących z niemi gubernij: ekaterynosławskiej, czernihowskiej, kijowskiej, mohylowskiej i połockiej, winny wejść pod zwierzchnictwo tych eparchij, do których należą wspomniane gubernie.

„II. Z pozostałych w trzech nowo-urządzonych guberniach klasztorów i cerkwi, utworzyć nową eparchię.

„III. Mianować dla niej osobnego archiepiskopa.

„IV. Powołać na to stanowisko koadjutora metropolii kijowskiej, episkopa Wiktora, nadając mu od prastarych miast rosyjskich tytuł archiepiskopa mińskiego, izjasławskiego i braclawskiego, od miejsca przebywania zaś: archimandryty monasteru słuckiego.

„V. Nowa eparchia zaliczona zostanie do drugiej klasy, następować będzie zaraz po mohylowskiej, z uposażeniem, wyznaczonem dla tej ostatniej ukazami naszymi z dnia 27 marca i 15 maja 1785 roku.

„VI. W granicach nowej eparchii ma być wspomniany archiepiskop zupełnie niezależny od metropolity kijowskiego; pozostając atoli równocześnie i nadal na stanowisku koadjutora metropolii kijowskiej, winien jako taki podlegać dotychczasowemu swemu zwierzchnikowi.

„VII. Uwzględniając rozległość eparchii kijowskiej, dodać metropolicie specjalnego episkopa-wikarego (jak to ma miejsce w eparchiach: nowogrodzkiej i moskiewskiej) z tytułem episkopa perejasławskiego i boryspolskiego, przysługującym dawniejszemu koadjutorowi. Na rezydencyę wyznaczyć mu jeden z odpowiadających temu celowi klasztorów, wypłacając pensyę, przyznaną naszym ukazem z dnia 13 marca 1787 roku wikaremu nowogrodzkiemu.

„VIII. Przedstawić dokładny wykaz cerkwi i klasztorów do rozpatrzenia metropolicie kijowskiemu, który po porozumieniu się z generał-gubernatorem Kreczetnikowem, a w razie potrzeby i z koadjutorem metropolii kijowskiej, przesłać ma o wszystkich dokładne sprawozdanie Synodowi, ten zaś z kolei nam je przedstawi.“

Upatrzony na archiepiskopa kresowych prowincyj Wiktor Sadkowskij, osobistość bardzo ruchliwa, której działalności po-

święcącą rosyjscy historyografowie owej epoki całe długie rozdziały,¹⁾ był dobrze w Polsce znany ze strony bynajmniej nie dodatniej. Kiedy po pierwszym rozbiórze Rzeczypospolitej rząd rosyjski domagał się energicznie mianowania osobnego archiereja dla ludności dyzunickiej, zamieszkałej w granicach Polski, wybór padł na Sadkowskiego. Nowy dygnitarz duchowny zamieszkał w Słucku, otrzymał tytuł episkopa perejaśławskiego i boryspolskiego, został koadjutorem metropolii kijowskiej i odrazu niemal zaczął wśród ludu wicherzyć i podniecać dzikie instynkty, doprowadzając podczas znanych niepokojów 1789 r. do wyjątkowego w Polsce faktu aresztowania episkopa prawosławnej cerkwi i przymusowych rekolekcyj za kratą więzienną. Autorowie rosyjscy apoteozują Sadkowskiego, jako niewinnie prześladowanego męczennika; Joachim Leleweł natomiast²⁾ pisze zupełnie stanowczo: „W ciągu sejmu we wschodnio-południowych stronach Polski, między ludem prostym, okazały się były niejaki niepokojności i skłonność do ponowienia dawniej wydarzonych rzezi. Rzecz ta, śledzona, wyprowadziła na jaw knowania disunickiego władiki słuckiego, Sadkowskiego, który, pod pozorem religii, starał się wyciągać od ludu przysięgi imperatorowej Katarzynie II, jako głowie kościoła. Był on ukazem imperatorowej 1783 r. w słuckiej cerkwi posadzony, a przez wszystkie lata objawiał niezwyczęzony wstręt do pełnienia tego, czego po nim Rzeczpospolita, jako po obywatelu i urzędniku, wymagała; wezwania wyłudzał, restrikcjami odpierał, głośno się z wiernością jedynie samej imperatorowej przed swymi współwyznawcami oświadczał; nareszcie za jej natchnieniem do gwałtownego czynu lud poduszczać i uzbrajać począł. Zdarzenie to zajęło sejm, a w 1789 r. 20 maja, wyznaczoną była do tej sprawy deputacya.“

Opuściwszy więzienie, staje, wraz z Kreczetnikowem, do służby na nowym posterunku, w warunkach zmienionych gruntownie. Czuł za sobą siłę, więc zabrał się z brutalną energią do nawracania

¹⁾ P. N. Batuszkow: „Podolija istoriczieskoje opisanije.“ Petersburg, 1891. M. Kajałowicz: „Istorija wozsojedinenija zapadnoruskich Unijatow.“ Petersburg, 1873. N. I. Kostomarov: „Poslednije gody Rjeczy-pospolitoj.“ Petersburg, 1870 i inne.

²⁾ „Volumina Legum“ IX, str. 453; „Panow. Stanisł. Augusta“ j. w. 122—123. Ogromny materyał do życiorysu Sadkowskiego w „Relacyi deputacyi do examinowania sprawy o bunt oskarżonych na Seymie 1790 r. uczynionej“—a zwłaszcza w „Annexach do części pierwszej Relacyi...“ i t. d.

nia unitów na prawosławie. Czasy te „apostolskie“ Sadkowskiego przypadły na Kresach już za rządów następcy Kreczetnikowa, p. Tutolmina, pomijamy więc je krótką jedynie wzmianką. Pierwszy generał-gubernator, obarczony olbrzymim nawałem pracy u fundamentów nowego ustroju tych prowincyj, zostawił unitów w spokoju. I pierwszy archiepiskop musiał się rozglądnać w sytuacji zanim przystąpił do dzieła.

*

*

*

Wspomnieliśmy już nieco wyżej, iż Kreczetnikow 29 marca 1793 r. wysłał do Petersburga „najpoddajszy raport“ o tem wszystkim, co już uczynił w powierzonych sobie prowincjach i o planach i projektach na najbliższą przyszłość. W odpowiedzi na to pismo, wydaje Katarzyna 18 kwietnia nowy reskryt ¹⁾ „na imię generała Kreczetnikowa,“ w którym między innemi czytamy: „Z pełnem zadowoleniem otrzymaliśmy pańskie sprawozdanie z 29 marca o ogłoszeniu naszego manifestu, na mocy którego przyłączone zostały do cesarstwa rosyjskiego prowincye Rzeczypospolitej polskiej.“

.

A dalej: „Stosując się do ukazów, załączonych w odpisach, nie omieszkaż pan ze swej strony, ze znaną nam dobrze gorliwością, wykonać wszystko, co w nich pańskiej kompetencji podlegać będzie. Wspomniane wypadki były tem miłsze sercu naszemu, że obeszły się nietylko bez najnniejszego oporu ze strony miejscowej ludności, lecz przeciwnie, dostarczyły nam wielu dowodów przywiązania, a czyn taki nowych naszych poddanych zasługuje, podług wszelkiej sprawiedliwości na nasze najwyższe zadowolenie i macierzyńską troskę o ich dobrobyt. Wszystko to objawiliśmy w osobnym manifeście, który pozostawia pańskiej decyzji zawieszenie ściągania na rzecz skarbu podatków po r. 1795. Tuszymy, iż pan tak w tej kwestyi zadecydujesz i w ten sposób na miejscu wyzyskasz wszelkie środki, że otrzymane w ciągu wspomnianych lat wpływy pokryją koszta urządzenia i zarządu

¹⁾ „Materiały dla historii podolskiej gubernii“ j. w. 20—23.

nowo-utworzonych gubernij. Ulgi i darowizny czynimy nowym naszym poddanym głównie z tą myślą, by im w ten sposób wyrównać poniesione przez nich straty i szkody w czasie ostatnich niepokojów i zawieruchy wojennej, a zarazem, by do czasu, w którym ustalona zostanie cała administracya według ściśle przyjętych, niewzruszonych norm, ochronić mieszkańców przed mogącym w podobnych przejściowych warunkach bardzo łatwo zdarzyć się nadużyciem i uciskiem.

„Po wydaniu szczegółowych we wszelkich kierunkach rozporządzeń, po należytem przyprowadzeniu wszystkiego do porządku, opartego na obowiązujących postanowieniach prawnych, po przejściu oznaczonego w manifeście okresu czasu, winny być, od roku 1795 poczynając, wszystkie podatki, które obowiązywać będą ludność tych gubernij, ściągane w całej pełni, nie zaś połowicznie, jak się to praktykowało w ciągu lat kilku na Białorusi.

„Ażeby zaś ściąganie tych podatków oprzeć na zasadach dogodniejszych tak dla skarbu, jak i dla opodatkowanych, polecamy panu zawczasu przestudować wszelkie rubryki dochodów, wpływających do kasy państwowej za polskich rządów i przygotować odpowiednie księgi według białoruskich wzorów. Cały ten materiał przyslesz pan w swoim czasie do zarządu dochodów państwowych, dołączając doń własne, umotywowane uwagi i spostrzeżenia, który z dotychczasowych podatków lub dochodów utrzymać nadal bez zmiany, który z nich możnaby bez nadmiernego obciążenia ludności podwyższyć, który wreszcie, celem ulżenia mieszkańcom, domaga się obniżenia i gdzie znajdziemy w takim razie odpowiednią rekompensatę. Myślą przewodnią w całej tej pracy musi być przeświadczenie o konieczności zwiększenia rządowych dochodów, pamiętając jednak równocześnie o tem, by wprowadzane zmiany nie podkopywały dobrobytu miejscowej ludności. Wszelkie zarządzenia, w tym kierunku powzięte, przesyłać pan będziesz do naszej sankcyi.“

Reskrypt, powtórzony przez nas w wolnym przekładzie z rosyjskiego oryginału, zamykają zapewnienia monarszej wdzięczności i najwyższego uznania, skierowane pod adresem Kreczetnikowa, a stylizowane w wyrazach tak serdecznych, że wzbudziły niechybnie zazdrość i zawiść u niejednego z członków kamaryli dworskiej. Objawiała się ona zresztą i dawniej; ot choćby dla przykładu weźmy list Igelstroma do Siewersa¹⁾, z daty o trzy

1) „Drugi rozbiór Polski z pamiętników Siewersa.“ Poznań, 1865, str. 152—153.

dni od reskryptu wcześniejszej (15, IV, 1793): „Generał Kreczetnikow doniósł mi *nakoniec* wczoraj wieczorem przez kuryera, że zajął w posiadanie i wysłał generał-lejtnanta Derfelden do wzięcia Kamieńca i wyciągnięcia kordonu po nad granicą Łodomeryi i Mołdawii. Mimo to pozwolił Suchorzewskiemu z całą jego brygadą wyjść po za nowe posiadłości, wyznaczając mu kwartę w Łucku ¹⁾; *przedstawił to jednak imperatorowej wcale z innej strony, jak my to wiemy. Tak to się oszukuje swego pana i strach swój ukrywa.*“

Ludzie miejscowi natomiast nie pozostawili w swych wspomnieniach sądów ujemnych o pierwszym generał-gubernatorze. Widocznie tedy musiał on istotnie postępować z nowymi poddanymi imperatorowej z taktem i bezstronnością, nie nękać zbytnio i nie drażnić i bez tego dostatecznie już pogiębionych materyalnie i moralnie. „Wołyń szczególnie — pisze Andrzejowski ²⁾ — zaludnił się wówczas obywatelami, bo swobody, zapewnione przez imperatorowę, zniewoliły wielu, którzy piastując urzędy znakomite w koronie po stracie kraju opuściwszy stolicę i majątki, pod pruskim lub austryackim rządem będące, w ziemiach swoich na Wołyniu spokojnie siedzieli.“

Zaraz po urządzeniu gubernij, wyznacza Kreczetnikow wybory szlacheckie na marszałków, sędziów i t. p. Szlachta spieszyła tłumnie do stolic swoich prowincyj. „W Zytomierzu — czytamy u tegoż samego Detiuka ³⁾ — naznaczone było otwarcie gubernii i pierwsze obywatelskie wybory. Ciekawość widzenia tego uroczystego zebrania, potrzeba obrania mających się opiekować obywatelami i ich majątkami marszałków, stanowiących o ich sprawach sędziów, czuwających nad bezpieczeństwem, oraz nad wewnętrznym tak gubernii wogóle, jak i w szczególe każdego powiatu porządkiem, ściągaly do Zytomierza magnatów oraz bogatszą i uboższą szlachtę.“

¹⁾ Suchorzewski i Łażniński wymknęli się istotnie wraz z podległą sobie częścią wojska polskiego za Dniestr do Chocimia. Kreczetnikow i Lubomirski dowódca „dywizji ukraińskiej“, jak się Katarzynie podobało nazwać 20-to tysięczny korpusik polski, wcielony do rosyjskiej armii, byli tą niesubordynacją panów brygadyerów mocno poirytowani, nie na wiele się to jednak zdało. Obszerniej o całym zajściu u *D-ra Antoniego J.*: „Gawędy z przeszłości“, szkic p. t. „Złota Teklunia.“

²⁾ „Ramoty starego Detiuka o Wołyniu“, j. w., I, 113.

³⁾ Ibid. I. 116.

W tym czasie „przyszedł rozkaz do Kreczetnikowa, ¹⁾ aby oznajmił generałowi komenderującemu wojskiem polskiem w tym kraju, iż wola jest jej imperatorskiej mości, aby on, wziawszy z każdego rodzaju broni ober- lub sztabs-oficera i z niższych rang po jednym, jechał do Petersburga, gdyż imperatorowa chce widzieć próbki wojska polskiego.“ Zrobił się huczek wśród tych, którzy pragnęli figurować na liście wybranych, wizyta bowiem taka nad Newą w przyszłej karierze mogła zaważyć niemało. W końcu miesiąca lipca wyruszyła istotnie delegacya wojska polskiego w przydługą drogę, że zaś znalazł się wśród niej i nasz pamiętnikarz, Seweryn Bukar, więc i jego pamiętnik dostarcza wielu bardzo ciekawych i charakterystycznych rysów do tego momentu dziejowego.

*

*

*

Główną troskę Kreczetnikowa stanowiło zdobycie Kamieńca Podolskiego. „Ważny ten gród bezwarunkowo znaleźć się winien w naszych rękach—“ pisała w znanym nam reskrypcie cesarzowa Katarzyna. „Im prędzej to nastąpi, tem lepiej, z chwilą bowiem poddania się jego, wszystko się skończy i ułoży pomyślnie.“ Że o tych słowach swej monarchini pamiętał nowy dygnitarz kresowy — nie wątpimy; nie zapomniał również wielce charakterystycznej rady: „Dla osiągnięcia zamierzonego celu użyć należy wszelkich środków, przyrzekając komendantowi nagrodę pieniężną, majątek i wysokie stanowisko.“ Ostatnie słowa wszechwładnej imperatorowej smagają bezlitośnie nasz honor polski i dumę narodową, a ból ten staje się tem potężniejszy, gdy przypomnimy sobie, że — niestety — Katarzyna wybrała na zdobycie twierdzy, którą „Bóg zbudował,“ środek najbezpieczniejszy i najmniejawodniejszy. Komendat Kamieńca nie miał żadnych cech wspólnych z dawnymi „lwami kresowymi,“ łatwo więc było do jego poczucia obowiązku trafić... workiem dukatów, dzięki czemu „wszystko skończyło się i ułożyło pomyślnie,“ mniejsza o to, dla kogo. Że nie dla Rzeczypospolitej polskiej — to pewne.

¹⁾ „Pamiętniki Seweryna Bukara“ j. w. str. 100 i nast.

Do jesieni 1792 r. stał na czele załogi kamienieckiej Józef Orłowski,¹⁾ generał-major wojsk koronnych, wychowaniec korpusu kadetów, potem towarzysz Kościuszki, z którym wysłany został zagranicę celem dalszego kształcenia się w kunszcie wojennym. Po powrocie do kraju, wraz z Niemcewiczem, adjutant księcia generała Ziemi podolskich, wreszcie z rozporządzenia wielkiego sejmu komendant twierdzy kresowej. Pod naciskiem Targowiczan, usuwa się z nad Smotrycza, ustępując miejsca Haniczeniu.

Nieocenionym wprost dokumentem do owej epoki dziejów Kamieńca, jest „Księga pamiętnicza majora Andrzeja Ptaszyńskiego“ (1769—1793), przepisana do druku (Kraków 1881) przez D-ra Antoniego J.

„Dnia 18 kwietnia—czytamy w niej—przybył z Grodna JW. Złotnicki, marszałek województwa podolskiego, któremu W. Haniccki zaraz zdał komendę fortecy.“²⁾

Słów więc kilka o Złotnickim: syn ubożego szlachetki podolskiego urodził się około 1750 r.; w konfederacji Barskiej dosłużył się rotmistrzowstwa, potem „chodził dzierzawami.“ Zetknąwszy się ze Szczęsnym Potockim, oddaje mu drobne usługi, każąc sobie za nie płacić suto i zdobywając zarazem moralne poparcie wszechwładnego na Rusi magnata. W 1782 i 1791 posługuje na sejmy; z kolei odwiedza, jako promotor przyszłej konfederacji Targowickiej, Jassy, prezentuje się na dworze Katarzyny i „gdyby go Potocki nie powstrzymywał, byłby to najskorszy ze wszystkich marszałków do prześladowania konstytucjonistów. Generalność zrobiła go brygadyerem nowej brygady husarskiej, dla której wskrzeszono kolory dawnych polskich husarzy, t. j. kurtki czerwone z granatowyni wyłogami. Konstytucyoniści nadali temu mundurowi nazwisko uniformu krwi braci naszej.“³⁾ W końcu 1792 roku wynodlił sobie u Szczęsnego Potockiego dowództwo Kamieńca. Opinię u Rosyan miał już ustaloną: „Prawdą jest najzupełniej — pisze Siewers do Zubowa⁴⁾—że *hrabia* Rzewuski posłał rozkaz do Kamieńca i do regimentów, ażeby się broniono.

¹⁾ *Dr. Antoni J. „Zameczki podolskie.“* Warszawa, 1880. II. 107; *Tenże: „Generał Józef Orłowski.“* Warszawa, 1886.

²⁾ „Księga pam. maj. A. Ptaszyńskiego.“ str. 52.

³⁾ *Chrzęszczeniowski: „Pamiętniki“* (rękopis w posiadaniu piszącego); *Dr. Antoni J.: „Zameczki“* j. w. II, 107—108.

⁴⁾ „Drugi rozbiór Polski z pamiętników Siewersa“ j. w. 176.

Gdy jednak nowy komendant Złotnicki jest dobrze myślący, prawdopodobnie rozkazy te pozostaną bez skutku.“

I istotnie „dobrze myślący nowy komendant“ nie zawiódł pokładanego w nim zaufania: „dnia 1 maja, gdy codzienne nalegania były, grożące atakiem i zburzeniem miasta, z dwoma sztabs-oficerami wyjechał za fortecę o pół ćwierci mili, na folwark pojezuicki zwany, i tam z JW. generałem Derfeldenem miał z godzinę sam konferencyę, poczem powrócił nazad do fortecy.

„Dnia 2 maja JW. Złotnicki wyjechał za bramę zamkową, a gdy JW. Derfelden nadjechał, mając przy sobie generałów: Morkowa, Rozumowskiego i Knorringa, jako też i innych sztabs- i oberoficerów wielu, po krótkim powitaniu się, o godzinie wpół do dwunastej przed południem, wprowadził go zamkową bramą do fortecy i zaraz stąd poszli do kościoła katedry polskiej. Tam JW. Złotnicki, jako komendant, wykonał przysięgę na wierność najj. imperatorowej i po wykonanej oddał klucze fortecy gen. Derfeldenowi; ten wzięwszy je w ręce, oddał natychmiast JW. Złotnickiemu; potem ten ostatni wyszedł z kościoła, przed którym regimenta i oficerowie też przysięgę wykonali, a naostatku wszyscy sztabs-oficerowie, wykonawszy przysięgę przed hauptwachem, na to się podpisali. Szlachta zaś w kościele, mieszczanie na ratuszu, księża i inni ludzie także w kościołach swych parafiiów, a Żydzi z przedmieściów w szkole na Karwasarach przysięgali. A po skończonej przysiędze sto jeden razy w fortecy z dział ognia wydano; o godzinie drugiej z południa od pułku ekaterynosławskiego dwa bataliony ruską bramą do zamku wmaszerowało, a reszta tego pułku została za fortecą i stanęli obozem koło karczmy ruskich folwarków.

„Dnia 5 maja przymaszerowało zamkową bramą do Kamieńca dwa bataliony od pułku czernihowskiego, a bataliony od pułku ekaterynosławskiego wymaszerowały polską bramą i reszta tego pułku, jak wyżej, obozem stojąca, także ruszyli od fortecy.

„Po tych załatwieniach kazał JW. komendant Złotnicki zrobić osobne klucze od fortecy i te przez sztabsoficera, umyślnie na to wykomenderowanego z garnizonu, do Łabunia odesłał do JW. Kreczetnikowa, generała *en cheff* i gubernatora, a ostatni też same klucze przez Zubowa, pułkownika rosyjskiego, wyprawił do Petersburga do najj. imperatorowej.“

Tyle naoczny świadek.¹⁾

¹⁾ „Księga pamięt. maj. A. Ptaszyńskiego,“ j. w. str. 42—53.

W Petersburgu zapanowała radość niezwykła: hr. Zubowa, który przywiózł wiadomość o kapitulacji niezdobytej dotychczas kresowej twierdzy, mianuje Katarzyna generał-majorem i obdarza go tabakierą, obsypaną brylantami; Knorring, Berchman, Nieplujew i Szeremetiew otrzymują wielkie wstęgi orderu św. Anny. Carowa, dla wszystkich uprzedzająco łaskawa, podkreśla ciągle z niekłamanem zadowoleniem fakt, iż Kamieniec otworzył bramy przed armią rosyjską właśnie w rocznicę urodzin monarchini (21 kwietnia star. stylu).¹⁾ Złotnicki, jak z tego poznać można, obmyślił całą tragikomedję w najdrobniejszych szczegółach i miał prawo oczekiwać sowitej nagrody.

W Polsce tymczasem sromotny upadek Kamieńca odbił się donośnem echem. „Zajęcie Kamieńca—pisze Sievers do Zubowa²⁾—roziewa wszelkie marzenia polskich patriotów... Przysporzyć sobie dwadzieścia tysięcy ludzi bez wystrzału, jest to jedyny może przykład w historii.“ Nawet Targowiczanie Rzewuski „wpada w konwulsje na myśl, że Kamieniec poddał się bez wystrzału. Choruje prawdziwie na punkt honoru, lub na błędnego rycerza...“³⁾

Kreczetnikow tryumfował: misya, włożona na jego barki przez carowę, postąpiła znaczny krok naprzód. Postanowił odbyć uroczysty wjazd w mury twierdzy, na której posiadaniu tak bardzo mu zależało. Niestety, wybrańcowi fortuny sądzonem było Kamieńca nie oglądać: „dnia 20 maja—notuje w swej księdze pamiętniczej Ptaszyński—Michał Kreczetnikow, generał *en cheff*, wielu orderów kawaler i gubernator nowo-przyłączonych krajów, umarł w Międzybożu, jadąc do Kamieńca z Łabunia.“⁴⁾ Specjalny kurjer carowej, wiozący dlań z Petersburga dyplom na hrabiostwo, nie zastał go już przy życiu.⁵⁾

Ciało pierwszego generał-gubernatora kresowych prowincyj przewieziono do Słucka i pogrzebano w cerkwi Swiackiej na Trojczanach, jedynej podówczas dyzunickiej. Do dziś z prawej strony przy filarze oglądać można artystycznie wykonany pomnik: w bronzie uwieczniono rysy zmarłego, na marmurowej tablicy wyryto długi napis w polskim, łacińskim i rosyjskim języku.⁶⁾

¹⁾ „Dniownik A. W. Chrapowickiego.“ Petersburg, 1874, str. 426—427.

²⁾ „Drugi rozbiór Polski z pamiętników Sieversa,“ j. w. str. 202.

³⁾ Ibid. str. 176.

⁴⁾ Ptaszyński j. w. str. 53.

⁵⁾ „Materiały dla istor. podolsk. gubern.“ j. w. str. 5.

⁶⁾ Jelski: „Biblioteka Warszawska.“ 1890, s. 20. Podobizna pomnika u Batiuszkowa: „Podolija...“ j. w. str. 174.

Ład i porządek usiłuje w kraju utrzymać najstarszy rangą generał Derfelden, gdy w Petersburgu wieść o zgonie ulubieńca sprowadziła nawet „pewnego rodzaju wahanie w krokach cesarzowej. Nowonabyte prowincye, których obsadzenie i urządzenie jemu było poruczone, były teraz jakoby osierocone.“¹⁾ Grom padł najniespodziewaniej z pogodnego na pozór nieba, nic więc dziwnego, że przeraził wielbicieli i przyjaciół Kreczetnikowa.

Kończymy słowami majora Ptaszyńskiego (str. 53):

„W lipcu przybył z Petersburga kurjer do Kamieńca, który przywiózł JW. Złotnickiemu od naj. imperatorowej patent na generał-porucznika w wojsku rosyjskiem, order i tabakierę złotą, brylantami kameryzowaną, dosyć kosztowną.

„Dnia 11 augusta J. W. Złotnicki, generał-porucznik wojsk rosyjskich, wyjechał z Kamieńca do Petersburga, po którym objął komendę garnizonu brygadyer Nowikow...“

.....

Drugim generał-gubernatorem kresowych prowincyj został ku niemiłemu rozczarowaniu rozmaitych pretendentów do spadku po Kreczetnikowie—Tutolmin.

MICHAŁ ROLLE.

1) „Drugi rozbiór Polski z pamiętników Sieversa,“ j. w. str. 232.

TRAGEDYA SUMIENIA

(Lew Tołstoj i jego ideał etyczny).

IX.

Zbliżamy się do kulminacyjnego punktu całego rozwoju poety. Artystyczne owego punktu odzwierciedlenie znajdujemy w „Annie Kareninej,” napisanej wkrótce po „Wojnie i pokoju,” w dobie największych literackich i życiowych powodzeń Tołstoja.

Sam mówił o sobie, że nieudało mu się zostać generałem artylerji, o czem wprzód marzył, ale został generałem literatury. Po ogłoszeniu drukiem „Wojny i pokoju,” sława jego literacka ustalona była nie tylko w Rosyi, lecz i w Europie całej. Na krótko przedtem pojął za żonę kobietę kochaną i kochającą, dobrą, rozumną, gospodarną — istną koronę głowy męzowskiej. Żył z nią i żyje do dziś dnia w swej rodzinnej ulubionej Jasnej Polanie zgodnie i szczęśliwie, w zdrowiu i pomyślności. Dzieci przybywały, rodzina pomnażała się i kwitła, majątność rosła, dostatki dom napełniały. Jak biblijny Ekleziastes mógł powiedzieć: „Rozwielmożniłem dzieła moje, nabudowałem sobie domów, zgromadziłem sobie srebro i złoto.“ I jak on mógł dodać: „A oto wszystko marność i utrapienie ducha. Śmiech poczytałem za błąd, a do wesela rzekłem: co się darmo zwodzisz.“

Utworky, powstałe w dobie tego tak wspaniałego rozbłysku sławy, szczęścia, powodzenia, niejaśnieją wcale odbiciem jasnych jego promieni. Jeszcze bezpośrednio przed ożenieniem napisana krótkka powieść „Szczęście rodzinne“ zawiera bardzo niewesołe o tem szczęściu przeczucia czy zwiastowania, a powstała w pełnym jego rozkwicie „Anna Karenina“ jest na poły przerażającą

tragedyą namiętności, na poły melancholijną elegią pragnień, poszukiwań, dążeń, nie znajdujących zadowolenia w najpomysłniejszym nawet pożyciu rodzinnem.

Dwoistość tej znamienitej powieści, niewątpliwie najgłębszego utworu Tołstoja, odpowiada zmagającej się w tej epoce wewnętrznie dwoistości samego poety. Widzieliśmy poprzednio namiętny jego poryw do przyrody, panteistyczny, iście pogański kult tworców przyrodzonych, tak przedziwnie uplastyczniony w postaci starego Jeroszki. Te i tym podobne objawy ukazują nam w naturze Tołstoja jakąś żywiołową, orgiastyczną (jakby rzekł Nietzsche) pełnię życia, którą trafnie dostrzegł w nim i uwydatnił Mereżkowskij, przedstawiając go, jako bezwiednego (wbrew swemu chrześcijańskiemu ascetyzmowi) rzecznika Boga-Zwierza, czyli objawu boskości we wszelkich tworcach przyrodzonych, „w duszy żywiącej“ całej przyrody. Z drugiej strony widzieliśmy w autorze „Wojny i pokoju“ nieprzepartą dążność do pogrążenia się w nadprzyrodzonej, nadświatowej Wszystkości, w mistycznych falach bożego Wszechbytu — dążność, będącą istotnym czynnikiem jego rozwoju moralnego, zmierzającego ku ujściu w najkrańcowszym ascetyzmie chrześcijańskim, a nawet buddyjskim.

Pierwsza, żywiołowo-orgiastyczna strona jestestwa poety, dochodzi do przesilenia i upadku tragicznego w „Annie Kareninej“ w osobie i smutnych losach tytułowej bohaterki romansu i druga, moralna strona, rozwinięta została w charakterystyce i w historii życiowej Lewina, będącego po Irteniewie, bohaterze młodzieńczej, autobiograficznej powieści najwierniejszem odbiciem usposobień i dążeń samego poety. Na pozór historia Anny i historia Lewina niczem istotnem nie łączą się ze sobą, stanowią jakby dwie odrębne powieści luźno, dowolnie w jedną złączone całość, odniesione jednak do istotnego swego źródła, do duszy poety, okażą się nam ściśle zjednoczonymi, uzupełniającymi się psychicznie i moralnie fragmentami tej wielkiej jego spowiedzi poetyckiej, którą tu rozważamy.

Mylnem byłoby wszakże przypisywać całemu utworowi, jak to czynią niektórzy, utylitarno-moralizatorską tendencję: widzieć w Annie ukarany występpek, w Lewinie nagrodzoną cnotę. Można nawet nie bez zasady zapytać: czy Anna jest istotnie występna? Wszakże poeta nie uczynił jej ani lekkomyślną, ani przewrotną, ani zepsutą. Widzimy jej wewnętrzne walki i cierpienia, jej zmaganie się z namiętnością dla Wrońskiego, jej miłość szczerą dla męża i syna. Widzimy tak wyraźnie, odczuwamy tak żywo wszystkie te jej wysiłki rozpaczne, iż nie możemy odmawiać jej wiary,

gdy mówi: „Ja niewinna, że Bóg mię taką uczynił, że muszę kochać i żyć.“ Te słowa, brzmiące nieraz jako frazes pusty lub fałszywy w ustach bohaterek wielu pisanych i niepisanych romanów, w ustach Anny Kareninej, wyrażają straszliwą, groźną prawdę pochłaniającej, nieprzepartej potęgi namiętnych porywów. Aby uprzytomnić sobie całą ich moc i groźę dość wspomnieć opis stanu Anny, stopniowo niemi owładniętej.

Po pierwszym spotkaniu z Wrońskim, powraca Anna z Moskwy do Petersburga zupełnie jeszcze niewinna, próżna nawet myśli grzechu. „Chwała Bogu, wszystko skończone – myśli, siedząc nocą w wagonie.— Jutro zobaczę Olesia, Aleksego i powróci dawne dobre moje życie.“ Nagle wspomniała Wrońskiego i omal głośno się niezaśmiała, porwana nagłą, bezprzyczynową radością. Czuła, że nerwy jej wyciągają się, jak struny, że oczy roztwierają się coraz szerzej i szerzej, że palce rąk i nóg poruszają się nerwowo, że coś wewnątrz tłumi jej oddech, że wszystkie obrazy i dźwięki w tym kołyszącym się półmroku niezmierną rażą ją jaskrawością. Chwilami nie mogła zdać sobie sprawy, czy wagon naprzód jedzie, czy w tył, czy w miejscu stoi. Co tam wisi na poręczy, futro czy zwierz jakiś? A co ja tu robię, ja sama, czy jakaś inna. Straszno jej było poddawać się temu odurzeniu. Coś ją wciągało... czuła, że gdzieś się zapada, ale to było nie straszno, lecz wesoło. „Wyszła na platformę wagonu. Zamieć i wicher rzuciły jej się na spotkanie. Wicher, jakby na nią tylko czekał, zaświstał radośnie, chciał ją porwać i unieść. Burza zrywała się i świstała między kołami wagonów, po słupach, z poza węgła stacyi. Wagony, słupy, ludzie—wszystko, co było widać, z jednej strony zasypane było śniegiem i coraz bardziej zasypywane. Na chwilę burza cichła i znów nalatywała takimi porywami, że zdało się wszystko z nóg zwali.“ Wśród tej burzy Wroński mówi Annie pierwsze słowa miłości. „I w tejże samej chwili, jakby przeciężywszy przeszkody, wicher posypał śniegiem z dachów wagonów i zatrzepotał gdzieś jakimś oderwanem żelastwem, a z przodu żałośnie, pośępnie zabrzmiał jęklivy świst parowozu. Cały ten zamęt burzy zdał się Annie teraz jeszcze piękniejszym, mówił jej to, czego pragnęła jej dusza, ale czego lękała się rozsądkiem.“

Czy można sobie wyobrazić potężniejszy, a zarazem realniejszy obraz oszałamiającej mocy namiętności? Niema tam ani śladu romantycznej dekoracji patetycznych nastrojów. Rzeczywistość, nie jak rzeczywistość w szczegółach i tle obrazu, w poruszeniach czucia i myśli, w fizycznych i fizjologicznych stanach Anny. A jaka moc, jaka bezdeń, jakie rozpętanie orgiastycznych sił ży-

cia. Poeta czarem swego geniuszu zaklina żywioły: świstem wichru nocnego, białym szalem zamieci zimowej mówi nam o mrocznych, groźnych potęgach natury i duszy, unoszących całe jestestwo kobiece w bachlicznej orgii namiętnego odurzenia. I w dalszem rozwinięciu miłości Anny dla Wrońskiego ciągle taż sama niepomahowana, rozpięta żywiołowość, pędząca z fatalistyczną grozą do ostatecznej katastrofy tragicznej, a oddana zawsze w rysach nieposzlakowanej prawdy realnej, jakby żywcem wychwycona z rzeczywistości ludzkich szałów i opętań.

Anna Karenina, jak dobrze powiedział Mereżkowskij, to nocna Muza Tolstoja, to uosobienie jakichś pierwotnych, żywiołowych sił, nurtujących skrycie w bezwiednej, nocnej pomroce jego jestestwo pod dzienną jawą moralno-chrześcijańskich dążeń, coraz jaśniej uświadamiających się w jego rozwoju duchowym. Poeta, obdarzony taką zdolnością odczuwania rzeczywistości życiowej, czyż mógł być głuchy na dochodzące go z ciemnych jej głębin szepty instynktów, krzyki namiętności. Niegdyś przemawiały doń one wesołym, niefrasobliwym głosem naiwnego cynika Jeroszki; potem ścichły, zgłuszone coraz donośniej rozbrzmiewajacem mu w duszy słowem nauki moralnej, wreszcie poraz ostatni wybuchły namiętnym szalem miłosnym Anny Kareninej i zamilkły na zawsze.

Wraz z księciem Andrzejem pochował poeta swe młodzieńcze pragnienia potęgi i sławy, w tragicznej katastrofie nieszczęsnej Anny zatracił burzliwie namiętne żywioły swej duszy. Po nad mroczną otchłanią tej katastrofy na jasnych, przestronnych, ale dość płaskich obszarach życia, obowiązku i pracy zapanował teraz praktyczny filozof Lewin, nowy sobowtór literacki samego poety w jego obecnym stanie wyzwolenia i oczyszczenia, w stanie prostolinijnych dążeń moralnych do wewnętrznego zdrowia duszy, do harmonijnego ustosunkowania i zrównoważenia wszelkich warunków życiowych, zdolnych zapewnić człowiekowi czyste, spokojne i trwałe szczęście.

Jakoż Lewin zdaje się je znajdować w pożyciu ze swą ukochaną Kiti, w swych doskonale uregulowanych stosunkach domowych, w swym wewnętrznym spokoju, w zbliżeniu do ludu pracującego i we wspólnych z nim a płodnych trudach na glebie ojczyzny. Dlaczego jednak, choć mówi tyle o swem nadzwyczajnem „nienaturalnem“ szczęściu, nie okazuje go jakoś ani zachowaniem, ani wyrazem oblicza? Dlaczego jest w nim zawsze jakiś niepokój poszukiwacza rzeczy dalekich, niedostępnych? Dlaczego w twarzy jego i postaci taki wyraz surowy, chmurny, prawie odpychający?

X.

Odpowiedź na te pytania, właściwie wyjaśnienie rzekomego szczęścia domowego Lewina-Tołstoja, znajdujemy w słynnej „Spowiedzi“ poety.

„Życie moje zatrzymało się. Mogłem oddychać, jeść, pić, spać i nie mogłem nie oddychać, nie jeść, nie pić, nie spać, ale życia nie było, bo nie było takich pragnień, których zadowolenie zdałoby mi się rozummem. Jeśli pragnąłem czego, naprzód wiedziałem, że czy się to stanie, czy nie stanie, nic z tego nie będzie. Gdyby zjawiała mi się jakaś wróżka z obietnicą spełnienia wszystkich moich życzeń, nie wiedziałbym, czego sobie życzyć. Jeśli miałem nawet jakieś nie życzenia, lecz przyzwyczajenia życzeń w chwilach upojenia, to w chwilach trzeźwości wiedziałem, że to ułuda, że niczego pragnąć nie warto. Nie mogłem nawet pragnąć poznania prawdy, domyślałem się bowiem, na czym ona polega. Prawdą było, że życie jest niedorzecznością. Żyłem, szedłem wciąż naprzód i doszedłem do przepaści; ujrzałem, że przedemną niema nic, okrom zguby. I nie można ani zatrzymać się, ani wrócić, ani oczu zakryć, aby niewidzieć, że nic niema przedemną, okrom cierpień i prawdziwej śmierci—zupełnego unicestwienia.

„I stało się, że ja, człowiek zdrowy, szczęśliwy, poczułem, że żyć dłużej nie mogę; jakaś nieprzeparta siła ciągnęła mię ku temu, aby jakim bądź sposobem wyzwolić się od życia. Nie można powiedzieć, abym *chciał* się zabić.

„Siła, co mię od życia odciągała, mocniejsza była, pełniejsza, szersza od chcenia. Była to siła podobna dawniejszemu dążeniu do życia, tylko we wprost przeciwnym kierunku. Wszystkimi siłami rwałem się teraz od życia. Myśl o samobójstwie tak naturalnie mi teraz przyszła, jak przedtem przychodziły myśli o polepszeniu życia. Myśl ta była tak kusząca, że sam przeciw sobie musiałem używać wybiegów, aby zbyt pośpiesznie jej nie wypełnić. Dlatego tylko nie chciałem się spieszyć, aby mieć czas na rozplątanie zawikłań życiowych; gdy ich nie rozplątam, zawsze jeszcze zdążę je przeciąć. I oto ja, człowiek szczęśliwy, sam przed sobą chowałem sznur, aby się nie powiesić... przestałem chodzić ze strzelbą na polowanie, aby nie uleść pokusie nazbyt łatwego sposobu wyzwolenia się od życia. Sam nie wiedziałem, czego chcę: bałem się życia, chciałem je porzucić, a jednak czegoś jeszcze oczekiwałem od niego.

„I zdarzyło mi się to wtedy, gdy wszystko posiadałem, co ludzie poczytują za zupełne szczęście. Liczyłem sobie wtedy niepełna pięćdziesiąt lat wieku. Miałem dobrą, kochającą i kochaną żonę, dobre dzieci i wielką majątność, rosnącą wciąż i mnożącą się bez mojej pracy. Poważany byłem więcej, niż kiedykolwiek, przez bliskich i znajomych; wystawiany byłem przez obcych i bez zarzucenia mogłem powiedzieć, że imię moje szeroko słyndęło po świecie. Dodać trzeba, że nie tylko nie byłem chory umysłowo, lecz owszem, posiadałem siły duchowe i cielesne, jakie rzadko spotykałem u swych rówieśników: mogłem fizycznie pracować przy koście, nie ustępując najtęższym chłopom, zdolny byłem oddawać się przez 8—10 godzin pracy umysłowej, nie doznając żadnych następstw takiego wysiłku. I w tem położeniu doszedłem do tego, że nie mogąc żyć i lękając się śmierci, musiałem uciekać się do wybiegów, aby nie popełnić samobójstwa.“

Pismo, z którego wyjęte są powyższe wyznania, jak w tytule jego wyrażono, jest „spowiedzią“ poety, a zarazem „wstępem do krytyki teologii dogmatycznej i badań nauki chrześcijańskiej,“ nadto w treści swojej zawiera ono wyraźny zwrot do nowego życia, oraz potępienie życia dotychczasowego, nie tylko w jego zboczeniach i wybujałościach, lecz także w najprostszych jego drogach, najumiarkowańszych požądaniach, nie tylko w wesołej, naiwno-cynicznej instynktowności starego Jeroszki, lub w namiętnych porywach Anny Kareninej, lecz także w uświadomieniu moralnem Piotra Bezuchowa, w gruntowanem na zasadach najsurowszej etyki pożyciu małżeńskim Lewina. Co więcej, w późniejszych swych pismach Tołstoj poczytuje umiarkowane używanie dóbr i rozkoszy życia za bardziej grzeszne od namiętnego ich nadużycia. „Dostatni lub zbyt kowny byt rodziny, uchodzącej za enotliwą i przykłądną—mówi w jednym z nich—byt, pochłaniający dnie pracy, potrzebnej dla wyżywienia setek ludzi, żyjących tuż obok w niedostatku i nędzy, jest objawem większego zepsucia, aniżeli tysiące głupich orgij kupców, oficerów lub robotników, oddających się pijaństwu i rozpuście i po pijanemu rozbijających naczynia, stoły i zwierciadła w salach i gabinetach restauracyjnych.“

Zgodnie z podobnemi przekonaniami, postanowił wyrzec się bytu dostatniego i zbyt kownego, sprowadzić swój sposób życia do form możliwie najprostszych i grubą pracą fizyczną zbliżyć się do biednego, roboczego ludu. Znany dobrze, zna cały świat cywilizowany następstwa tych postanowień. Ubiór chłopski, izba włościańska w jasnopolańskim dworze, czy w moskiewskim domu

Tołstoja, pług, siekiera, kosa, dratwa szewcka — oto atrybuty nowego życia poety, figurujące po tysiąc razy w opisach i opowiadaniach naocznych świadków, na rysunkach, fotografiach i obrazach ilustratorów tego na świat cały słynnego żywota.

Wraz ze zmianą jego trybu życia zmienia się i kierunek napełniającej go pracy twórczej. Wielki pisarz ziemi rosyjskiej występuje teraz, jako wielki reformator świata współczesnego, usiłujący go nawrócić do swych ideałów moralnych i religijnych. Twórczość poetycka zostaje w znacznej części zarzucana lub podporządkowana propagandzie pisarskiej w duchu tych ideałów, z wielką prowadzoną energią. Obok mnóstwa broszur, odezw i pism ulotnych, opracowuje Tołstoj własny swój przekład Ewangelii z nader wyczerpującymi komentarzami, ogłasza rodzaj katechizmu swej odrębnej, bardzo radykalnie pojmowanej, religii chrześcijańskiej, przemyśliwa, jak widzieliśmy, o gruntownej krytyce teologii dogmatycznej i naczelnych zasad chrześcijaństwa.

Atoli cała ta teoretyczna i praktyczna działalność poety, choć wzbudza powszechne zainteresowanie i wszechświatowy pozyskuje rozgłos, w ostatecznych swych wynikach dość bezpłodną się okazuje. Jego doktryny religijno-moralne mnóstwo mają czytelników, ale bardzo mało adeptów; garstka tołstojowców, o której chwilowo słychać było po świecie, teraz zupełnie stopniała i nigdy zresztą na seryo nie była brana. O jego życiu chłopsko-prostackiem wszyscy chętnie słuchają i czytają, ale nikt też pono poważnego nie przypisuje mu znaczenia. Niektórzy widzą w nim bezwiedną czy nawet przez pół świadomą obłudę. Merezkowskij z ironią mówi o tem rzekomem wyrzeczeniu się dóbr ziemskich przez sprowadzenie wszelkich ich pożytków do formy możliwie najprostszej, a zatem dla człowieka rozumnego, wolnego od głupich nałogów światowych, prawdziwie najdogodniejszej. Mędrzec jasno-polański, odziany w luźną, swobodną rubaszkę muzykę, karmiący się prostem, zdrowymi potrawami, o których należyte przyrzadzenie troszczy się kochająca i gospodarna małżonka, utrzymujący w swych zajęciach bardzo racjonalną i higieniczną równowagę między pracą fizyczną i umysłową—urządził sobie życie w sposób możliwie idealnie najwygodniejszy, zarówno daleki od dobrowolnych praktyk ascetycznych, jak i od poniewolnie twardej doli biednego ludu roboczego.

Czy więc w tem wszystkim niema pewnego rodzaju obłudy lub zgola komedyanctwa? Czy nie mają słuszności ci, co poczytują Lwa Tołstoja za człowieka nieszczerego lub nawet przewrotnego, który swym radykalizmem religijnym i moralnym, swym nihi-

lizmem życiowym sprawia zamęt w głowach i sercach współczesnych, większa i bez tego wybujała w nich ogromnie anarchię ideową?

Należy tu przede wszystkim wyjaśnić pewne nieporozumienie, zawarte w przekonaniach samego poety, oraz w sądach wielu jego wielbicieli i przeciwników w stosunku wzajemnym dwóch różnych epok jego życia i działalności.

Wiadomo, że od chwili ogłoszenia przytoczonej powyżej „Spowiedzi,” wyrzeka się on całej dawniejszej swej twórczości poetyckiej, jako zupełnie bezwartościowej, przeciwstawiając jej dzisiejszą swą propagandę moralno-religijną, w której widzi istotny cel swego życia. W tej ostatniej uznają też wielbiciele poety jego główną zasługę, a przeciwnicy główny jego błąd, przenieńczenie się wskazanemu mu przez wrodzony geniusz twórczy powołaniu artystycznemu.

Jednym z istotnych zadań niniejszej pracy jest wykazanie, iż rzecz się ma nieco inaczej, iż dwa okresy działalności pisarza rosyjskiego, czysto-artystyczny i propagatorsko-moralny, nie przeciwstawiają się sobie, lecz uzupełniają się nawzajem: drugi wynika z pierwszego, stanowi naturalną i nieodzowną jego konsekwencję, dla wielu niepożądaną, ujemną, zgubną, z naszego punktu widzenia tragiczną przez tkwiący w niej zasadniczy konflikt życiowy, w dobie obecnej ze szczególną występujący siłą.

Nowy okres swych dążeń rozpoczął poeta od publicznej spowiedzi w druku: ale, jak wyżej starałem się wykazać, cała jego twórczość powieściopisarska w gruncie rzeczy nie czem innym była, tylko jedną wielką spowiedzią powszechną, kto wie, czy nie szerszą, zupełniejszą od tej, co przez samego autora tak nazwana została; nie dlatego, aby ostatnia miała zawierać jakieś rozmyślnie fałsze, lecz dla tego, że była mniej od tamtej bezpośrednią, samorzutną, mniej zależną od bezwiednej intuicji, stanowiącej najistotniejszy czynnik życia duchowego takich, jak Tolstoj, natur.

Owa natura poetycka, tak potężna w swej jednolitej prostocie duchowej, w swej żywiołowej pierwotności, nigdy nie mogła się pogodzić z życiem współczesnym, wrzącym sprzeciwienstwami materialnej hyperkultury i duchowego zdziczenia, górnych wzlotów intelektualno-ideowych i niskich dążeń sfilistrzałej doszczętnie rzeczywistości. Nie dziw, że w odtwarzaniu tego życia coraz wyraźniej uświadamiała sobie swoją odrębność i wiedziona wrodzonym popędem do jaknajzupełniejszego wypowiedzenia się w słowie twórczem, dała w nim wyraz swym dążeniom indywidualnym,

przeciwstawiającym się coraz bezwzględniej istniejącym stosunkom życiowym.

W swem obrazowaniu epickiem poeta rosyjski nie staje poza obrazem z uczuciem uwielbienia dla wyobrażonych na nim bohaterów, lecz zajmuje miejsce na samym obrazie, jako jedna z głównych jego postaci, rzucająca szeroki i gruby cień na całe jego tło społeczno-obyczajowe. Homer nowoczesny nie opiewa tu Achilleśa, którego w świecie otaczającym daremnieby szukał, lecz sam staje się Achilesem, usiłującym opanować lub zniweczyć Ilion współczesnego życia kulturalnego. Jenó, że ta twierdza życiowa znajduje się nietylko przed obliczem zwalczającego ją herosa, lecz poniekąd w nim samym. Toż i on żył, rozwijał się we współczesnym środowisku kulturalnym, niemógł przeto uniknąć różnych jego wpływów i wiedziony wrodzonym popędem swej pierwotnej, wrogiej im natury, zwalczać je musiał nie tylko poza sobą, lecz i w sobie, we własnej swej duszy.

Zewnętrzny, artystyczny wyrazem tej jego walki wewnętrznej jest owa spowiedź powszechna, która, jak widzieliśmy, pod różnemi postaciami nieprzerwanym wątkiem snuje się po przez wszystkie jego utwory i w końcu bez żadnych obstępów artystycznych, wprost, jawnie na świat cały ogłoszona zostaje w słynnym wyznaniu grzechów i występków dotychczasowego żywota poety, wyznaniu, mającem stanowić zupełny przełom życiowy, zaprzeczenie dawnych i początek nowych dążeń, kającego się publicznie grzesznika, który przykładem swego nawrócenia i propagandą swej nauki pragnąłby pociągnąć do pokuty i poprawy cały świat współczesny w grzechach również pogrążony.

XI.

Czy istotnie jest to taki stanowczy przełom w życiu apostołującego poety?

Wiemy, że zachodzą w tym względzie wielkie i arcyważne wątpliwości. Głęboko ukryte w jego jestestwie przeciwieństwa, które je wzbudzają, stanowią źródło i istotę wewnętrznej jego tragedyi, konfliktu tragicznego pomiędzy powołaniem poety i dążeniem moralisty, pomiędzy rzeczywistością jego twórczości poetyckiej a nieureczywistnionym ideałem jego doktryny etyczno-religijnej.

Jeśli gdzie i kiedy mówić można o powołaniu poetyckiem, to chyba w zastosowaniu do Lwa Tołstoja. Wrodzony samorodny talent twórczy o wyraźnym, zdecydowanym charakterze artystycznym, objawia się od pierwszej powieści, jaką napisał, od pierwszych kilku czy kilkunastu jej wierszy.

Ludzie tysiącami przeciągają przez życie, jakby z zamkniętymi oczyma: czują różnorodne, powierzchowne jego dotknięcia, ale nie widzą go, nie odczuwają wewnątrz. Przychodzi wreszcie człowiek widzący, ogarnia wzrokiem wyobraźni szerokie widnokręgi życia, sercem je odczuwa, myślą uświadamia i natchnionem słowem twórczem mówi o niem tym, co mają uszy ku słuchaniu.

Atoli najpotężniejszy nawet duch ludzki ma granice swej potęgi. Ten, co genialnie tworzy w słowie, niekoniecznie jeszcze zdolny jest tworzyć w czynie. Co innego głosić prawdę życia, co innego ją działać. W epokach pierwotnej prostoty ta różnica pomiędzy mową a działaniem wyraźnie się zaznacza. Homer opiewa walczącego Achileśa: w uskrzydłonym słowie poezji, poprzez dal wieków do odległej potomności puszcza wieść o sławnych czynach bohatera... A oto w naszej epoce zamętu, pomieszania najsprzecznějších słów i czynów, idei i faktów widzimy prawdziwego epika, rosyjskiego Homera, daremnie szukającego w świecie otaczającym swego Achileśa, którego mógłby uwielbić i wysławić. Nie do Achileśów nam teraz, nie do herosów, uosabiających w swem jestestwie jakąś wielką prawdę życia zbiorowego. Daremnieby jej szukać, tej prawdy wielkiej, w chaosie licznych, zaprzeczających sobie nawzajem, prawd drobnych życia współczesnego.

„Prawda jest biała,“ mówi dyabeł do świętego męża w fantazyjnej opowieści ironicznego sceptyka, Anatola France'a. Ale oczywiście nie jest to czysta białość niewinnej prostoty, lecz brudno-szara białość różnobarwnie grzesznego zamętu. Oto w wizyi, nasłanej mu przez złego ducha, widzi mąż święty olbrzymi krąg pomalowany na wszelkie możliwe barwy najsprzecznějších mniemań, sądów i wierzeń. Potrącony z boku wielkim kopytem dyabelskim, krąg symboliczny z niezmierną szybkością poczyna wirować. W oku patrzącego mieszają się wszystkie barwy i na mocy znanego prawa fizycznego, powstaje w nim wrażenie bezbarwnej, szarawej białości zamętu.

Oto wasza prawda!— woła ze śmiechem sardonicznym ironista francuski.

W takiej postaci swojej może ona radować złośliwych sceptyków-szyderców, może zajmować tak licznych za dni naszych

amatorów-rozplątywaczy powikłanych kłębków życia, ale czyż może zadowolić naiwnie szczerego poszukiwacza prawdy w jej formie najprostszej, w pierwotnej białości nierozłożonego promienia słonecznego?

„Bohaterem mego opowiadania — mówi Tołstoj w jednej ze swych powieści sewastopolskich — którego uniłowałem całą siłą mej duszy, którego starałem się odnalować w całej jego piękności, który był i będzie zawsze piękny — jest prawda.“

W życiu współczesnem napotykał mnóstwo prawd różnobarwnych, różnokształtnych i odtwarzał je w swych obrazach poetyckich, w swej olbrzymiej, wielotomowej, prozaicznej epopei z nieporównanym artyzmem, ale tej wielkiej, jasnej, słonecznej prawdy życia, której wciąż pożywał, jako powołany przez swój dar twórczy rzecznik jej w słowie, gdzież miał szukać? Chyba w samem tem pożądaniu jej, we własnem swem do niej dążeniu, czyli w głębi własnego jestestwa moralnego.

Słuszność miał tedy epik rosyjski. W swej epopei życia współczesnego, złożonej z szeregu niezrównanie artystycznych obrazów powieściowych, jednego zawsze opiewał bohatera: prawdę własnych dążeń, ściślej mówiąc — prawdę własnych dążeń do prawdy. Wszystko inne, to tylko tło, akcesorya obrazu; istotną jego treścią, istotnym przedmiotem — dążenia poety. Przybierały one różne kształty, różne postacie, uosabiane w następujących po sobie bohaterach powieściowych: Irteniewie, Niechludowie, Oleninie aż do Lewina — wreszcie poza obrębem całego obrazu epickiego wystąpiły pod własnem imieniem poety, jako apostołstwo religijno-moralne.

Poczytywał je i poczytuje dotąd za bezpośredni wynik swych doświadczeń i przejść życiowych, zupełnie niezawisły od swej twórczości poetyckiej, którą ze stanowiska tych nowych apostołskich dążeń uznał za całkiem bezwartościową, nieużyteczną, a nawet szkodliwą. Jakże się ludzi! Czyż owe moralne i religijne doktryny jasno-polańskiego apostoła, owe jego muzyckie rubaszki, praktyki z pługiem i dratwą szewcką miałyby jakiegokolwiek znaczenie, gdyby nie poprzedzające je arcydzieła poetyckie? Czyżby ktokolwiek zadawał sobie trud czytania paradoksów, sofizmatów, niekiedy — powiedzmy szczerze — bredni zdziwaczałego starca, gdyby one nie wyszły z pod pióra autora „Wojny i pokoju“ i „Anny Kareninej.“

Tołstoj może sobie lekceważyć swoją twórczość literacką, my wiemy, że jej tylko zawdzięczają słuchaczów i czytelników jego obecne doktryny, z niej czerpią swe siły żywotne i zna-

czenie — w niej wreszcie mają swe źródła istotne, bo w gruncie rzeczy nie czem innym są one, jeno również literaturą, tylko że nieświadomą, mimowolną.

Jak poprzednio, tworząc wspaniałe obrazy epickie, poeta bezwiednie wyrażał w nich swe dążenia do prawdy, tak następnie występując, jako apostoł i praktyczny działacz tych dążeń, bezwiednie z siebie samego tworzy ich uosobienie, upostaciowanie życiowe. Zawsze jednak sobą pozostaje, zawsze wierny jest swemu posłannictwu głosiciela w słowie twórczem prawdy życia, takiej prawdy, jaką pojmuje, jaką, zgodnie ze swą naturą indywidualną, pojąć jedynie jest zdolny. Poprzednio uprzytomniała się ona naszej wyobraźni w epickim obrazowaniu poety, teraz zostaje nam unacznioną w faktach jego życia, w jego postaci realnej, w jego naukach i czynach. Ale pamiętajmy: w tej ostatniej formie, podobnie jak w poprzedniej, mamy tylko wyrażenie prawdy, czy też jej przedstawienie, nie zaś istotną jej realizację.

Tam w dworze jasnopolańskim, czy też w moskiewskim domu poety, odbywa się nieustanna przed obliczem całego cywilizowanego świata reprezentacja owej prawdy tołstojowskiej — istne Beureuth rosyjskie, mniej tylko dostępne od świątyni wagnerowskiej sztuki, dostępne jedynie wybranym przedstawicielom inteligencji wszechświatowej, przybywającym, aby podziwiać wielkiego pisarza rosyjskiego, który w swej chłopskiej odzieży zjawia im się, jako wielki ziemi rosyjskiej i całego świata współczesnego prostak-asceta.

„Welch ein Schauspiel! Aber ach! ein Schauspiel nur“ — można zawołać z Faustem Goethego.

W tem właśnie tragiczność widowiska, że jest ono tylko widowiskiem, przez to staje się ono skrytą, bezwiedną tragedią wewnętrznego konfliktu w duszy, w sumieniu poety-bohatera. Toż on w osobie swej chce nie tylko uwidocznić swoją prawdę życia, lecz faktycznie ją pełnić, realizować, chce być istotnym jej apostołem, działaczem, chce ją stwierdzić czynami, życiem, choćby śmiercią własną. I ta chęć nie jest tylko jakimś błahem zachęceniem, czy kaprysem, lecz dążnością, wynikającą z najgłębszych pokładów jego duszy, z owej rodzinnej, samorodnej pierwotności, którą powyżej nieraz mieliśmy sposobność stwierdzić w charakterze, usposobieniu, w rodzaju uzdolnień twórczych, nawet w twarzy i postaci poety. Wobec tego, czyż może być mowa o jakimś z jego strony udaniu czy komedyanctwie?

Nie można wątpić, że podając się za bojownika idei, w której widzi najwyższą prawdę życia, pragnie szczerze za nią wal-

czyć, wszystko dla niej poświęcić. A jednak faktycznie nic dla niej nie poświęca, prócz rzeczy pozbawionych dlań wszelkiej wartości, lub oddawna mu ciężących, jeśli zaś walczy za nią, to tym tylko orężem, dzięki któremu zdobył sobie w literaturze generalnie szlify. Teraz wyrzeka się tych szlif, przed całą Europą staje, jako prosty szeregowiec życia, który nie wyższą sztuką artystyczną, lecz realną, codzienną praktyką czynów usiłuje zdobywać serca ludzkie dla swej uniłowanej idei. Skoro jednak naprawia dach na chacie biednej wdowy, lub ścina sosnę w lesie dla proszącego o nią chłopca — czyż naprawdę sądzić może, iż te i tym podobne czyny siłą przykładu pociągną ludzi do ręcznych prac i trudów dla dobra bliźnich, że będą czemś więcej po nad ciekawe i osobliwe widowisko?

W tem pytaniu zawiera się cała tragedia tołstojowska. Jeśli poeta wierzy w pociągającą moc swych postępów i działań, to fakty realne, okazujące zupełną ich bezpłodność, muszą wciąż tę wiarę podrywać i niweczyć. A jeśli nie wierzy w skuteczność całej swej propagandy słowem i czynem, czyż ta niewiara nie odbija się iście tragicznym echem w jego duszy, w jego sumieniu? Czyż sumienie nie mówi mu, że możnaby jednak coś więcej uczynić dla uniłowanej sprawy po nad ogłaszanie paradoksalnych odezów i broszur i dawanie z siebie widowiska, podziwianego przez świat cały?

Ale właśnie w tem rzecz, że to coś więcej, ten przypuszczalny czyn apostołski nie wchodzi wcale w zakres nie tylko woli i chcenia, lecz także wrodzonej natury, istotnego powołania Lwa Tołstoja — natury poety-artysty, powołania natchnionego w słowie twórczem, rzecznika prawdy życia.

Odwieczna tragiczność wzajemnego stosunku życia i sztuki! Czemże jest sztuka, jeśli nie jednym z objawów życia, jeśli nie wyrazem, odtworzeniem istotnej jego prawdy? Niemniej ma ona własną swą dziedzinę: swe środki techniczne, swe zadania artystyczne. Te i tamte tak pochłaniają niejednego z jej adeptów, iż życie staje się im obojętne, lub zajmuje ich tylko, jako główny dostawca surowego materiału dla sztuki. Takie stanowisko nowszymi czasy było nawet uzasadniane teoretycznie np. przez Oskara Wilde'a. Zupełnie odmienne jest stanowisko Tołstoja. Aby je sobie uprzytomnić z całą dobitnością, weźmy oto takie naiwne wyznanie poety:

„Człowiek siada czasem przy stoliku i zaczyna nowy rozdział powieści: Wstawszy rano Iwan Iwanowicz kazał zawołać syna i rzekł mu..... Nagle uderzam się w czoło: Czegoż łżesz

stary! wiesz przecie, że niema wcale na świecie żadnego Iwana Iwanowicza, ani jego syna. Czemuż oszukujesz ludzi swemi łągastwami?“

Jasną jest rzeczą, że artysta, dochodzący do takich powątpiewań o samoistnych prawach sztuki, o uprawnieniu własnej jej dziedziny twórczej, musiał w końcu wyjść zupełnie po za jej obręb i w innej sferze szukać drogi i celu swych dążeń. Ale, niestety, nie mógł wyjść po za obręb swej wrodzonej natury psychicznej: z artystycznego rzecznika prawdy życiowej nie mógł się przedzierzgnąć w religijno-etycznego jej apostoła-działacza. Przybierając charakter tego ostatniego, nie realizował w nim prawdy, lecz ją uosabiał w swej własnej indywidualności, podobnie jak przedtem uosabiał ją w postaciach różnych nieistniejących Iwanów Iwanowiczów, tylko że tamci przedstawiali się w stosunku do niej tem, czem istotnie byli: nie realizacją jej życiową, lecz artystycznymi jej znakami, symbolami; on sam zaś, poeta, jako realny działacz najwyższej prawdy życia, okazuje się nie tem, czem jest w istocie rzeczy: nie jako własną swą w tym zakresie kreacją, lecz tem, czem nie był i nie mógł być: powołanym przez wyższe wyroki, rzeczywistym ich wykonawcą w życiu.

Rolę tę nieraz sam sobie przyznaje: gdy np. objaśniając w duchu swego racjonalizmu religijnego odpowiednio przez siebie przyrządzoną Ewangelię, dodaje naiwnie: dziwna rzecz, że przez dwa tysiące lat ludzie nie pojęli tego, co jest jednak tak oczywiste. Oczywiście dlań były w chrześcijaństwie pewne idee, które sam w nie włożył drogą własnej swej bezwiednej twórczości.

Bezwiedna twórczość artystyczna—oto tajemnica tych wszystkich osobliwych odkryć, jakie Tołstoj czyni w religii i w etyce chrześcijańskiej, oto źródło całej jego propagandy głosiciela dobrej nowiny chrześcijańskiej w nowej postaci. Jest to ostateczny wynik znamionującej go zawsze dążności do odtwarzania jaknajwierniejszej, jaknajrealniejszej prawdy życia w sztuce. Doprowadziła ta dążność w końcu do zupełnego pomieszania, utożsamienia sztuki z życiem. Nie dziw, że poeta w swej doktrynie estetycznej zaprzecza sztuce wszelkiego niemal prawa bytu. Jakże ma ona istnieć oddzielnie, skoro utonęła w życiu, a właściwie skoro pochłonęła życie, kształtując je w duchu ideałów artysty. Podobne dążenia nieraz występowały w dziejach sztuki. Wspomnijmy mickiewiczowski towianizm, będący nie czem innem, tylko dążnością do realizacyi ideałów całej poezyi naszego wieszcza, albo wagnerowską teorię odrodzenia człowieczeństwa przez sztukę przyszłości, jako jego religię.

Ogół ludzki na wszelkie tego rodzaju porywy duchów twórczych patrzy bądź sceptycznie, jako na nieziszczalne marzenia, bądź ciekawie, jako na osobliwe zjawiska, które go bawią, zajmują, zadziwiają, ale którym nie przyznaje poważniejszego znaczenia, jak zresztą w zwykłych warunkach, a szczególnie w warunkach bytu współczesnego, nie przyznaje go niczemu, co go nie karmi, nie odziewa, nie nasycza.

Wiemy, jak niepoważnie, jak lekko i powierzchownie bierze ogół współczesnych ludzi dążenia poety rosyjskiego w jego charakterze apostoła nowych ideałów życia. Co prawda, trudno żądać, aby brał te ideały z całą powagą i z całą ścisłością. Musiałby chyba sam na sobie popełnić samobójstwo. Najwyższa prawda życia, którą apostołuje mędrzec jasnopolański, nie jest syntezą niskich, drobnych prawd, któremi żyją ludzie dzisiejsi, nie jest nawet krytycznem ich oczyszczeniem, lecz jest pro prostu bezwzględną ich negacją.

Jeśli już w pierwszym, czysto artystycznym okresie swej twórczości poeta coraz dobitniej przeciwstawiał rozwijającą i oczyszczającą się stopniowo prawdę swej duszy znieprawionym licznymi fałszami prawdom życia otaczającego — to następnie, w dobie swego apostołstwa religijno-moralnego, wszystkie owe poprzednio tolerowane poniekąd prawdy, półprawdy i ćwierćprawdy życiowe uznał wprost za jeden olbrzymi stek kłamstwa, występku, bezceństwa i na przeciwnym im stanowisku postawił coś, co sięgało daleko po za najdalsze krańce chrześcijańskiego ascetyzmu i zbliżało się bardzo do buddyjskiej nirwany, niektórzy nawet twierdzą, że całkowicie się z nią utożsamiało.

XII.

Idee swoje głosi teraz przeważnie w pismach teoretycznych, gardząc fikcją obrazowania poetyckiego. Jednak całkowicie obejść się bez niej nie mógł. Píše tedy podawnemu powieści, pomimo wyraźnej swej tendencyjności i często arcyparadoksalnego punktu widzenia, nieustępujące wcale poprzednim pod względem artystycznej wartości. Tem się tylko od tamtych różnią, że nie zawierają wcale pierwiastków podmiotowych, które teraz znalazły swój wyraz w nauce i w praktyce nowego życia poety. Owe obrazy powieściowe, to uzupełnienia tej i tamtej, uplastycznienia artysty-

czne różnych stron doktryny, zawierającej wyznawaną przezeń obecnie najwyższą prawdę bytu ludzkiego.

Okropnie smutna prawda w swej bezwzględnej nihilistycznej negacyi — smutne, mroczne, posępne, unaoczniające nam ją obrazy życia realnego. Turgeniew, wielki zkądinąd wielbiciel twórcy „Wojny i pokoju,“ zarzucał mu jednak brak swobody duchowej. Zarzut ten szczególnie daje się zastosować do ostatnich utworów poety. Duszno w nich, ciasno myśli i sercu. Czytamy je z najwyższym zajęciem, nie możemy się od nich oderwać dla ich artyzmu, dla ich mocy i głębi, ale odechu nam w nich brakuje, ołowiane niebo ciąży nad nami, beznadziejna jakaś mroczność nas ogarnia. Tam, w oddali, widnieje niby jakieś wątle światółko. Poeta każe wierzyć, że to przeblýsk jakiegoś oceanu wiekuistej światłości. Ale ten ocean jakże pusty, martwo cichy, jednostajnie bezbarwny, jak owo ogromne, białe, bezmiernie wysokie niebo nad pobojowiskiem austerlickiem pociągające wzrok rannego księcia Andrzeja. Jasność jego daleka od nas, niepochwytna — może zgoła ułudna, a otaczająca nas ciemność życiowa tak bliska, realna, nieomal dotykalna. Ludzie miotają się w niej pomaćku, sami niewiedząc, dokąd iść, jakimi drogami kroczyć, tylko zdala miga im niepewne światółko, niewiedzieć dobrze, nadziei czy ułudy.

Taka jest widownia, takie oświecenie ostatnich obrazów powieściowych Lwa Tołstoja.

Oto przerażająca iscie w swej powszedniej banalności, w swej zwięzłej, realistycznej prostocie „Śmierć Iwana Ilicza,“ obraz zwykłego szarego żywota filistersko-mieszczkańskiego, zasuwającego się stopniowo w mrok niebytu. Gaśnie życie ludzkie, co się paliło bładym, martwym płomykiem w szarzyźnie codziennego bytu, gaśnie, zamiera, tonie w jakiejś okropnej, czarnej dziurze i dopiero w ostatniej chwili na jedno mgnienie oka rozjaśnione zostaje jakimś niepochwytym zaświatowym przeblýskiem. Czy może on starczyć dla oświecenia mroków, zalegających obrazy życiowe?

A czy widzicie migające zwoźniczo wśród owych mroków błędne ogniki ludzkich namiętności? Wabiań one na moczary, na trzęsawiska, na których tysiące giną i nowe tysiące, miliony wciąż napływają. Ponury ich obraz kreśli poeta w swej słynnej, drażniącej, przynębiającej straszliwie „Sonacie krajcerowskiej.“ Zdradzony mąż zabija niewierną żonę. Szczegóły dramatu małżeńskiego, nielitościwie realistyczne, nieomal nieprawdopodobne, a jednak prawdziwe w swej grubej, szorstkiej trywialności. A zawarta w nim idea, przedmiot tyłu rozpraw i sporów?...

Zabójca żony, Pozdnyuszew, tak mówi o swem z nią pożyciu w małżeństwie, zawartem ze skłonności wzajemnej, w zupełnie normalnych warunkach życiowych: Wstyd, ohyda, nuda, niemożliwa nuda... rzekoma rozkosz wynikająca z haniebnego, przeciwne- go naturze nałogu obcowania płciowego. — Ale potomstwo, mno- żenie się rodzaju ludzkiego? — A cóż to złego koniec rodzaju ludzkiego, spowodowany przez to, że ludzie przestaną być świnia- mi — odpowiada na to Pozdnyuszew.

Dziko dosadna odpowiedź. Niemniej dziko paradoksalny wysnuty z niej ostateczny wniosek: Człowieczeństwo żyje, rozwi- ja się dla pewnego celu. Celem tym harmonia absolutnej ciszy, doskonałego spokoju. Może ona być osiągnięta li tylko przez stłu- mienie wszystkich namiętności, a przedewszystkiem najniespokoj- niejszej, najburzliwszej namiętności płciowej. Gdy ta się uciszy, cel życia będzie osiągnięty, stanie się ono niepotrzebne; ludzkość może zamierać, ginąć.

Ostateczne uspokojenie, uciszenie — oto temat budyjskiej nir- wany odzywający się różnymi tonami w symfonii poetyckiej Tołstoja — akordem dziko-jaskrawego paradoksu brzmiący tu w jej finale.

Ale nie umilkły w niej jeszcze wszystkie odgłosy życia. Raz jeszcze, po raz ostatni, pono słyszymy je rozbrzmiewające różno- rodnymi harmoniami i rozdźwiękami w powieści „Zmartwychwsta- nie.“ — Zmartwychwstanie, czyje? Czy uwiedzionej dziewczyny Kasi, spadłej na samo dno hańby niewieściej i podnoszącej się z upadku dzięki pełnym poświęcenia staraniom kającego się uwod- ziciela — czy samego tego uwodziciela, Niechludowa, oczyszczono- nego przez swój czyn ofiarny z nałogów egoizmu, z przywar roz- pusty? — To pewne, że ani w niej, ani w nim nie ma radości zmar- twychwstania, choć ją sobie niekiedy wmawiają. Kasia ze smutkiem głębokim opuszcza kochanego zawsze jeszcze człowie- ka, aby mu życia nie psuć, aby go wyzwolić z obowiązku, jaki sam sobie względem niej nałożył...

„Ścisnęła mu rękę, szybko się odwróciła i wyszła... Niechlu- dow siadł na drewnianej kanapce stojącej przy ścianie i nagle poczuł straszne zmęczenie. Zmęczony był nie nocą bezsenną, nie podróżą, nie przebytymi wzruszeniami, zmęczony był straszliwie życiem całym. Oparł się o poręcz kanapki, na której siedział, zamknął oczy i wnet zasnął ciężkim, martwym snem.“

Czy możemy wierzyć ogólnikowemu zapewnieniu poety, ja- ko wraz po tym „ciężkim, martwym śnie“ i po nocy spędzonej na czytaniu Ewangelii, Niechludow do nowego zbudził się ży-

cia? — „Czem skończy się ten nowy okres jego życia, przyszłość pokaże“ — dodaje autor w ostatnim wierszu swej powieści. Mimowoli powątpiewamy o tej przyszłości, powątpiewamy o polocie w nią na ciężkich skrzydłach niechludowskiego zmartwychwstania.

Czy wogóle można tu mówić o skrzydłach? Jeśli gdzie, to w tym ostatnim utworze Tołstoja brak swobody ducha dotkliwie daje się odczuć. Ołowianem brzemieniem życie zdaje się tu ciężać ludziom. Wszystko, co czyni odradzający się Niechludow, prawe jest, zacne, szlachetne, godne uwielbienia, ale jak nieswobodne, jak niewolniczo podległe jakiejś wyższej, władającej nim, możnaby powiedzieć, nieomal gnębiącej go, potędze moralnej. Rozpoznajemy tu owo znane nam już z poprzednich utworów poety (szczególnie z „Wojny i pokoju“) zachłanne, boskie *Ono*, czy też owego narodowego Boga rosyjskiego, co nie uznaje swobodnej ludzkiej indywidualności, zna tylko jednostki niewolnicze, które tem lepiej spełniają swe zadanie, im mniej mają własnej woli, im bardziej upodobniają się do okrągłej karatajewskiej molekuly, tonącej bezwiednie w otchłannych głębiach wszystkości kosmicznej.

Jeśli nie widzimy prawdziwej swobody ducha w głównym bohaterze powieści, tem mniej możemy jej dopatrzeć się w całym roztoczonym tu obrazie ludzkiego bytu — w mnóstwie tych ludzi różnych sfer i różnych stanów, jacy się tu przesuwają przed naszymi oczyma. Tylko że ci czują się niewolniczo podległymi nie tyle najwyższej, wszechbytowej Potędze, ile niższemu, często najniższemu siłom bytu, poruszającego nimi, niby manekinami konwensansu, interesu, żądz, namiętności, instyktów.

W odtworzeniu całej tej odwiecznej szopki życia sędziwy poeta okazał nie mniej mistrzostwa, jak ongi w pełnym rozkwicie swych sił męskich. Zawsze ta sama pewność dotknięcia, ta sama siła charakterystyki, wyrazistość rysunku i ta sama niezłomna wierność prawdzie realnej. A w tej prawdzie wprost wyrwanej z rzeczywistości rosyjskiego, petersburskiego i moskiewskiego życia, jaka pełnia ogólnoludzkiej treści. Jak tu co krok napotykamy naszych dobrych znajomych w rysach zasadniczych, w rędzie jednakich, pod jednakimi wpływami naszej materialistycznej, jednostajnie bezbarwnej i bezdusznej kultury współczesnej.

Ze Tołstoj ze swym niezrównanym artyzmem uwydatnił przeważnie, nieomal wyłącznie, ujemne strony tych wpływów, wynika to z samej natury znanej nam dobrze antykulturalnej jego dążności, z jego pierwotności duchowej, z uwarunkowanego przez nią

powołania do powiedzenia światu współczesnemu słowa wiekuistej pozakulturalnej prawdy życia.

A że prawda ta brzmi tak nielitościwie surowo, tak budyjsko zaprzecznie, że nawet w najwyższych swych dążnościach nie nam ostatecznie nie przynosi prócz realnego niechludowskiego zaśnięcia i bardzo problematycznego niechludowskiego polotu w przyszłość nowego życia—czyż temu winien barbarzyński nihilizm poety rosyjskiego, niszczycielski jego zapęd przeciw obcym mu w gruncie rzeczy skarbowi kultury?

Czy te skarby rzeczywiście tak wielką, niepożytą mają wartość? — czy zaprzeczne o nich słowo tołstojowskie nie mówi nam czasem istotnej, a znanej nam i skądinąd, prawdy o ich fatalnem niszczeniu wewnętrznem, o pożerającym je ukrytym molu wewnętrznego rozkładu, zwyrodnienia?

Wiemy, że Tołstoj z natury nie jest usposobiony negacyjnie względem wszelkich objawów bytu; wiemy, że niemożna mu nawet przypisywać charakteru satyryka, urodzonego wroga przedmiotowej ich prawdy. Raczej, jako naiwny epik, jest on urodzonym tej prawdy miłośnikiem i odtwórcą w całej pełni jej szczegółów, w całym bogactwie jej kształtów i postaci. Właśnie owa wrodzona mu epicka zdolność widzenia i przenikania życia realnego aż do najpierwotniejszych elementów pozwoliła mu dostrzedz wyraźnie pod zewnętrznymi warstwami kultury rojące się w głębinach życiowych bakterye rozkładu. Działanie ich odczuwamy; domyślamy się nieraz ich istnienia; badamy je nieraz za pomocą odczynników myśli, mikroskopów umiejętnej obserwacji. Ale tu mamy przed sobą jakiegoś pierwotnego ostrowidza, który swem nieskończeniem bystrem okiem artystycznym widzi wprost, bezpośrednio, te groźne czynniki zniszczenia, widzi i ukazuje nam ich ruch i działanie w otaczających nas zjawiskach życiowych, w całej rzeczywistości współczesnego bytu kulturalnego. Nie dziw, że wysnute z tych wizyj obrazy poetyckie tak są ciemne, posępne, beznadziejne.

Niekiedy, rzadko bardzo, ten wizjoner bytu realnego na chwilę odrywa odeń oczy i zwraca je ku strefom, w których rzeczywistość zlewa się z ideałem. Wtedy pisze swoje nieliczne precudne baśnie ludowe, w których z niewiarogodną prawie u tego ciężkiego Cyklopa literatury lekkością i wdziękiem kreśli jasne, pogodne obrazy doskonałej harmonii życia, skupiającej w sobie całą pozytywną treść szczeroludzkich uczuć i dążeń.

W najpiękniejszym i najgłębszym z tych utworów p. t. „Czem ludzie żyją?“ (nader szczęśliwie spolszczonym przez Witkiewicza

w gwarze podhalskiej) w realistycznym obrazie, prześwietlonym blaskami idealizującej fantazyi, wykazuje poeta, iż ludzie żyją miłością i pomocą, niesioną sobie nawzajem przez miłość. Ale działami tego żywotwórczego czynnika i łącznika bytu ludzkiego widzi i uznaje jedynie wśród najprostszych jego stosunków, po za obrębem, czy też poniżej wszelkiej kultury. Tam, gdzie kultura rozciąga swe wpływy, ludzie żyją li tylko używaniem egoistycznym, rozdzieleni tysiącznemi przegrodami, jakie interes, konwensans, przesady i namiętności wytworzyły pomiędzy nimi.

Ta myśl przenika wszystkie utwory poetyckie, pisma teoretyczne i całą moralno-religijną propagandę Tołstoja. Jednostronność jej zbyt widoczna, aby ją tu potrzeba wykazywać. Ale czy nie jest też widoczna głęboka jednostronna jej prawda w zastosowaniu do współczesnych stosunków kulturalnych?

Odpowiedź na to zawiera się w samych dziełach poety, odzwierciedlających z taką wiernością rzeczywistość życia współczesnego, oświetloną przeważnie ze strony jej zbroczeń i zwyrodnień kulturalnych, ale jak charakterystycznie prawdziwą w tem oświetleniu. A pisma apostołującego moralisty i reformatora religijnego?

Wśród mnóstwa paradoksów, sofizmatów, czasem wprost bredni, zawierają one niejedną prawdę, nad którą warto się zastanowić Europie współczesnej.

Weźmy np. słynny swymi paradoksami traktat p. t. „Co to jest sztuka,“ gdzie cała literatura europejska od Danta aż do samego Tołstoja włącznie z wyjątkiem kilkunastu (literalnie kilkunastu) najnniej znaczących jej płodów, uznana została za pozbawioną wszelkiej wartości, gdzie symfonia Beethovena postawiona jest niżej od pieśni bab wiejskich, a obraz Rafaela mniej jest ceniony od jarmarczego bohomazu. Istny stek najdzikszych paradoksów. Ale wczytajcie się uważnie w te dziwactwa czy brednie estetyczne. Czy nie są one przeniknięte nawskroś głęboko prawdziwą myślą o zwyrodnieniu materialistycznym współczesnych artystycznych upodobań, które w arcydziele Dantego, w symfonii Beethovena, w obrazie Rafaela, widzą li tylko przedmioty używania zmysłowego, jak w smacznym objędnie, w pełnym komforcie mieszkaniu?

Nie wierzycie w słuszność tej myśli? -- Przypatrzcie się jak wykonana doskonale, dajmy na to w Berlinie, IX-a symfonia Beethovena, to najcudniejsze objawienie się w sztuce idei wszechludzkiego braterstwa, zachwyca publiczność złożoną w znacznej, jeśli nie w przeważnej części, z istnych kanibalów hakatystycz-

nych, gotowych gnębić, niszczyć, tępić wszystkich ludzi, wydających im się niebezpiecznymi, jako współjadacze, *die Mitesser*, publicznej pieczeni. Albo posłuchajcie wierzącego jedynie w brzuch swój filistra-ateusza, jak się unosi nad „Boską komedją“ lub „Dziadami!“ Toć wielcy twórcy tych dzieł, do ludzi, jako ludzie, przemawiali. — Czyż nie znaczy to bezcześcić ich sztukę, zapoznać w niej to, co w niej najbardziej ludzkiego: czucie, ideę, wiarę artysty, brać ją tylko jako przedmiot nasycenia spragnionego nowych wrażeń użytkownika? Gdzie jest więcej prawdziwie ludzkiego odczucia sztuki: czy w uniesieniu religijnem naszego chłopka, padającego na kolana przed obrazem Częstochowskiej, czy w rozkoszach estetycznych smakosza-znawcy, wpatrującego się w Madonnę Rafaela?

Myśl, mogącą służyć za odpowiedź na te pytania w szalonym roznachu swych paradoksów, rzuca Tołstoj prosto w twarz współczesnej kulturalnej Europie, a raczej tej garstce pasorzytów-snobów, samolubnych pożeraczy kultury, którzy sami się poczytują i są poczytywani ogólnie za głównych jej przedstawicieli, a tymczasem w swym wyuzdanym materializmie nie czem innym są, tylko istnymi jej hańbicami, hańbicami jej sztuki i życia, jej wzlotów twórczych i dążeń humanitarnych. Tę prawdę nie sam tylko Tołstoj im powiedział: znaleźć ją też można w Rusknie i w Ryszardzie Wagnerze, a dawniej jeszcze w paryskich prelekcjach Mickiewicza, poniekąd i w towianizmie.

Takich prawd mnóstwo odnaleźć można w gęstwinie tołstojowskich paradoksów. Niepodobna ich tu poszczególnie śledzić i wydobywać. Zaznaczę tylko dwie zasadnicze, najogólniejsze idee poety, streszczające w sobie przewodnią dążność całej jego twórczości artystycznej, oraz jego propagandy apostołskiej w słowie i w czynie. Są to idee: religijna i społeczna.

XIII.

Nie można wątpić, że religia od najwcześniejszego dzieciństwa aż do obecnych lat sędziwych wszechwładnie panuje nad działalnością i życiem Lwa Tołstoja. Ma on ją wciąż na ustach i niewątpliwie ma ją też wciąż w sercu. Dowodem nie same słowa, nawet nie same tylko czyny, lecz coś głębszego, pewniejszego od słów i czynów: zasadniczy ton duszy, dźwięczący religijnie we wszelkich jej objawach, przenikający ją nawszkroś, do

najgłębszych pokładów szczerym, chrześcijańskim nastrojem. Ale dziwnie głuchy ów ton, dziwnie posępny ów nastrój, dziwne to chrześcijaństwo bez Chrystusa, dziwna ta religia nieomal—bez Boga.

Weźmy ogłoszony przez Tołstoja przekład czterech Ewangelij z komentarzami oraz jego „Naukę chrześcijańską,“ czyli rodzaj katechizmu, zawierającego treściwy wykład głównych zasad religii chrześcijańskiej, jak on ją pojmował. W pierwszym z tych pism Ewangelie tak zostały przyrządzone przez tłumacza i komentatora, że znika z nich zupełnie Chrystus, Syn Boży, Słowo Wcielone, pozostaje tylko jakiś szlachetny moralista o bardzo nieokreślonej fizyonomii duchowej—w drugim mowa jest o życiu prawdziwym, o celach i zadaniach duszy ludzkiej, o cnotach, występkach, grzechach i pokusach, ale o Bogu, o stosunku doń człowieka ani słowa. Tołstoj stanowczo nie wierzy w Boga osobistego, nie wierzy w trójjedną Istność Bożą. Przedmiot jego wiary — prawdziwej, szczerzej, głębokiej wiary — to owo „bezmierne wysokie niebo,“ rozciągające się ponad najwspanialszym jego obrazem epickim „Wojny i pokoju,“ owa bezosobista wszechzachłanna potęga, w której mocy czują się wszyscy, będący w prawdzie, jego bohaterowie. W mocy tej czuje się sam poeta, jako wierzący głęboko jej wyznawca.

Aby wyrozumieć należycie to jego stanowisko religijne i wynikający zeń stosunek jego do pozytywnej religii chrześcijańskiej, uprzytomnijmy sobie stosunek do niej szerokiego ogółu współczesnego.

Oto z jednej strony niemieccy uczniowie, „prawdziwie rosyjscy“ naśladowcy człowieka krwi i żelaza, człowieka siły przed prawem, głoszący się szczerymi chrześcijanami, pełnymi bojaźni bożej, stwierdzającymi ją gorliwą praktyką kultu — oto z drugiej strony radykalni czy socjalistyczni wyznawcy solidarności wszechludzkiej, braterstwa wszechludzkiego, wyrzekający się ostentacyjnie Chrystusa i chrześcijaństwa, Boga i religii. A między tymi krańcami szary, letni tłum filistrów kulturalnych, półwierzących, ćwierćwierzących, wcale niewierzących, w gruncie rzeczy wierzących tylko w swój brzuch i w swą kieszeń, a udających wiare bądź w Chrystusa, bądź w Antychrysta.

Jakież stanowisko mógł zająć wśród tych bezwiernych, mało-wiernych, kłamnowiernych człowiek całą siłą swej pierwotnej, samorodnej, niejako przeddziejowej natury, zwracający się ku wierze i religii?

Tołstoj istotnie zdaje się być zupełnie obcy wszystkiemu co nam dała kultura, co nam przyniosły dzieje. Absolutny brak zmy-

słu historycznego nieraz był stwierdzony w jego dziełach. Żyje on tylko teraźniejszością, przeszłość dlań nie istnieje. Nie istnieje też dlań przeszłe, historyczne chrześcijaństwo z jego wiarą szczerą, z jego stopniowo rozkwitającą dogmatyką, z jego rozwijającą się wiekami organizacją kościelną. Zna on tylko realne, pozytywne chrześcijaństwo doby obecnej, a to, wiemy, jak dalece jest niechrześcijańskie, a nawet zgoła antychrześcijańskie! Czyż mógł znaleźć w niem ujście dla swoich tak szczerych, tak samorodnie żywiołowych dążeń i pragnień religijnych? Wolał raczej własną sobie stworzyć religię, zarówno daleką od urzędowej chrześcijańskiej ortodoksyi, jak od antychrześcijańskiego agnostycyzmu.

Takim sposobem ów umysł twórczy o tak bezprzykładnie za dni naszych pierwotnej naturze psychicznej, znalazł się istotnie w położeniu człowieka pierwotnego, który świeżą, dziewiczą wrażliwością odczuwa działanie sił przyrodzonych, a duszą, pełną czci i trwogi mistycznej, wyrывa się na spotkanie mocy tajemnych, idących doń z poza otaczającej go przyrody, z bezmiarów nadprzyrodzonej, nadświatowej wszystkości. Jest to stan duchowy, który Pismo Ś-te zowie bojaźnią bożą, początkiem mądrości. Nieśłusznie, jak miemiam, mówi Mereżkowskij o władającej przemożnie w duszy Tołstoja bojaźni śmierci. Jeśli to uczucie występowało w niej niekiedy ze szczególną siłą, to nigdy jako całość odrębna, lecz raczej jako część szerszej rozpościerającego się, wyżej w zaświaty sięgającego uczucia bojaźni bożej.

Ta niczem innym jest, jeno zasadniczym objawem instynktu religijnego, instynktywnej czci dla absolutnej potęgi Wszechbytu. W najwyższym swym rozwoju staje się ona głównym motywem wiary w słowo boże, objawione w natchnieniach bożych mężów, wcielone w postaci i w życiu Syna Bożego; w pierwotnym swym stanie, oddziaływając na ruchliwą i lotną wyobraźnię młodocianego ludu, wywołuje w niej ożywioną grę wrażeń i kształtów, z której stopniowo wyłania się cały świat bogów, półbogów i boskich herosów.

Epik rosyjski pozostał zarówno daleki od obu tych krańców życia religijnego. Słowo boże nie przemawiało doń z wyżyn prawowiernej nauki chrześcijańskiej, którą słyszał tylko w dzisiejszych jej rozdźwiękach, pozostając głuchym na wiekową jej harmonię, a czyż pobudzona religijnie jego wyobraźnia mogła zakwitnąć „kwiatami barwnych mytów“ w duchowej atmosferze bytu współczesnego?..

Życia fal wstecz nie cofnąć. Nawet takie pierwotne, cyklopowe kolosy, jak Tołstoj, nie mogą się oprzeć wszechpotężnemu

ich prądowi. Za czasów homerycznych ten Homer rosyjski możeby opiewał bogów zstępujących z niebios i biorących czynny udział w sprawach i walkach ziemskich; za czasów, co niebiosom piorun wydarły, mógł spoglądać tylko z ziemi na ich bezmiar nieskończony, na ich wszechogarniającą wszystkość i odczuwać, odgadywać w nich Potęgę najwyższą, wszechmocnie powodującą ziemskimi sprawami.

Światopogląd Tołstoja racjonalistyczny jest w gruncie rzeczy, zupełnie pod tym względem z duchem czasu zgodny, tem się jednak wyróżnia, iż jest ożywiony potężnym, żywiołowym instynktem religijnym.

Zanik instynktów, tych bezwiednych sił życiowych, warunkujących byt i rozwój jestestwa, to oznaka bliskiej jego śmierci, poprzedzonej zwyrodnieniem. Postępuje on wstecz od najwyższych, najbardziej złożonych instynktów aż do najprostszych, elementarnych. Instynkt religijny, jeden z najpierwszych, zanika w zwyrodniającem się, zamierającem wewnątrz społeczeństwie. Trwa jeszcze świadomość religijna, trwają różne rudymenty religijnych wierzeń, wyobrażeń, przyzwyczajzeń i praktyk, w jednostkach życie religijne w całej pełni objawić się może—a wpośród ogółu społecznego ustaje, ginie stopniowo samorzutny, żywiołowy ruch dusz ku Bogu i rzeczom bożym.

Czyż ten zanik nie daje się zauważyć oddawna w kulturalnem społeczeństwie Europy nowożytnej? Można stąd wnosić o postępującem jego zwyrodnieniu i idącym wślad za tem zamieraniu, podobnie jak można było przewidywać zbliżającą się śmierć kulturalnych społeczeństw świata starożytnego, gdy na ulicach Aten sofiści jęli jawnie przedrwiwać bogów, gdy w Rzymie, jak mówi Cynceron, augur przy obrzędach ofiarnych uśmiechał się chytrze, patrząc na drugiego augura.

Skądże przyjść może odrodzenie dawnego czy początek nowego życia?

Wielu ludzi, głębiej myślących, oczekuje go dziś od niekulturalnych czy małokulturalnych społeczeństw i warstw społecznych, żyjących pełnią zdrowych niezwyrodniałych instynktów. Podobnie na schyłku upadającej Romy wielki jej obywatel i myśliciel Tacyt w barbarzyńskich Germanach przeczuwał przyszłych odrodzicieli czy następców ginącego świata. I Tołstoj szuka odrodzenia zwyrodniałej kulturalnie ludzkości współczesnej na jej nietkniętych przez kulturę nizinach społecznych; sam dobrowolnie na nie zstępuje i spokrewniony wewnątrz z nimi swą rodzimą pierwotnością duchową, swym samorodnym geniuszem twór-

czym, przynosi nam z nich jakoweś surowe, barbarzyńskie, lecz potężne moce i żywioły ducha, które odrodzić nas może nie zdołają, ale ciężkim taranem walą w martwość naszych dusz skamieniałych w kulturalnym materjalizmie i budzą w nich żywszą świadomość zwyrodnienia wewnętrznego.

Naczelne pomiędzy temi żywiołami miejsce zajmuje tołstojowska idea religijna, uświadomiony w niej religijny instynkt bojaźni bożej, początku mądrości. Atoli początek mądrości nie jest jeszcze samą mądrością, instynkt religijny nie jest jeszcze religią; jest tylko potencjalną, niewyzwoloną, czynną jej siłą. Brak mu swobodnego polotu, bądź samowolnej mytotwórczej wyobraźni, bądź myślą bożą natchnioną na spotkanie Słowa bożego podążającej wiary. Stąd w ukształtowanym pod przemożnym wpływem instynktu religijnego światopoglądzie Tołstoja ten brak wewnętrznej swobody ducha, stąd to ciężkie ołowiane niebo, które go przygniata, lub to wysokie, bezmierne, ale przeraźliwie puste niebo, ku któremu on się wznosi. W utworach Tołstoja odczuwamy niewolniczą zależność człowieka od Potęgi najwyższej, ale obcym nam pozostaje wyzwolony ku niej polot duszy ludzkiej.

W tem jednak przenikającym je na wskroś i tak żywo w nich wyrażonem odczuciu Mocy nadziemskiej, ogromne ich znaczenie dla współczesnej samowiedzy duchowej, wskutek zwyrodnienia instynktu religijnego niezdolnej wznieść się poza obręb sił ziemskich, w nich uznającej ostateczny kres swego rozwoju. Głosem wielkiej, z głębi duszy idącej poezji, wymową całego jestestwa i całego życia poety mówią one o bojaźni i czci bożej ludziom zdolnym odczuwać li tylko bojaźń i cześć policyi, jako jedyne, w który naprawdę wierzą, czynnika ładu i harmonii na świecie; tym, co przysięgają jedynie na widzialną przyrodę, mówią o tających się wszędzie w niej niewidzialnych, nadprzyrodzonych mocach; tym, co nic nie widzą, nic nie uznają poza materyą, zwiastują unicestwienie jej jako ostateczny cel i kres wszelkiego bytu.

Racyonalistyczną jest w swej istocie religijność Tołstoja. Jej bóstwo to bezosobisty, powszechny rozum świata, jakże jednak daleki od *être suprême* i *déesse raison* racyonalistów i rewolucjonistów francuskich, od obsolutu metafizyków niemieckich, od „niepoznawalnego“ pierwiastku monistów angielskich. Nie jest to wyciągnięta z głów ludzkich abstrakcyja, lecz odczuta w sercach ludzkich, w przyrodzie, we wszechświecie nadludzka realność, realność nieuchwytna, nieokreślona ani w pojęciu, ani w wyobraźni, ani w wierze, lecz przytomna istotnie w uczuciu, napęlniająca serce, duszę, całe jestestwo poety. W swej idei religijnej

nie daje on nam religii, nie daje prawdziwego chrześcijaństwa, ale staje przed nami jako człowiek instynktu religijnego, spragniony doskonałości chrześcijańskiej, ku niej zwracający wszystkie swe dążenia i aspiracje. Jednym słowem nie w treści wewnętrznej, nie w nauce o rzeczach bożych, ale w potężnej sile ich odczucia, instynktywnego ku nim zwrotu, tkwi całe znaczenie religijnej idei Tołstoja.

XIV.

Podobnie rozwijająca się na tle religijnem społeczna idea poety przemawia do nas niewyrozumowaną swą, treściwą, lecz tkwiącą w niej siłą instynktownych dążeń.

Wiemy jak dalece tołstojowskie chlōpomaiństwo wynikło z pewnych wrodzonych skłonności i usposobień, z oryginalnie pierwotnej natury psychicznej epika rosyjskiego, pociągającej go zawsze do najprostszych form życia ludowego. Widzieliśmy jak ta wrodzona, instynktowna jego skłonność znajdowała swe odbicie artystyczne w licznych, stworzonych przezeń postaciach i obrazach powieściowych, aż wreszcie wcieliła się w zewnętrzną postać samego poety — postać niezmiernie charakterystyczną, ale wbrew jego intencjom wcale nierealnie życiową, lecz symbolicznie poetycką.

W tem właśnie istota jego tragedji wewnętrznej. Chciał wyrzec się wszelkich fikcyj poetyckich, w jakich odtwarzał swą ideę i wcielić ją we własnej swej osobie, naprawdę, realnie żyć w prostocie, pracy i trudzie, ale wtedy właśnie stworzył największą fikcję poetycką w osobistym swym żywocie, który nie treścią istotną, lecz tylko formą zewnętrzną, uplastycznionym w niej wyrazem wewnętrznych pragnień, zbliża się do rzeczywistości życiowej prostego, pracującego ludu.

Jeśli to bezwiednie poetyckie, we własnej swej osobie odтворzenie idei społecznej w kolizji ze świadomym zamiarem jej pełnienia i apostołowania, stanowi tragedję życia poety—to jako ostateczny wyraz jego powołania twórczego, stanowi ono też tragedję współczesnej kulturalnej ludzkości europejskiej, tragedję społecznego jej sumienia.

Powiedzmy szczerze: Czy jakakolwiek z klas społecznych, korzystających z niezliczonych dobrodziejstw współczesnej kultury i cywilizacji, może dzisiaj z czystym sumieniem słuchać gło-

śnych skarg uświadomionego proletaryatu, lub cichego jęku ginących bezwiednie w niepomiarowym trudzie ofiar krwiożerczego wampira — kapitalizmu?

Był czas kiedy ci, co przy uczcie życia zasiadali, wierzyli naprawdę, że do miejsc swych niezaprzeczone mają prawo, nadane im wprost od Boga, lub przez władzę wyższą z woli bożej ustanowioną. Ale dzisiaj czas ten oddawna przeminął. Może tu i owdzie znajdzie się jeszcze jakiś Mamut starej szlacheckizny, wierzący szczerze w przywileje swego stanu. Ale przedpotopowe okazy nie mogą tu wchodzić w rachubę. Jako całość, jako jednolita warstwa społeczna, szlachta oddawna straciła tak silny niegdyś i zaufany w sobie instynkt swej uprzywilejowanej odrębności, a bez niego czyż może mieć wiarę w swe wyłączne do uczty życia prawa?

Tem mniej mieć ją może mieszczaństwo nowożytnie, stanowiące główny żywioł współczesnego życia kulturalnego i nadające mu ton zasadniczy. Nic ono przecież nie ma wspólnego ze średniowiecznym patrycyatem miejskim, opierającym uprzywilejowane swe stanowisko na tkwiącej w całym ówczesnym ustroju społecznym organizacyi stanowej. Toż wyszło ono właśnie z zaprzeczenia całej tej organizacyi i złączonych z nią przywilejów, stawiając na ich miejsce powszechny organizm społeczny i przysługujące każdej jego komórce ogólne prawa człowieka.

Społeczeństwo, oparte na zasadach równości, wolności, braterstwa—indywidualność ludzka, w pełni swego wszechstronnego rozwoju: oto naczelne bożyszczą nowożytnej porewolucyjnej Europy.

Kult ich znalazł ostateczny swój wyraz dawniej w praktykach głoszonej przez Comte'a pozytywistycznej religii ludzkości, nowszemi czasy w wizjach wróżebnych Nietzschego—Zaratustry, zwiastuna nadczołowieka. Atoli zrodzone nie z pełni szczeroludzkiego życia, lecz z jednostronnej, intelektualistycznej jego wybujałości, jakże mało żywotnymi okazały się niebawem te bożyszczą, jak łatwo uległy przewadze wrogiego im demona. Ten—jak go dosadnie nazwał Maksym Gorkij—żółty dyabeł, kapitał zjawił się wśród dymu kominów fabrycznych, wśród wrzawy szachrajstw giełdowych i urokiem dobrobytu materialnego, splendorem zbytku, czarem zmysłowego używania podbił serca ludzkie, zwyciężył wszelkie czczone w nich bogi i bożki humanitarne.

Pomimo wszakże kultu, jakim go otoczył, nie mógł świat współczesny zapomnieć, że to wcale nie bóstwo, ale pospolite, żółte dyablisko, najordynarniejszy z demonów odwiecznie bruźdzących w sereu ludzkości. Jakaż więc wartość i trwałość mógł

mieć na jego powadze oparty porządek rzeczy? — jakie zabezpieczenie pod takim patronatem odbywającej się uczy życia?

A nigdy pono, dopóki świat światem nie była ona obficie zastawiona, nie dostarczała swym uczestnikom więcej środków używania. Nigdy jednak nie czuli się oni mniej pewni na swych wygodnych stanowiskach, mniej zabezpieczeni przed napływem niepożądanych, a okropnie zgłodniałych współbiedniaków. Uczują sobie na wyżynach społecznych szczęśliwi wybrańcy losu, a z dołu, z nizin niedoli i łez, dochodzi ich coraz głośniejszy i coraz groźniejszy pomruk niezadowolenia milionowych rzesz, rosnących wciąż w liczbę, w siłę organizacyi, w świadomość swych cierpień niezasłużonych, swych praw nieziszczonych.

Cóż mogą przeciwstawić nasyceni sybaryci mieszczańscy, coraz potężniejszemu naporowi żądnych nasycenia głodomorów proletaryackich?

Chyba gruby fakt materialnego posiadania, poręczony przez potężny mechanizm nowożytnych państw policyjnych, sankcjonowany przez demoniczną wszechwładzę „żółtego dyabła.“

Są tacy, co tą rękojnią, tą sankcją umieją się zadowolić. Zawsze byli, są i będą ludzie, co nie potrzebują innych rękojni, innych sankcyj dla używania wszelakiego dobra w zupełnym spokoju sumienia. Ale po wszystkie czasy nie braknie i takich, którym one żadną miarą wystarczyć nie mogą. Ci to, wśród dzisiejszych mniej lub więcej szczęśliwych wybrańców losu, wzbudzają i szerzą wciąż niepokój sumienia, tak potężny i różnorodny znajdujący odgłos w literaturze współczesnej.

Nigdzie ten głos nie zabrzmiał silniej, wymowniej, bezpośrednio, jak w całej twórczości Lwa Tołstoja.

W jednym ze swych pism zwraca się on do wszystkich używaczy nieprzeliczonych darów naszej nowożytnej kultury.

Uzywacie sobie, mówi, wszelkiego dobra przy uciecie życia. A czy nie wiecie, że wszędzie dokoła was wyciągają do niej pożądliwe ręce milionowe tłumy, co takie samo, jak wy, do tego używania mają prawo? Nie widzicie ich, bo usłużna policja trzyma te zgłodniałe rzesze w należytej oddali. Ale czy przez to przestają one istnieć, czy tracą cokolwiek ze swych praw przyrodzonych, praw człowieka, które wy znacie i uznajecie, które sami uroczyście światu ogłosiliście, aby je całym waszym ustrojem społecznym gwałcić i zaprzeczać?

Podobnych zarzutów, wypowiedzianych wprost, lub uplastycznionych w wiernym i artystycznym obrazowaniu poetyckim, bez

liku rzucił w twarz naszej zwyrodniałej kulturze zuchwały jej wróg i oskarżyciel.

Barbarzyńca, oszalały paradoksyista! — wołają jego krytycy i przeciwnicy. A jednak słuchać go muszą. Chce czy niechce dzisiejsza, w całej swej hyperkulturze moralnie i duchowo zdziaczała Europa, słuchać musi dolatującego ją z najdalszych jej kresów, z azyatyckiego pogranicza głosu surowych wyrzutów i potępień, rzuconych z siłą przekonania i czarodziejstwem talentu w imię tych zasad chrześcijańskich, które zaprzeczane w czynach, nieuznawane często w słowach, zawsze jeszcze trwają w głębiach sumienia współczesnych ludów europejskich.

Ten, tak dziecięco niekiedy naiwny w swych antykulturalnych zapędach barbarzyńca wschodni, jest jak owo dziecię ze znanej bajki Andersona, co samo jedno spostrzegło nagiego króla, paradującego we wspaniałym orszaku, gdy on sam i wszyscy jego dworzanie podziwiali urojone stroje, w które go rzekomo przyodziali sprytni szarlatani, zapewniając, że tylko dla ludzi rozumnych są one widzialne.

Podobnie ów homeryczno-dziecięcy, tak wyjątkowy wśród naszej przeżytej, zgrzybiałej cywilizacyi talent epicki sam jeden pono z wielką wyrazistością artystyczną spostrzegł i uwydatnił wstrętą, straszną jej nagość pod urojonym przepychem królewskim naszego postępu materyalnego.

Zda wam się, woła, że w tryumfalnym waszym w przyszłość pochodzie widzicie królewski majestat człowieczeństwa, strojny wszelkimi wspaniałościami waszej przebogatej kultury. Przypatrzcie się dobrze jak ułudne te jej bogactwa—jak wniwecz się obracają pod promieniami prawdy moralnej i religijnej, skupionemi w ognisku idei chrześcijańskiej. Nawskroś je przenikają te cudowne promienie i ukazują nam poza urojonemi świetnościami kulturalnemi nagą naturę ludzką w całej ohydnej szpetocie jej materyalistycznego zwyrodnienia, zezwierzczenia.

Im pilniej badamy, im lepiej poznajemy ją w obecnym jej stanie, im bardziej wyzwalamy się z pod suggestyi różnych szarlatanów-dostawców jej strojów kulturalnych, tem głębiej przekonujemy się o smutnej prawdzie tak genialnie-naiwnych w swej dziecięcej prostocie spostrzeżeń rosyjskiego poety.

A nie poprzestał on na głoszeniu w słowie poetyckiem tej smutnej zaprzecznej prawdy życia. Zapraǵnął unaocznic ją nam swą postacią, swymi czynami i życiem swem całym — zapraǵnął ją zrealizować w apostołskiej swej działalności.

Wiemy, jak ułudną była ta ostatnia dążność poety, jak wielkie nieporozumienia kryły się w tamtej. Tołstoj-apostol nigdy donioślejszego wpływu nie używał. Tołstoj, prostak-asceta, jest raczej podziwianą osobliwością, aniżeli naśladowanym wzorem. Choć jednak Europa zrobiła sobie widowisko z bosego, odzianego w rubaszkę, muzyka-poety, nigdy nie był on pozującym przed nią komedyantem, nigdy ani na chwilę nie przestał być nieposzlakowanie szczerym we wszystkich swych słowach, postępkach i czynach. Mylił się tylko co do natury swego posłannictwa: czuł się powołanym do realizowania w życiu wyższej prawdy ducha, a był powołany do jaknajpełniejszego wyrażenia, ujawnienia jej w słowie, w obrazie poetyckim, nawet we własnej swej postaci. Był, jako wielki prorok Izajasz. co z rozkazaniami Pańskimi stanął przed ludem egipskim nagi i bosi wołając: „Tak zapędzi król Asyryjski pojmanie egipskie młodych i starych, nagie i bose na hańbę Egiptowi“ (Izaj. — 20, 4).

Podobnie ów nowoczesny prorok jasno-polański w swej prostaczkiej chłopskiej odzieży, opromieniony blaskiem sławy wszechświatowej, staje przed Europą i swą postacią zewnętrzną zwiastuje jej prawdę, którą oddawna głosił w twórczym swym słowie — gorzką, zaprzeczną prawdę zaguby i zagłady całej zwyrodniałej cywilizacji współczesnej. Ale sam on nie zdaje sobie sprawy z tkwiącej w tych wróżbach tragedii duchowej — tragedii jego własnego sumienia całej Europy nowożytnej. Syn narodu, któremu cywilizacja europejska nie matką była rodzoną, lecz obcą macochą, z lekkim sercem odtrąca, pewny, że to, co po jej unicestwieńniu ofiaruje człowieczeństwu — ideał ascetycznego czy prostaczego bytu w trudzie i ubóstwie — jest istotnym pozytywnym ideałem życia ludzkiego, ideałem wskazanym przez Ewangelię, mającym urzeczywistnić się na szczęście i zbawienie ludzkości.

Błąd oczywisty! Jest to najwidoczniej ideał czysto-negacyjny, nihilistyczny, którego ani sam jego głosiciel, ani nikt nigdy na świecie urzeczywistnić niezdolał — jest to li tylko wyraz zewnętrzny wrzającego we wnętrzu duszy poety i wielu dusz współczesnych tragicznego niepokoju sumienia, które, żadne prawdy, nie znajduje jej ani w sobie, ani dokoła siebie, szuka jej wszędzie a nigdzie nie dostrzega i jak umierający Pankracy Krasińskiego wątpi o terażniejszości i przyszłości, widzi w oddali wspartą na krzyżu zwycięską zawsze postać Chrystusa, lecz ani wznieść się do niej, ani sprowadzić jej do życia i serca swego nie zdoła.

Daremnie kusił się o to rosyjski zwiastun Ewangelii w nowej postaci. Nie chrystusowym, lecz buddyjskim duchem napenił swe idee religijne, etyczne i społeczne.

Przedziwnie zwiastował i ukazał, jak nie jest chrześcijańskim życie współczesne, ale nie oznajmił wcale, jak może i ma się stać chrześcijańskim przyszłe życie ludzkości, bo ten ideał życiowy, który jej wskazał, jest nie uchrześcijanieniem, lecz raczej absolutnem zaprzeczeniem jej bytu i rozwoju przyszłego.

Czy ów świetny rzecznik negatywnej prawdy życia w poezji jest jednym z tych, co powołani są torować drogi przyszłemu pozytywnemu jej geniuszowi, mającemu ją wcielić w rzeczywistości ludzkich czynów i dążeń?

Nikt chyba nie zdoła dziś odpowiedzieć na to pytanie, nikt nawet nie zdoła go sformułować należycie.

Pewnem jest, że ludzkość europejska zbliża się dziś do kulminacyjnego punktu swej tragedii życiowej—być może, że w bliższej lub dalszej przyszłości przeznaczono jej przeżyć nową heroiczną epopeę walk i dążeń wyższych.

Mickiewicz i Towiański przed pół wiekiem przeszło zwiastowali początek wyższy epoki chrześcijańskiej. Czy to zwiastowanie było z gruntu mylne, czy tylko przedwczesne?

Pytanie to kryje w sobie wszystkie zagadki przyszłości, wszystkie zwątpienia i nadzieje teraźniejszości.

WALERY GOSTOMSKI.

POLSKA SZTUKA STOSOWANA.

Nazwa nowa—rzecz stara, jak ludzkość, a przynajmniej niewiele młodsza od najpierwotniejszych objawów jej kultury. Sztuka stosowana, najogólniej biorąc, to zdobienie, upiększanie przedmiotów użytku, co, jako przyrodzona potrzeba estetyczna człowieka, znaczy się mniej lub bardziej znamiennymi śladami przez dzieje rozwojowego doskonalenia się jego ducha. Leży to w uczuciu estetycznem, które wywołuje pewne określone wysiłki w kierunku zaspokojenia tej potrzeby. Przyrodniccy dopatrują się nawet wśród wyższych zwierząt zupełnie wyraźnych znamion uczucia estetycznego, zasadnicze różnice rozpoczynają się jednak od chwili, kiedy występuje sprawa indywidualnych poczęć artystycznych. Oczywiście kokieteryjne przystrajanie się niektórych samców z ptasiego rodu w żywe barwy w czasie zabiegów miłosnych nie jest utworem ich wolnej woli osobniczej, jak, dajmy na to, w analogicznym wypadku, sztuka kosmetyczna ludów dzikich i nie dzikich.

Od tej chwili tedy, wszystko, co człowiek czyni w celu zadowolenia tego uczucia, jest sztuką. Pojęcie to następnie znaczone zostaje przez stosowanie sztuki do kultu. Najwspanialsze, najpotężniejsze manifestacye twórczości poświęcone są bóstwu—najdzielniejsze, najwybitniej uzdolnione w danym kierunku jednostki są *powołane* do przedstawienia jego wizerunku. Tak wyodrębnia się po trochu artysta zawodowy, który, dzięki swemu powołaniu, zajmuje względnie do rzemieślnika stanowisko uprzywilejowane. W Egipcie stanowisko to przechodzi w ręce zazdrosnej o wszelki przywilej kasty kapłańskiej i dla tego sztuka ta, po pewnym czasie, jak słusznie dowodzi Spencer, martwieje, rutynizując się w kanonach. W Grecyi, pozostawiona wolnemu współzawodnictwu, jest, że tak powiem, polem doskonalenia się przewspaniałej rasy wiel-

kich artystów drogą naturalnego doboru. Znaczenie, jakie zdobywa w społeczeństwie twórca posągów Pallas Ateny i Jowisza Olimpijskiego, przenosi się później na artystów innych, choćby ci rzeźbili wizerunki pogardzanych, barbarzyńskich Gallów, lub nie zgoda wspólnego z Olimpem nie mające zwierzęta, pod warunkiem wszakże, że doskonałością utworów swoich stanęli na wysokości zadania. Wtedy już nader jaskrawo zaznacza się przedział między artystą i rzemieślnikiem — między przedstawicielami wielkiej sztuki a małej, którą dziśby nazwano sztuką stosowaną.

Ale z czasem, ze zmianą pojęć religijnych, zmieniają się też wzajemne stosunki sztuki i rzemiosła. Wieki średnie, a zwłaszcza epoka po zwycięskiej walce ikonoklastów przedstawia niezmiernie ciekawy obraz, jak przemysły artystyczne, mała sztuka stosowana, idzie dumnie przed tem, co u Greków dało niepożytą sławę Fidyaszom, Praksitelesom, Mironom, Polikletom, Appellesom, Zeuksisom, Parasiosom i tylu innym wielkim rzeźbiarzom i malarzom. Rzeczywiście, bizantyzm, który drobne wyroby z kości słoniowej, emalie, mozaiki, hafty, tkaniny, doprowadził do nieznaney przedtem doskonałości technicznej i, przyznać trzeba, wysokiej wytworności artystycznej, właściwą rzeźbę i malarstwo stracił na samo dno ciemnej przepaści, skąd długo na jaśnię słonecznych blasków wydostać się nie mogły. Długo jeszcze nawet po braskach renesansu, pomimo namiętnego protestu duchów buntowniczych, malarstwo i rzeźba pozostały jedynie rzemiosłem kościelnym—sztuką stosowaną do kultu.

U nas ślady takiego traktowania sztuk tych przechowały się w ustawach cechowych do wieku XVIII, co zaciążyło fatalnie na rozwoju rodzimej twórczości artystycznej.

Dopiero Kołłątajowska reforma szkolnictwa pchnęła też na inne tory sprawę nauczania artystycznego, dając niejako oficjalną sankcyę temu, co przy szczególniejszej opiece królów i możnych panów, pod wpływem ducha czasu, wyłamywało się już nieco wcześniej z pod opieki kongregacyi.

Słusznieby też, zdaniem mojem, rok 1778, to jest datę założenia w Krakowie pierwszej wolnej szkoły malarskiej, uważać można było za wytyczny moment dziejowy, w którym rozdzieliła się wytwórczość nasza i popłynęła dwoma odmiennymi łóżykami. Istotnie, wtedy to zupełnie wyraźnie i, jak powiedziałem, oficjalnie, zarysowały się różnice między wolnym artystą i rzemieślnikiem cechowym. Wtedy też artysta w arystokratycznym poczuciu swej wyższości hierarchicznej trzymał się zdaleka od wszystkiego, co nie było tak zwaną sztuką wielką, i oczywiście

tem samem na rozwój sztuk mniejszych — wszelkich przemysłów artystycznych — wpływu nie miał prawie żadnego.

Trwało to wszakże nie długo, a przynajmniej nie tak długo, jak się to wydaje tym, którzy podnoszą dziś hasło „sztuki stosowanej,“ jako rzeczy zgoła dotąd na ziemiach polskich niezna-nej i niesłychanej. Pominąwszy już, że wielki Jan Matejko, twórca wspaniałych kompozycji historycznych, podejmował się poli-chromicznych dekoracyj kościołów, mieliśmy między malarzami również i teoretyków sztuki stosowanej. Znalazłem mało znaną szerszemu ogółowi książkę Wojciecha Gersona „Zdobnictwo rękodzielnicze,“ wydaną nakładem „Salonu artystycznego“ w r. 1896. Jestto właściwie szereg wygłoszonych w Muzeum Przemysłu w roku 1877 odczytów, mających na celu, jak sam autor pisze w przed-mowie, wykazanie, „jak ściśła zachodzi łączność pomiędzy sztukami pięknymi, a rękodzielami ozdobnymi, a jak ważną jest w tych ostatnich umiejętność rysowania.“

Odczyty okazały się w skutkach doniosłe. Bezpośredniem ich następstwem było otwarcie przy Muzeum Przemysłu sal ry-sunkowych dla rzemieślników — instytucji, która obecnie rozwija się nader pomyślnie i niezaprzeczenie ogromne przynosi korzyści w sprawie uartystycznienia naszej produkcji rzemieślniczej.

Tą drogą zapoczątkowano w skromnych narazie rozmiarach robotę, która była niejako echem ożywionego ówczesnie na Za-chodzie, a zwłaszcza w Anglii, ruchu estetycznego — ruchu, mają-cego już dziś i u nas pełną świadomość własnych dążeń i celów, zadań i środków.

Wtedy jednak zasłużony profesor kwestye stawiał, że tak powiem, połowicznie.

„Rysunek ornamentowy — pisze on — cała jego pomysłowość, nie należy wprawdzie do dziedziny właściwych sztuk pięknych, wrażeń głębszych, duchowych, ani uczuciowych wzruszeń nie wy-wołuje, otaczając jednak powabem swym codzienne życie nasze, wkracza tem samem już w granice zajęć estetycznych, pięknych, wymaga więc poglądu z dwóch naraz punktów: z punktu prakty-cznej użyteczności i przyjemności, jakie na oko, a zatem i na uczucie nasze wywiera.“

Dla artysty wychowanego w tradycjach hierarchiczności te-matów, przeskok od dostojestw malarstwa religijnego i historycz-nego do wytwarzania sprzętów codziennego użytku wydał się zbyt hazardowny, ażeby najpiękniejszą nawet dekorację mógł uznać za dzieło sztuki czystej.

Stąd zastrzeżenia, wprowadzające, nawiasem mówiąc, pewne, sprzeczności w dowodzeniach. W rzeczywistości profesor Gerson nie różnił się zasadniczo w definicyjach sztuki z określeniami dzisiejszej estetyki. Mówiąc o stronie zdobniczej wyrobów rzemieślniczych, najwyraźniej pisze: „Zaiste, jest ta praca wylewem *uczucia*, skryształizowanego w tej drugiej połowie (estetycznej), rysowniczo pięknej, idącej w trop za pojęciem i poczuciem, wyrażającami się pod osłoną powabów linii i barwy.“

Obecnie prysnęły ostateczne skrupuły i wszelka twórczość artystyczna jest równie dostojna i choćby tylko wyraziła się w skomponowaniu stołka, garnka lub dywanu — jest sztuką piękną. Obecnie artyści, malarze, rzeźbiarze i architekci zajęli się sami osobiście wytwarzaniem wzorów dla ślusarzy, stolarzy, cieślów, tkaczy i tapicerów, a Towarzystwo Zachęty Sztuk Pięknych oddało swój pałac na użytek tego rodzaju utworów.

W gmachu Towarzystwa Zachęty krakowskie towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana“ urządziło swoją wystawę.

*

*

*

Przed kilku laty powstało w Krakowie towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana,“ a wytknęło ono sobie cel wcale ambitny — stworzenie własnego, rodzimego stylu polskiego.

Narazie przystąpiono do pracy przygotowawczej pod postacią gromadzenia prób ornamentyki ludowej, najcharakterystyczniejszych motywów zdobniczych, używanych przez ludność wiejską na ziemiach polskich. Surowy materiał etnograficzny, jako wyraz najbardziej bezpośredniego odruchu estetycznego duszy ludu, stać się miał punktem wyjścia dla rozwoju rdzennie swojskiej sztuki.

Czy tkwią w tych najpierwotniejszych manifestacjach artystycznego ludowego jakieś charakterystyczne, odrębne pierwiastki swojskości i czy materiał podobny istotnie posłużyć może do ukształtowania się własnego stylu narodowego w zdobnictwie, będę się starał o tem szerzej pomówić. Przedtem jednak chciałem zwrócić uwagę na tę okoliczność, że dążenia towarzystwa krakowskiego odpowiadają w ogólnych swych tendencyjach ruchowi, jaki powszechnie ożywia artystów na Zachodzie. Wszędzie tam, w Londynie,

Paryżu, Wiedniu, Brukseli, powstają towarzystwa pod hasłem powołania do życia nowej sztuki, nowego stylu, a zawsze na rodzimych podstawach narodowych.

Czy istnieje sztuka nowa—styl współczesny? Odpowiedź na podobne pytanie jest zawsze nieco ryzykowna, mówiąc bowiem o teraźniejszości, sięga się w przyszłość, a tam fakty niedalekie, mimo najbardziej logicznych dedukcyj, mogą wystąpić z zaprzeczeniem kategoriycznym. Niema czasu teraźniejszego, jest tylko przeszły i przyszły. Czas nie stoi — on staje się ustawicznie. Chwila dzisiejsza w połowie do przeszłości, a w połowie do przyszłości należy. Nic wielkiego nie powstanie bez wielkiego budowniczego—czasu. Styl w sztuce jest jego konstrukcją.

Przyjąć modernizm, to jest ruch, pęd, dążenie, ciągłe stawanie się i przemianę, za skończoną, zaokrągloną w formach całość, byłoby błędem niesłychanym. Tak mówić można o stylach historycznych. Możemy dziś określić ich charakter, zbadać drogi powołania, nazwać z imienia i nazwiska jego twórców. Możemy to uczynić z całą ścisłością, gdyż proces ten ukończył się w czasie. Była chwila, kiedy smak czasu skryształizował się dostatecznie i przyszedł człowiek, który powiedział słowo ostatnie, a potem zaraz nazajutrz rozpoczął się... barok.

Modernizm, secesya, nowa sztuka, czy jak kto chce nazwać te dostrzegane w twórczości dzisiejszej objawy, staje się niewątpliwie. Dano impuls. Chodzi tylko o to, ażeby ruch nie osłabł w nateżeniu, a wątpić nie należy o jego przyszłości.

Nie ubierając się w poważne, a niemodne już dziś szaty dogmatyczne, wolno jednak najogólniej przepowiedzieć, że tworzący się styl nowy, ażeby uzyskać podstawy istnienia i rozwoju, musi, jak jego poprzednicy, liczyć się ze starożytnością i wiekami średnimi, musi pozostać w granicach najściślejszej logiki co do użycia materiałów, to jest właściwego zastosowania tworzywa konstrukcyjnego i zdobniczego, poszukując jednocześnie urozmaiceń i wyrazu możliwie najbardziej wymownego i zrozumiałego i odpowiedniego chwili obecnej.

Czas ten, jest czasów przeszłych utworem. Praktycznie biorąc, nieliczne te zasady podstawowe przedstawiają się w ten sposób:

Nie twierdzić, że należy zburzyć istniejące dotychczasabytki dawnej kultury, spalić biblioteki i muzea pod pozorem, że nagromadzenie tylu wzorów doskonałej sztuki jest przeszkodą dla swobodnego rozwoju fantazyi indywidualnej. Semper radził artystom w celu odświeżenia wyobraźni odszukać w dzieciństwie

ludów pramelodye sztuki i z nich czerpać natchnienie. Byłby to powrót do troglodytyzmu.

Istotnie, wielu bardzo twórców współczesnych zrozumiało to zbyt literalnie, stąd powstała może nadmierna prostota w koncepcjach artystycznych. Jan Rée, stwierdziwszy taki stan rzeczy, stara się zjawisko wytłómaczyć: „Jakaż przyczyna tej prostoty?—pisze on. Może ubóstwo myśli lub fantazyi? Albo może naśladownictwo Anglików, u których już dawniej wystąpiła na jaw taka sama prostota? Ani jedno, ani drugie. Ta prostota ma swój głębszy i uzasadniony powód w słusznym pojęciu, że chcąc z istniejącego obecnie babilońskiego zamieszania stylów dojść do jedności stylu nowego, trzeba zacząć od początku i rozpocząć drogę od najniższych i zarazem najtrwalszych podstaw artystycznej twórczości.“

Zdaje się, że leży w tem kolosalne nieporozumienie; co zresztą zaciążyło nader zgubnie na pewnych objawach twórczości współczesnej—twórczości chromej, dziwacznej i niedołożnej. Przedewszystkiem nie tak to łatwo zapomnieć przeszłości i wrócić nagle do barbarzyństwa. Powtóre, doświadczenie uczy, że ten nadmiar, to bogactwo dorobku kulturalnego ludzkości nie jest znowu tak niezwalczonym szkopułem dla fantazyi i bynajmniej nie przeszkodziło swobodnemu rozwojowi indywidualności wyjątkowych. Owszem, raczej należałoby lepiej poznawać przeszłość, ażeby w niej odnaleźć i osiąść dla siebie wszystkie konieczne pierwiastki doskonałego tworzenia.

Tą drogą możeby się naprzykład udało zmodyfikować w sensie bardziej racjonalnym niektóre formy mebli tak zwanych secesyjnych—formy, które się nie konstruują z danego materiału, albo się konstruują niedobrze. Zbadanie, dajmy na to, tajemnicy, leżącej w wygodzie mebli XVIII wieku, nie byłoby sprawą straconą dla tych, którzy komponują meble współczesne w najwyższym stopniu niewygodne.

Co do roli ekspresyjnej nowego stylu, to zależy to oczywiście równie dobrze od artystów, którzy go tworzą, jako też od środowiska, w jakim się rozwija. Jestto kwestya epoki. Przedewszystkiem tylko chodzi o to, ażeby artysta godzien był tego nazwiska, ażeby umiał uniknąć pospolitości i banalności i ażeby dość wyraźnie zaznaczył w dziele swoją własną, odrębną osobowość.

Jakkolwiek niepodobna zdefiniować stylu nowego, są dzieła, poczęte w pewnym charakterze, w myśl pewnych, znamiennych dążeń i dzieła te należą już do historii, do przeszłości. Ruch reformatorski w tym kierunku ma już za sobą kilka pełnych lat

dziesiątków, można tedy osądzić rezultaty usiłowań artystycznych, wyrażające się w całym szeregu utworów skończonych.

Nowa sztuka, w imię szczerości, stara się przede wszystkim otrząsnąć z nieuzasadnionych dziś potrzebą rzeczywistą przeżytków dawnej kultury, wyzbywa się form konwencyonalnych, uświęconych jedynie tradycją, a niemających logicznego związku z warunkami życia współczesnego. Pozatem nowe środki techniczne i nowe materiały konstrukcyjne, wytworzyć muszą nowe formy więzby i wypływającej z niej ornamentyki. Przybywa nadto inny czynnik, względy higieniczne, które obecnie ważną rolę grają w koncepcjach architektonicznych. Z tych właśnie względów ornament wypukły, jako trudny do oczyszczania, zostaje zastąpiony przez płaską dekorację, jak również gzemsy i występy poziome zamieniono na podziały pionowe.

Naśladowanie natury, jako jedyne źródło zdrowego natchnienia, nie przestaje również obowiązywać nowej sztuki. Pewna przesada w tym kierunku, zwłaszcza odnośnie do konstrukcyi, nie zawsze z tego powodu dość logicznej, pochodzi ze szczególniejszej admiracyi zabytków średniowiecznych. Zamiłowanie do średniowieczyny przewija się znamienne w dzisiejszych koncepcjach dekoracyjnych i stare teorye Villet-le Duc'a tudzież Ruprich-Roberta odżywają nanowo.

Dla charakterystyki postaram się bardziej szczegółowo zanalizować występujące bardziej jaskrawo pierwiastki współczesnej sztuki stosowanej, czy lepiej może sztuki dekoracyjnej.

*

*

Nie będę tu przytaczał powtarzanej powszechnie aż do znudzenia historii, jak to w Anglii około połowy zeszłego wieku, za teoretycznym przewodem Johna Ruskina, a pod twórczem techniem genialnych talentów Williama Morrisa, Waltera Crana i innych artystów pierwszorzędnej siły, sztuka stosowana, czy, ściślej biorąc, rzemiosła artystyczne odradzają się i uszlachetniają. Prawdą jest jednak niezaprzeczoną, że tam mianowicie najpierw odczuto całą znamionującą XIX stulecie jałowość wytwórczości na tem polu i pomysłano o konieczności reformy.

Reszta Europy, z przodującą oddawna w rzeczach smaku Francją, upojona zawrotnym postępem techniki, zaufana w potęgę wiedzy, nie troszczyła się zbyt drobną sprawą, jak ta, że w zdobnictwie swego czasu przeżuwa bezmyślnie stare, wytarte, jak zły szeląg, formy stylów historycznych. Była to, jak dziś z przekąsem mówią moderniści, bezpłodnie filozoficzna epoka pana Taina. Wielu artystów jednak, rozumiejąc, że niema sztuki bez twórczości oryginalnej, podjęło hasła angielskich towarzyszków i ruch, dążący ku odnowieniu w kształtach i ornamentyce przedmiotów codziennego użytku, stał się powszechny.

Sprawa na razie nie przedstawiała się zbyt łatwo. Przedewszystkiem znana powszechnie obawa nowości usposobiła szerszą publiczność dość nieufnie do zjawisk niespodziewanych, powtórze fabrykanci, znając psychologię swoich odbiorców, niechętnie przyjmowali wskazania artystów, lub też ulegali im połowicznie, wytwarzając stylowe hybrydy, ażeby i wilk był syty i owca cała.

Opóźniało to ogromnie ostateczne skryształizowanie się w praktycznym zastosowaniu nowej myśli estetycznej.

Niemniej przecież już na wystawach, urządzanych w ostatnich czasach w większych i mniejszych środowiskach sztuki europejskiej, spotyka się przedmioty—meble, porcelanę, szkło, biżuterię, tkaniny, noszące na sobie wyraźne cechy odrębności o charakterze wybitnie współczesnym. Już dziś nauczyliśmy się rozpoznawać niektóre szczególniejsze formy, znamienne wygięcia linii i wogóle cały sposób dekoracyi, jako nową sztukę—secesję, *modern styl*.

Słowa te *modern styl*, zwłaszcza wymówione pięknym angielskim akcentem, są niezmiernie znaczące. Dla jednych będzie to uosobienie dobrego smaku, subtelności, wytworności, postępu, młodości, dla innych synonimem dziwactwa, śmieszności i blagi. Słowa te zastąpiły, będące do niedawna w użyciu *fin de siècle*, które odnosiły się do wszystkiego, co nie było zupełnie zwyczajne i pospolite, zupełnie po mieszczańsku normalne.

Modern styl ma już swoje charakterystyczne, dające się określić znamiona. We Francji nazywają pewien sposób zdobień: „*art du coup de fouet*“ ze względu na to, że powtarza się tam często, jako motyw zasadniczy, linia falista, fantastycznie pocięta, niby skręty rozwijającego się w powietrzu bicia. Nazywają go też sztuką „baranich kości“ ze względu na pewne, istotnie przypominające baranie żeberka, formy, umiłowane szczególnie przez kilku artystów z awangardy. Inne formy, częściej w tem nowem

zdobnictwie spotykane, ochrzczono mianem „kiszek króliczych“ (*boyaux de lapin*), inne „wełmonośnemi“ (*lanières*) i t. p.

Pomimo tych złośliwości, sztuka ta się rozwija, publiczność godzi się po trochu z ekstrawagancyami fantazyi artystycznej i, co za tem idzie, fabrykanci coraz śmieiej zrywając z tradycjami wszelkich „Ludwików,“ hazardują się na nakłady dla wyrobów podług nowych modeli.

Mam przed sobą kilkanaście zeszytów *Revue des arts décoratifs*, w których odnajduję wizerunki z prac najslynniejszych francuskich twórców nowego stylu: jak Majorelle, Gallé, Damon, Collin, Bigoux, Gaillard, Bing, Gennys, Simonet i inni.

Przeważają tu motywy roślinne, odpowiednio ustylizowane, a często powtórzone wprost realistycznie za naturą. Chwalebna skądinąd dążność do unikania profilów znanych i konwencyonalnych dekoracyj doprowadza do naśladowania w formach tektonicznych przypadkowych załamów gałęzi, tudzież wygięć, jakie przybierają korzenie w swej podziemnej tajemniczości.

Korzenie zwłaszcza stają się wzorem najpospoliciej ukochanym. Może pod wpływem belgijskiego architekta Horta, który świat cały widział w jakichś pogiętych spiralnych czy też biczowych liniach, i z tego powodu był oryginalny, dla utrzymania się w oryginalności niektórzy artyści francuscy przywiązali się ze szczególną pasją do tej części rośliny, lekceważąc jej gałęzie i liście.

Tak zrodziły się owe nieznośne, natrętne, uprzykrzone zygza-ki, esy, supły i wąsy, wijące się, jak rosochate, zwichrzone korzenie drzew, lub jak miękkie jelita zwierząt, co słusznie wywołało drwiny krytyków, o własnym nie zasuggestyjonowanym przez modę smaku, tudzież wogóle podało w powątpiewanie przyszłość rozwojową podobnej sztuki.

Pomimo nadużyć i przesady, jednak i w tych krańcowych manifestacjach modernizmu spotykamy rzeczy nadzwyczaj efektowne i pełne wdzięku. Dzieje się to wtedy, jeżeli artysta, dzięki szczęśliwemu natchnieniu, umiał rozwiązać trudność zastosowania linii pogiętych i pokręconych w systemie racjonalnej konstrukcyi. Zwraca naprzykład uwagę jedna szafa (według rysunku E. Gaillard'a), skomponowana na motywach z gałęzi gruszy i klonu. Jeżeli boki obramień, osłabione przez profilowanie zbyt drobiazgowo i delikatnie, poprzerywane są od czasu do czasu, jak się to działo w zdobnictwie XVIII wieku, przez jakąś wypukłość ornamentacyjną, przez grupę liści, czy większy sęk, wymodelowany nader dyskretnie, nie jednak tu widza nie razi, gdyż bądź co bądź

dekoracya ta podporządkowana jest zawsze zasadniczym liniom struktury. Takim tylko sposobem tak bardzo kwestyonowany temat dekoracyjny mógł być wyzyskany na korzyść prawdziwie pięknego dzieła.

Jest to sprawą smaku osobistego, wrodzonych zdolności harmonizowania kształtów, jak istnieje niezaprzeczenie zdolność harmonizowania barw i tonów.

W meblarstwie francuskim nowoczesnem wyróżniają się bardzo znamiennie pomysły Emila Gallé, artyści znanego zresztą zaszczytnie we wszystkich dziedzinach przemysłu artystycznego, a zwłaszcza z przesłicznych wyrobów ceramicznych enaliowanych. Jest on właśnie jednym z najgorliwszych propagatorów idei poszukiwania inspiracyj dekoracyjnych w naturze i w kierunku tym idzie bardzo daleko. Niezmiernie ciekawie, jako pomysł, przedstawia się jeden jego stolik do herbaty. Lekki i elegancki w ogólnem wrażeniu, zbudowany jest z trzech ważek i złożonego podwójnie trójliścia koniczyny. Ważki czteroplane, których odwłoki wygięte z całą naturalnością przyrodniczą stanowią nóżki stołu doskonale zastosowane pod względem konstrukcyjnym. Głowy o wielkich, wypukłych oczach tworzą pożądaną wydatność dekoracyjną przy połączeniu nóg z płytą. Skrzydła, opasując szarfą poprzeczną konstrukcyę, umacniają ją i tem samem stanowią nieodzowny czynnik tektoniczny. Jednem słowem wyzyskano naturalne kształty owadu i rośliny w sposób, odpowiadający najdokładniej warunkom więzby drzewnej i względom estetycznym, tak cenionym w każdym sprzęcie użytku.

Jest tu myśl, idea, przewijające się zresztą w każdym najdrobniejszym utworze tego artysty—wzruszenie, które, odczuwszy w sobie, stara się nam przez dzieło swoje przekazać.

Tkwi także w meblach i wogóle wszelkich sprzętach, wykonanych już przez obojętne ręce rzemieślnika, w kształt widoczny, stężały, wyraz indywidualnych usposobień artysty-twórcy. Uderzające jest poprostu, jak biczoła czy węzowa linia Belga Horta, przyjęta ogólnie za punkt wyjścia w tem nowem zdobnictwie, w interpretacyi Francuzów przekształca się widocznie i dostraja, że tak powiem, etnograficznie do właściwości rasy. Nabiera ona pewnej rytmiki właściwej, przypominającej tradycyę rokokowe i rzeczywiście często bardzo artyści, jak wspomniany Gallé, a zwłaszcza Robert, zda się mimowoli i nieświadomie w stylizacyi roślin, owadów i zwierząt wpadają w kapryśne formy palmet i muszli XVIII wieku.

Wogóle wobec nieco sztywnych i, powiedzieliby można słuszenie, purytańskich, ale ogromnie eleganckich w swej wytwornej prostocie wyrobów nowej sztuki angielskiej, artyści francuscy ujawniają pewną skłonność do barokowej przesady. Dla mnie jest to poniekąd wykładnikiem rasowych znamion temperamentu, które się pewnym szczególnym rytmem, pewnym charakterystycznym odruchem zaznaczają w całej ich twórczości artystycznej.

Istotnie, w śmiałych fantastycznych skrętach linii, to pełzającej w falistych przegubach, to skaczącej niespodziewanie niby po sękach, czuć lekkość, swobodę, fantazyę, humor i... niezapomnianą w tych razach świetność Trianonu. Czuć tam także dziwną trzeźwość i przejrzystość myśli, jak przeciwnie w wiedeńskiej znowu secesyi ta sama linia posiada jakąś ociążałość i zawiłość.

Myślę, że ten rytm, nastrój, ton zasadniczy, to najbezpośredniejsze wyrażenie się osobowości artysty będzie zarazem najwymowniejszym wyrazem sztuki narodu, z którego artysta pochodzi — będzie wyrazem bardziej niezawodnym i przekonującym, niż przywiązanie się do stałych, posiadających stempel prawowitości etnograficznej, motywów.

W ostatecznych wnioskach wypadnie, że jeżeli Polak-artysta naprawdę utalentowany, samodzielny, posiadający bogatą inwencyę i wyrobiony smak estetyczny, nie będzie naśladował niewolniczo wzorów znanych, ani trzymał się posłusznie z góry narzuconych wskazań, ale da swobodne ujście swoim przyrodzonym skłonnościom, swojemu polskiemu temperamentowi, wypowie się szczerze i w pełni ze swoją polską duszą, to wszystko, co stworzy, będzie nawskroś polskie i narodowe. Sztuka jego będzie polską, a tem wyższą i doskonalszą, im artysta posiadał więcej talentu, inwencyi i kultury estetycznej.

Jeżeli tedy znajdują się u nas w tym zakresie artyści obdarzeni wielkim talentem, smakiem, wyrobieniem artystycznym, posiadający przytem odpowiednie wykształcenie techniczne, co, przy konstrukcyi zwłaszcza, jest warunkiem nieodzownym, będziemy mieli, jeżeli nie odrębny styl polski, to przynajmniej własną, charakterystyczną sztukę stosowaną, choćby nie było w niej ani krakowskich kogutków, ani zakopiańskich słoneczek i parzenic, ani łowickich wycinanek i ukraińskich mereżeń, choćby nie było w niej wzorów pozbieranych z pasów słuckich, skrzyń chłopskich, chłopskich wełniaków, spodnic i kożuchów, choćby nie powtarzały się tam ani razu kształty czerpaków, łyżników i zydłów, choćby artysta taki zaniedbał zupełnie obowiązku przyglądania się

śparogom na kalenicach chat podhalskich i istotnie ciekawym w konstrukcyi i rysunku rysiom, podpierającym podcienia w zabawkach dawnego naszego budownictwa.

*

*

*

Towarzystwo „Polska Sztuka Stosowana,“ jak powiedziałem, gromadzi oddawna materiał, odnoszący się do rodzimej sztuki ludowej i niewątpliwie wielkie na tem polu położyło zasługi. Przedewszystkiem uznanie należy się inicjatorowi ruchu, a obecnemu prezesowi instytucyi, panu Jerzemu Warchałowskiemu, który niezmierną pracą i szczerem oddaniem się sprawie w ciągu lat kilku przyczynił się do powstania bardzo poważnych, uniejętnie usystematyzowanych zbiorów etnograficznych, stanowiących podstawę do badań naukowych w tej dziedzinie. Istotnie, zbiory towarzystwa i wydawane przez nie pismo dla etnologii mają znaczenie pierwszorzędne.

Tą drogą postanowiono dotrzeć do źródeł rodzimej twórczości, do tych pramelodyj dzieciństwa ludu, o których mówi Semper, że świeże, ożywcze technienie wioną w duszną od nadmiaru zbyt już ciężkich i skomplikowanych emanacyj kulturalnych — atmosferę sztuki współczesnej. Tą drogą postanowiono dotrzeć do rdzenia stylu swojskiego, który jakoby się miał objawić w pierwocinach estetycznego odruchu ludowego.

Czy istnieje styl polski w architekturze i zdobnictwie? Słyszymy często zdanie, że wyraził się on znamienne w zabytkach budownictwa drewnianego. Mnie się zdaje, że podlegamy nieco złudzeniu.

Jest to tylko pewien charakterystyczny typ konstrukcyjny. Styl jest wytworem czasu — drzewo, jako tworzywo nietrwałe, ulega czasowi zanim on odcisnie na tworach jego swoje trwałe piętno. Polska była krajem drewnianych grodów.

Skoro widzę nowy budynek drewniany pod strzechą słomianą — nowy, złoto-żółty, świecący gorącą barwą sosnowych bierwion w blaskach jaskrawego słońca; kiedy w skwarze lipcowym po jego ścianach sączą się strugi płynnej żywicy, mam smutne wrażenie, że jest to smolna pochodnia, którą niebawem zapali przypadek. I palą się te domy drewniane, jak pochodnie. Każde

niemal pokolenie wznosi dla siebie nową siedzibę, ale wznosi ją jakby prowizorycznie, jakby w przewidywaniu, że trwanie jej jest ograniczone. Po za wymaganiami koniecznej potrzeby nie liczy się też z innymi względami. Typ zdobniczy niema możności ukształtować się i rozwinąć.

Już sam typ konstrukcyjny budownictwa polskiego, owej charakterystycznej wieńcówki, utrudnia wszelkie bardziej skomplikowane podziały architektoniczne. Kładzie się bierwiona jedne na drugich na ząb i na wyrąb, ażeby utworzyć skrzynię czworoboczną, którą się pokryje dachem i wyrąbie w ścianach otwory na drzwi i okna.

Oczywiście, wrodzone naturze ludzkiej dążności artystyczne i tu, wśród tych tak bardzo ograniczonych elementów tworzenia, odnajdują pole do szukania i pomysłowości. Taką artystyczną manifestacją budownictwa drzewnego bywają niezaprzeczenie, wspomniane wyżej, rysie, spotykane w wielu okolicach naszego kraju. Przez system wysuwania po za węgiel stopniowo wydłużających się belek, otrzymuje się rodzaj wsporników, podtrzymujących występ podcieniowy dachu. Rysie te często przybierają profile nader ponętne i bywają istotną ozdobą kładźby wieńcowej. Pozatem podcienia, zresztą coraz rzadsze w budownictwie ludowem, podpierano także słupkami o mniej lub bardziej bogatym wyrzynaniu. Połączenie słupa z płatwą charakterystycznymi dla ciesielskiej naszej więźby zastrzałami zarysowywało łuk już z natury swej konstrukcyjnej, jeżeli tylko zastrzały odpowiednio podcięte zostały. Tak powstawały często bardzo wdzięczne arkadki podcieniowe. Takim właśnie podcieniom zawdzięczają swoją malowniczość stare, utrwalone w przepysznych rysunkach Matejki, domy w Wiśniczu, tudzież budowle w Kaźmierzu, Piotrkowie i innych miejscowościach kraju.

Dodawszy jeszcze do tego kilka innych form, powtarzających się to w tej, to w innej okolicy, wyczerpiemy cały zapas, mających odrębną, swojską fizyognomię etnograficzną motywów architektoniczno-zdobniczych. Pozatem wszelka ornamentyka, w jakiej się wyraża cała kokieterya naszego budownictwa ludowego, ma źródło we wzorach panujących w danej epoce stylów historycznych. Widziane we dworze ozdoby lud odtwarzał na własną rękę, hieratyzując oczywiście po swojemu wytworne kształty w topornej, grubej obróbce. W ten sposób nawet wiele architektonicznych form kamiennych przeniesiono na drzewo, jak naprzykład gotyckie profile skapów, renesansowe i barokowe szczyty. Odnajdujemy ślady wszystkich stylów w profilowaniu odrzwi i obra-

mień okiennych. Kazimierz Makłowski w swojej doskonałej książce o sztuce ludowej w Polsce, liczne podaje tego przykłady.

Zdaniem autora, owo właśnie przechodzenie form z innego materiału na drzewo i odwrotnie odcisnęło też charakterystyczne piętno na naszej architekturze kamiennej w chwilach, kiedy więcej starano się stawiać budynków z kamienia. Tem tłumaczyć się mają niektóre odrębne właściwości naszego gotyku i renesansu.

Ale tradycje kazimierzowskie szybko mijały—upodobanie do drzewnego budownictwa powraca i poprostu wrasta w zwyczaje narodu. Istnieje mnóstwo anegdot, świadczących, że niechęć do murowańców staje się u nas przesądem przechowywanym z pokolenia na pokolenie. W miastach murują dla siebie i nie dla siebie architekci cudzoziemscy kamienice—na wsi jednak po dawnemu swojski cieśla kładzie po swojemu chatę wieśniaczą, dworek szlachecki, dwór pański i dworzec magnacki. Po dawnemu drewniane są śpichlerze, lamusy, kościoły, cerkwie, mosty, drewniane wszystko, aż do utwierdzeń wojennych.

Łatwopalne domy nie przedstawiały zbyt bezpiecznego schroniska dla sprzętów kosztownych, dlatego też nie wysilano się na wytworne umeblowania i wogóle na gromadzenie dzieł sztuki.

Zwracałem niegdyś uwagę na tę okoliczność, mówiąc o przyczynach, które wpłynęły na ostateczny prawie zanik rodzimego malarstwa polskiego po epoce gotyckiej. Poddańczy chłop zajmować się niem nie mógł—szlachcic obrazów nie potrzebował. On kochał się w koniach, rzędach i bronii. Stajnie pełne były wielkiej ceny rumaków, skarbcze przeładowane świetnym, zdobnym w złoto, srebro i drogie kamienie orężem, siodłami, niesłychanej wartości uzdami, czaprakami. W skarbcu też krył się ten cały na modłę wschodnią pojęty przepych, jakim szlachta w pewnych chwilach lubiła się otaczać. Tam przechowywano kosztowne kobierce perskie i tureckie kilimy, tam futra, sajety, altembasy i aksamity, tam złote rostruchany i wspaniałe szkła weneckie, a w świetlicy stał stół dębowy i ławy zwykłej ciesielskiej roboty, w alkierzu zaś tapczan prosty przykryty końską skórą. Podobny stan rzeczy trwał do wieku XVIII. Tak to właśnie opisuje w „Listopadzie“ i innych swoich powieściach Rzewuski, który niewątpliwie wiadomości wiarogodne z ustnych opowiadań babek swoich czerpał. Obowiązująca rycerza spartańska prostota obyczajów i zaprawienie się do trudów obozowego życia, wprowadzały pewną, że tak powiem, obozowość, pewną prowizoryczność do jego domu. Umeblowanie w zamożnym nawet dworze polskim bywało zazwyczaj nader skromne, nie mogły się więc wyrobić świetniejsze tradycje

meblarstwa polskiego. Słynne i istotnie bardzo piękne i artystyczne wyroby stolarskie w Gdańsku po wsze czasy nosiły na sobie, prócz pewnych odrębności miejscowych, wszystkie cechy panujących w Europie stylów historycznych.

Literatura jest sumieniem narodu—powiada Maurycy Mochacki—jest niem w pewnej mierze cała sztuka, nie wyłączając stosowanej.

„Wiedzieć, że jesteśmy—pisze on w swojej książce „o literaturze polskiej“—i tej wiedzy nieomyłne świadectwo jakimkolwiek sposobem, na piśmie, na kamieniu, na płótnie, tonem, farbą, dźwiękiem, słowem przez um i rozum, fantazyę, imaginacyę i wolę wyrazić, na oko pokazać—toć jest prawdziwie, co nazwałem po staropolsku „*uznaniem samego siebie w swem jestestwie*.“

„Kto nie jest—mówi dalej—obywatelem, czyli innemi słowy: kto będąc *osobą, jednostką* nie pojmuje się zarazem w pospolitej rzeczy, w związku społecznym, tego uznanie we własnym jestestwie ani godziwe, ani doskonałe być nie może. Prawdziwe obywatelstwo nie co innego jest, tylko rozszerzenie osoby, rozprzeżenie indywidualnej jednostki. Tak samo naród cały, we własnej tylko i nierozdzielnej uznający się *egzystencyi*, byłby jako obwarowana i ze wszech stron zamknięta monada, która samej siebie jeszcze nie pojmuje i nierozumie. Żeby się dobrze pojąć trzeba znać drugich i z nimi zostawać w ciągłych stosunkach.“

Dzieje Polski po wsze czasy zachodziły w historię całej ludzkości i ściśle się z nią wiązały. Odnosiło się to również do sztuki polskiej. Niepodobna wyodrębnić w niej czystych pierwiastków rodzimej twórczości. Są one zawsze mniej lub więcej zakazane duchem obcym. Nawet w tych dawnych wzorach, na jakie się powołuje etnografia, odnaleźć łatwo wpływy postronne. Ornament roślinny, dajmy na to, na pasach słuckich, które dziś często bardzo wskazywane są za źródło natchnień dla współczesnej sztuki stosowanej, w ogólnych swych zarysach, jakkolwiek wyraźnie spolonizowany, jest niewątpliwie pochodzenia wschodniego, jak znowu haft i wyszycia na paramentach kościelnych i szatach liturgicznych XVII wieku powstały ze zmieszania bizantyńszczyzny z formami jezuickiego baroku.

Z tego też powodu ściśle odgródkowanie się od wpływów postronnych jest wprost niemożliwe i „Polska sztuka stosowana,“ pomimo teoretycznie przyjętych zasad w tym kierunku, nie zawsze się ich trzyma w praktyce. Na urządzonej obecnie wystawie spotykamy wiele rzeczy, przypominających dawne style historyczne, a także nową *secesyę* zachodnią.

Nie robię jednak zarzutu wystawcom z tego powodu. Nie robię zarzutu, że najpiękniejsze zresztą okazy—fragment przedpo-koju w mieszkaniu prezydenta miasta Krakowa—skomponowany przez p. Józefa Czajkowskiego, prócz kilku indywidualnych urozmaiceń, przypomina meble z epoki Ludwika Filipa, jakie jeszcze do dziś spotykamy w starych dworach szlacheckich. Ma to już dla nas urok pewnej swojskości, gdyż związane z tradycją dawniejszych generacyj wywołuje szeregi wspomnień bardzo rodzimych.

Takie też wspomnienia budzą stoły i stołki pana Wojtyczki, utrzymane w typie konstrukcyjnym owych bezstylowych mebelków staroświeckich, wykonywanych przez stolarzy wiejskich z pewną pretensją do fantazyjności. Fantazyę tu reprezentuje umiejętnie i istotnie estetyczne przeprowadzenie motywu wycinanki. Jedynie kredens, zbudowany już w duchu nowomodnej modły raz-zi niekonsekwencyą wiszących w powietrzu szuflad.

Wogóle niekonsekwencya w przeprowadzeniu pomysłów zdobniczych w stosunku do wymagań konstrukcyjnych i użytecznościowego przeznaczenia przedmiotu, jest najpoważniejszym zarzutem, jakiby należało uczynić z punktu widzenia estetycznego niektórym, a raczej większości okazów popisowych Towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana.“

Rzecz jest piękna, jeżeli się w niej wyraziła w pełni inteligentna myśl ludzka. Rzecz jest piękna, jeżeli odpowiada dokładnie swemu przeznaczeniu. W tem streszczają się główne podstawy reformy estetycznej, propagowanej namiętnie przez Ruskina.

Jeżeli cię nie stać, radził on, na meble wytworne z drogiego, politurowanego drzewa, kryte kosztowną jedwabną materyą, zrób sobie zwyczajny stołek sosnowy, ale niech się w tym stołku wyraża indywidualna myśl twórcy, niech będzie tem, czem jest w istocie, niech nic innego nie udaje, nie naśladowuje, niech nie będzie marną, banalną tandetą.

Właśnie w tym duchu mogło towarzystwo w sprzętarstwie ludowem odnaleźć typy stołów, stołków, zydlów, szaf, półek i wszelkich innych przedmiotów, któreby stanowiły wzory dla takiego taniego meblarstwa. W sprzętarstwie tem prostem spotykamy niezmiernie dowcipne i charakterystyczne sposoby wiązań za pomocą klinów i kołków, co przy nieco wytworniejszem obrobieniu mogłoby stanowić bardzo ciekawe motywy zdobnicze i wytworzyć przedmioty o kształtach oryginalnych. Meble takie pożądanoby były właśnie dla tych wszystkich, dla których, przy rozwiniętym dziś szerzej poczuciu estetycznem, żydowska tandeta, fałszywa stylowość, blichtr, błaga, banalność, podrobienie i uda-

nie stały się nieznośne, a którzy na drogie stylowe meble zdobyć się nie mają możliwości.

Nic z tego jednak niema na wystawie krakowskiego Towarzystwa „Polska Sztuka Stosowana.“ Natomiast ciężkie i sztywne formy sprzętarsstwa ludowego, czy też wogóle hieratycznego, wykonać kazano najpierwszorzędnieszym stolarzom z drogiego i pięknie odpoliturowanego drzewa.

Najcharakterystyczniej pod tym względem przedstawiają się meble Stanisława Wyspiańskiego. Genialny malarz i poeta miał czasem pomysły, że tak powiem, zbyt fantastyczne. Fotele jego naprzykład zbudowane są z wielkich, grubych, o ostrych kantach bierwion. Bierwiona te, odpoliturowane nawiasem mówiąc z nadwyzczajną elegancyą, tworzą całość ciężką i w najmniejszym nawet stopniu nie salonową. Pozatem owo kanciaste oparcie zwięża się ku tyłowi, tworząc kąt, w który nie wcisną się plecy nawet bardzo wątlej budowy człowieka.

Gdyby podobne siedziska zbite były z prymitywnie grubych, nieobrobionych polan dębu lub buku, mogłoby to wszystko razem mieć jeszcze znaczenie jakiejś fantazyi archeologicznej — w tym stanie jednak jest poprostu niedorzecznością.

Meble współczesne powinny odpowiadać współczesnym wymaganiom komfortu i wygody—powinny być w harmonii z ogólnie wysoką kulturą społeczeństw nowożytnych. Dlatego też mam, że niema racyi cofania się do prapoczątków prostej sztuki, a należy korzystać ze wszystkich najbardziej złożonych zdobyczy cywilizacyi. Duch polski objawi się pomimo wszystko, jeżeli tylko tkwił w twórcy — jeżeli artysta-Polak posiadał talent i smak osobisty.

T. JAROSZYŃSKI.

Ruch umysłowy w Niemczech.

Tryumfy oręża niemieckiego w walce z sąsiadem zachodnim miały, jak wiadomo, olbrzymią doniosłość polityczną, stając się spoiwem nowego państwa niemieckiego. Pod względem kulturalnym atoli okazały się dotychczas zadziwiająco jałowymi. Napróżno artysta, filozof, historyk będą szukali w okresie tym 37-mio letnim wielkich wydarzeń, dzieł wiekopomnych, monumentów zadziwiających, któreby świadczyły o sile duchowej zwycięzcy. Natomiast uderzy ich przedewszystkiem obraz kompletnego rozluźnienia, rozstrzelenia i nieudolności — zupełny brak kultury estetycznej i etycznej. Po krwawej jutrzni zwycięstw wstał dzień szary i mglisty — beznadziejnie szary. Szukano — ale jedyną zdobyczą była jarmarczna pstrokaczna najprzeróżniejszych zapożyczeń, starano się tworzyć, ale cechą twórczości był zawstydzający dyletantyzm, wznoszono monumenta, ale o charakterze i ekspresji gipsowej manii wielkości. Najbardziej charakterystycznie wyraził stan ten niespodziany i przygnębiający jeden z głównych ówczesnych wodzów narodu niemieckiego, kanclerz żelazny Bismarck, w następującej ciekawej sentencji: „Dajcie nam przedewszystkiem umrzeć, jeżeli ma być lepiej!“ W sztuce berło nieograniczonej władzy przechodzi w ręce zagranicy. Francya, Rosya, Skandynawia opanowują twórczość niemiecką, która w naśladownictwie Ibsena, Zoli, Dostojewskiego szuka swoich urzeczywistnień. Umysły rzeczywiście twórcze z tego okresu letargu duchowego, jak Ryszard Wagner, Fryderyk Nietzsche, Arnold Boecklin i Gotfryd Keller, stoją tak daleko poza obrębem interesów i tendencyj dnia, że możnaby ich nazwać banitami. Bilans pracy kulturalnej Niemiec w ciągu ubiegłych lat 37-miu przedstawia się jednym słowem dość skromnie. Najdonioślejszemi wydarzeniami tego 37-mio le-

tniego okresu—i to bardziej w drugiej połowie jego—są: zwycięstwo sztuki Wagnera, nagła, ale zupełnie spaczona popularność Nietzschego, dramat Gerharta Hauptmana i liryka Ryszarda Delmela. Mimo to byłoby rzeczą błędną lekceważyć sobie dzisiejszą siłę duchową Niemiec lub wierzyć owym powierzchownym, jeżeli nie zaślepionym mniemaniom, jakoby już się wszystko w państwie niemieckiem psuć poczynało, a skandale i skandaliki dnia były dowodem procesu próchnienia i zgnilizny. Ktoby w tem przeświadczeniu chciał dziś święcić tryumfy, tegoby rzeczywistość zbyt rychło i szorstko mogła przebudzić.

Naród niemiecki znajduje się dziś, mimo swej z góry narzuconej polityki, mimo swej ohydnej, ciężkiej sztuki oficjalnej, swoich tragicomedyj kolonialnych i dyplomatycznych, swego poczynającego się zdziczenia instynktów, które się zwie militarystem pruskim, w przededniu ważnych, kto wie czy nie rozstrzygających momentów dziejowych. Od rezultatu tej walki wewnętrznej, toczącej się w łonie narodu, a dostrzegalnej jedynie dla badaczy wytrwałych i uważnych, zależeć będzie, jaką rolę młode państwo niemieckie z r. 1871 odegra w dziejach kultury ludzkiej. Dziś jeszcze tego nikt nie jest w stanie rozstrzygnąć. Dość, jeżeli poznamy, zrozumiemy i ocenimy należycie w całej ich doniosłości dziejowej warunki, źródła i elementy tej walki.

Każdy Polak, zaznajamiający się dziś z życiem niemieckiem, natrafia przedewszystkiem na ogromną różnicę zewnętrzną, mogącą łatwo wzrok jego oszukać. Różnica ta zasadnicza polega na ogólnem zabarwianiu i charakterze życia. W Niemczech posiada ono wybitne cechy mieszczańskie; u nas do pewnego stopnia cechy szlacheckie jeszcze przeważają. Stądto owa skorość wśród naszych, szczególnie bardziej pobieżnych recenzentów do sądów w zasadzie już fałszywych, bo nie uwzględniających należycie tej różnicy. Dlatego to mieszczańskie, flegmatyczne tempo życia niemieckiego przybiera w oczach naszych wyraz bezdusznej ociężałości; brak poloru i pewnej kultury zewnętrznej (w rzeczywistości bardzo powierzchownej, o ile jej nie odpowiada kultura wewnętrzna) wydaje się nam już dowodem zupełnego zmateryalizowania; a owo z tegoż źródła płynące przystosowanie się ogółu do pewnej szablonej normy, gotowi jesteśmy uznać za zupełny brak polotu i samodzielności twórczej—wszystko wnioski i sądy dość znacznie od prawdy oddalone, a więc przedewszystkiem dla nas samych szkodliwe. Ciż sami, którzy podczas swej bytności w Niemczech niemal z pogardą wydają swe lekceważące sądy o zupełnem zmateryalizowaniu sfilistrzałego narodu „poetów i myślicieli,” nie

z próżnemi zazwyczaj rękoma powracają do kraju. Zdobytcze ich duchowe, czy to Kant, Hegel, Fichte, Schopenhauer, czy też Wagner lub Nietzsche, są przeważnie pochodzenia niemieckiego. Nie byłoby w tem nic dziwnego, gdyby nie fanatyzm, z jakim starają się następnie zdobytcze te, jako dogmaty, przeniósć żywcem na grunt polski. W tem pierwotnem lekceważeniu i późniejszym fanatyzmie leży jaskrawy dowód naszej dość rozpowszechnionej niezaradności wobec objawów życia niemieckiego. Błędem byłoby naturalnie, jak niektórzy radzą, unikać dlatego wszelkiej styczności z kulturą niemiecką lub zapobiegać np. wysyłaniu młodzieży polskiej do uniwersytetów niemieckich, przeniósć słowem całą naszą dzisiejszą walkę ekonomiczno-rasową, cały ów niestety konieczny system bojkotów, palisad i wałów ochronnych w dziedzinę duchową, na czembyśmy zresztą sami najgorzej wyjść mogli. Walka bowiem na tym wyższym stopniu duchowości zgoła innym podlega normom, niż funkcyonalne i zbliża się już znacznie do owych bardziej wysubtelnionych i uduchowionych praw rywalizacyi i pierwszeństwa lepszych. Bronią więc i zbawieniem jest w tej dziedzinie—przenikliwość, zdolność objęcia szerokich widokręgów, zrozumienia zawiłych i niejasnych objawów, wnikania do głębi i prawdy. Patrząc i rozumiejąc, będziemy jedynie w stanie znaleźć środki zaradcze, czy to dla naszej obrony, czy też do walki.

Czy Niemcy są na drodze do kultury nacyonalnej? Poraz pierwszy od wieków warunki zewnętrzne zdają się sprzyjać jej. Od czasów Stauffenów konstelacye polityczne nie były ani razu tak pomyślne, gdyż ani renesans niemiecki, ani złoty wiek klasycyzmu, tego powtórnego renesansu na modłę wyłącznie niemiecką — wiek Goethego i Schillera, nie posiadały tych fundamentów realnych, będących koniecznym warunkiem wcielenia kultury uniwersalnej. Dziś warunki te istnieją, a chodzi jedynie o to, czy uda się Niemcom nadać urzeczywistnieniom i potęgom dnia zarisy monumentalne. Państwo niemieckie mogłoby wówczas prędzej czy później stać się gwarancyą, że linie te i zarisy obejmą życie całego narodu i spotęgują się do imponującej wielkości stylu nacyonalnego. Że podobne myśli są już dziś gwiazdą przewodnią jednostek i coraz dobitniejszego szukają wyrazu w życiu narodu niemieckiego, jest dla każdego uważnego badacza ruchu umysłowego w Niemczech faktem oczywistym. Trudno byłoby atoli wskazać dziś chociażby jedną jednostkę, którą możnaby było nazwać reprezentantem i miarodajnym wyrazicielem tych form i ten-

dencyj. Sztuka Gerharta Hauptmana posiada poniekąd te cechy i już tu i tam, jak np. we „Floryanie Geyerze,“ w „Biednym Henryku,“ w „Pipie,“ a ostatnio w mniej udanym dramacie z czasów Karola Wielkiego z większem lub mniejszem powodzeniem stara się im nadać kształty monumentalne.

Podobne tendencje widzimy w dziedzinie dzisiejszej t. zw. „Naturphilosophie,“ która jest jakby zjednoczeniem mytów germańskich ze zdobyczami wiedzy, że wspomnę tu przedewszystkiem o grupie t. zw. Friedriechshageńczyków, którzy jako popularyzatorzy i kontynuatorzy mistyczno-filozoficznej syntezy Fechnera położyli duże zasługi. Najwyraźniej zarysowują się jednakże wszystkie te tendencje, zmierzające ku stworzeniu kultury niemieckiej, w działalności znanego nakładu Eugeniusza Diederichsa w Jenie, który z iście renesansową uniwersalnością obejmuje całą dziedzinę terażniejszości i przeszłości niemieckiej, o ile takowe mają związek z ideą kultury nacyjalnej. Siła i doniosłość kulturalnej działalności Diederichsa polega przedewszystkiem na umiejętnem i szczęśliwem zrównoważeniu przeszłości i terażniejszości, na znalezieniu łącznika pomiędzy objawami i pownikami minionych dni a żyjącą tęsknotą rzeczy przyszłych, łącznika, który mógłby się stać gwarancją powodzenia, gdyż pokarmem rzeczy przyszłych, zanim się staną pełną urzeczywistnioną terażniejszością, jest zawsze przeszłość. W przeszłości tkwią pierwiastki każdej rzeczywiście nacyjalnej, harmonijnej, oryginalnej kultury, będącej jedyną pośredniczką pomiędzy nacyą i absolutem. Dążenie to w kierunku czystej kultury nacyjalnej mącą jednakże w Niemczech dzisiejszych silne i skrajne tendencje imperyalistyczne. Od stanowiska, jakie względem nich zajmą przyszłe pokolenia zależeć będzie rola, jaką Niemcy odegrają w przyszłości. Dwie bowiem drogi stoją dziś jeszcze przed narodem niemieckim otworem: jedna zakreślona i przygotowana przez takie umysły, jak Kant, Goethe, Beethoven, druga, zmierzająca wprost ku krwawym i ohydnyim fatamorganom nowożytniej Romy. Zrodzony przy kielichach, podczas uczt i uroczystości na cześć oszołomających zwycięstw, sen o nieograniczonej potędze, wyolbrzymiałe wizye mytu germańskiego, wykwitłe z haszyszowych upojeń sztuką wagnerowską, w połączeniu ze skrajnemi teoryami rasowemi Chamberlain'a, z apoteozą „rudowłosej bestyi“ Nietzschego i z całym chorobliwym impetem najprzeróżniejszych bezwzględności tego fanatyka-poety, bezwzględności najzupełniej fałszywie stosowanych a posteriori w praktyce, stworzyły atmosferę wysoce szkodliwą dla dalszego pomyślnego i naturalnego rozwoju Niemiec. Jakże sta-

nowisko zajmie wobec takiej terażniejszości dorastające pokolenie, wyrosłe w tej atmosferze rozdwojenia, przewidzieć trudno. Ulegnież jej, będzież w stanie ją przewyżczyć? Bądź co bądź należy się już z tem zawczasu liczyć, że pierwsza ewentalność posiada, niestety, wiele szans i że stoimy dziś może przed okresem najsroższych i najbezwzględniejszych antagonizmów rasowych i nacyonalnych, jakie Europa w ostatnich stuleciach widziała.

Jednym z typowych objawów tej epoki przełomowej jest przed niedawnem wyszłe 6-cio tomowe dzieło Artura Moellera van den Brucka „Niemcy,“¹⁾ na które z wielu względów należałoby zwrócić uwagę. Maluje ono bowiem niezmiernie dosadnie ów dokonywający się proces zaostrzania się stosunków i jest charakterystycznym dokumentem zdeklarowanego zwrotu ku imperyalizmowi niemieckiemu, opartemu na przedwczesnych wnioskach młodych jeszcze i nie zrównoważonych teoryj rasowych. Stanowisko Moellera van den Brucka, tembardziej jest niespodziane i dziwne, że jest najzupełniem przeciwieństwem tych idei i poglądów, które tenże autor przed 6-ciu laty w swem obszernem dziele „Die Moderne Literatur“ (wyszło w r. 1902 w nakładzie Schustera i Loefflera) wyraził. W „Die Moderne Literatur“ spotykamy się jeszcze przy rozbiorze i ocenie twórczości „młodych Niemiec“ z zupełnie umiarkowanym sądem. Nic nie wskazuje przyszłego głosiciela ewangelii bezwzględności rasowych. Pomiędzy 14-ma rozdziałami, obejmującymi około 800 stronic, jeden tylko zajmuje się wprost kwestyą odrębności nacyonalnej, a już sam tytuł jego „Die deutsche Nuance“ dowodzi, że odrębność ta traktowana jest jako odcień pośród odcieni, nie zaś jako absolut. Ale nawet i ten tytuł w stosunku do treści jest może jeszcze za silny. Autorowi chodzi bowiem prawie jedynie o zagadnienia stylu, o kwestye tak teoretycznie suche, jak poetyka Arno Holza i zastosowanie jej do twórczości poetyckiej. Stanowisko, które Moeller van den Bruck w swojej „Moderne Literatur“ zajmuje, możnaby raczej nazwać kosmopolitycznem, w sensie głoszonej przez Fryderyka Nietzschego „dobrej europejskości.“ Ton nacyonalny — o ile daje się słyszeć — dźwięczy delikatną nutą budzącej się właśnie wówczas poezyi „gleby ojczystej,“ znanej pod nazwą „Heimatkunst“ — jest odcieniem tylko. W owej poezyi gleby ojczystej, będącej raczej instynktownem przywiązaniem do ziemi i naturalistycznym wyra-

¹⁾ „Die Deutschen,“ Moeller van den Bruck, nakład J. C. C. Brunsas w Mindenie.

zem tych patryotycznych władz, które na dzień każdego, chociażby najskrajniejszego kosmopolityzmu, taić się muszą, starano się wówczas zamknąć cały obszar poezji nacyonalnej.

„Twórczość była zawsze jednaka—pisze w dziele tem Moeller van den Bruck (patrz rozdział V „Moderne Literatur“ Deutsche Nuance, str. 310)—zawsze jednakim podlegała prawom za wszystkich czasów u wszystkich narodów...“ A o dramacie Gerharta Hauptmana „Floryan Geyer,“ o tym najbardziej rzeczywiście nacyonalnym objawie nowoczesnej sztuki niemieckiej, o tym „Goetz'u“¹⁾ młodych Niemiec, ma głównie do zaznaczenia, „że tragedia ta chłopska i wojenna Hauptmana jest jego najbardziej według pewnych z góry powziętych zamiarów stworzonym dramatem“ i że postać Floryana Gejera „najpiękniej i najszlachetniej wyraża altruizm poety.“ Miało to wówczas miejsce, gdy tenże Moeller van den Bruck Przybyszewskiemu, jako poecie niemieckiemu, jako „jedynemu w młodych Niemczech, który przewyciężył wówczas naturalizm przez pogłębienie psychiczne,“ poświęca cały rozdział 6-ty „Mysterien“ swego dzieła. Stanowisko, które Moeller van den Bruck w swojej „Moderne Literatur“ zajmuje, odpowiada tradycjom klasycyzmu niemieckiego. Dźwięczą w niej echa Schillerowskich „Seid umschlungen Millionen,“ echa uniwersalizmu Goethowskiego wraz z jego ostatnimi konsekwencjami, z owym pod kloszem wyhodowanym kosmopolityzmem, który nawet Nietzsche uważał za jedną z głównych zalet narodu niemieckiego, za jego „starą i wypróbowaną cnotę,“ mogącą w walce z „szerzącym się a sztucznie wyhodowanym nacyonalizmem“ oddać Europie ważne usługi i pośredniczyć „w dziele stapienia się nacyj.“ (Patrz „Ludzkie to arcyłudzkie.“) Jest w niej słowem cały aparat myślowy ówczesnego internacyonalizmu, interesującego się przedewszystkiem zagadnieniami socyalnemi, biorącego rzeczy powierzchownie i ogólnie i dalekiego jeszcze od tego pogłębienia i tej korekty, jakimi pulsujące życiem idee nacyonalne byłyby w stanie go wzbogacić.

Zamiast korekty atoli i pogłębienia, doczekaliśmy się reakcyi i karykatury. Idea pośredniczenia w dziele „stapienia się nacyj“ zastąpiona została ideą pierwszeństwa rasy germańskiej. Na fundamencie tym wzniesiono kult narodu niemieckiego, jako „jedynego, zupełnie czystego, nieskażonego przymieszkami obcemi

¹⁾ „Goetz von Berlichingen,“ dramat młodego Goethego, który się stał monumentem okresu burzy i wrzenia.

szczepu germańskiego,“ powołanego do władzy nad światem. Od-mawiając innym szczepom krwi germańskiej prawa do tej władzy, zarzucając Anglii jej utylitaryzm, „hamujący wszelki rozwój,“ Austrii jej katolicyzm, Francji jej destruktywny sceptycyzm, będący „znamieniem nieuniknionego bankructwa,“ traktując zaś narody słowiańskie i Amerykę północną, jako, w najlepszym razie, potęgi przypuszczalne bardzo oddalonej przyszłości, z którą na razie rachować się nie potrzeba, jako materiał surowy, stara się nowożytny ten „nacyonalizm“ niemiecki wmówić w siebie, że państwo niemieckie jest jedynym pretendentem do hegemonii światowej i że hegemonia ta jest jedyną możliwą obecnie fazą dalszego rozwoju ludzkości. Zamiast zaś pełnego Schillerowskiego „Seid unschlungen Millionen,“ które Beethoven, jeden z największych synów Germanii, podniósł do iście religijnej potęgi wyrazu,¹⁾ głoszą nam dziś wilcze sentencje feldmarszałka pruskiego Moltkego: „Der ewige Friede ist ein Traum und nicht einmal ein schöner“ (Wieczny pokój jest mrzonką, bynajmniej piękną w dodatku), lub brutalne teorie polityczne żelaznego kanclerza. Stanowisko to zajmuje i Moeller van den Bruck w swoim ostatniem dziele „Niemcy.“ Zmiana frontu po 6-ciu latach jest tak kompletna i gwałtowna, że możnaby ją uważać za osobiste zboczenie, gdyby nie fakt, że jest ona wiernem odbiciem dokonywającego się dziś w Niemczech na wielu punktach przewrotu, ogarniającego przytem coraz szersze warstwy narodu i sięgającego równocześnie do sfer inteligencji.

Mimo swej błędności, mimo swoich krwiożerczych halucynacyj, mimo wbrew wszelkim ideom postępu i rozwoju rozpierającej się bezwzględności, której nawet przy pomocy całego aparatu darwinistycznego niepodobna byłoby uzasadnić naukowo, reakcja przeciw abstrakcyjnemu kosmopolityzmowi, będącemu częstokroć zupełnym indeferentyzmem i zinną bezwyznaniowością, jest w zasadzie zrozumiałą. Może właśnie my, jako naród, który w swym mesyanizmie przeżył najszlachetniejsze w dziejach nowożytnych pogłębienie idei nacyjalnej, moglibyśmy z czasem zagadnienie to w zgoła inny i lepszy sposób rozwiązać. Każdy naród posiada

¹⁾ IX-ta i ostatnia symfonia Beethovena kończy się chórami, w których hymn Schillera „do Radości,“ zawierający owe „Seid unschlungen Millionen,“ wspaniale, niby kopuła olbrzymia, wieńczy całokształt tego wiekopomnego dzieła.

swoją misję w dziejach ludzkości, każdemu snadź przeznaczone jest w pracy stuleci wziąć udział w dziele postępu. A praca ta, do której wszyscy jesteśmy powołani, może tylko przez naszą własną winę zostać zaniechana, za co później sami pokutować musimy. Nikt pozatem nie jest w stanie zabronić jej nam. Postulaty jej potężniejsze są niż rozkazy imperatorów, szczęk oręża lub grzmot armat. Szczególnie z korekty idei nacyonalnych, naszkicowanej przez Cypryana Norwida w epilogu do Promethidiona, możnaby zaczerpnąć niejedną wskazówkę, niejedną pobudkę do głębszego i pełniejszego zrozumienia doniosłości wszelkiego w prawdzie pojętego nacyonalizmu. Stoją tam zaraz na początku owe znamienne słowa, które możnaby dziś z równem prawem zastosować nie tylko do sztuki, ale do wszelkiej działalności kulturalnej: — „Każdy naród przychodzi *inną drogą* do uczestnictwa w sztuce; ile razy przychodzi też sama, co i drugie, to *nie on* do sztuki, ale sztuka *doń* przychodzi, i jest rośliną egzotyczną i nie ma tam miejsca na artystów...“ Już wówczas, bez teoryj rasowych, które dopiero terazniejszość w tak szerokiej mierze i nie bez szkodliwych zapędzeń stosuje do życia i sztuki, stara się Norwid myśl tę pierwotną znacznie jeszcze uwidocznic przez bardzo trafną, intuitywnie zgłębioną charakterystykę odrębności nacyonalnych, które są w blizkim związku z dorobkiem kulturalnym każdej nacyi (patrz Aforyzm III i IV-ty Promethidiona) i dochodzi w końcu do tak kryształowo-jasných konkluzyj, jak owa z aforyzmu V-go:

„Podnoszenie ludowych natchnień do potęgi, przenikającej i ogarniającej ludzkość całą — podnoszenie *ludowego* do *ludzkości*, nie przez stosowanie zewnętrzne i koncesye formalne, ale przez wewnętrzny rozwój dojrzałości...“ W słowach tych doniosłych zawarte jest urzeczywistnienie każdej prawdziwej kultury, a w uświadomieniu tych prawd leży wychowawcze znaczenie Norwida.

*

*

*

Narody, posiadające swoją misję kulturalną, posiadają też swoje obowiązki, których zaniechanie może się dla nich stać męką wieków, a poniekąd nawet zgubą. Rzeczą olbrzymiej donio-

słości jest uświadomienie sobie tej misyi. Moeller van den Bruck szuka tych uświadomień i, o ile chodzi o dzieje przeszłe narodu niemieckiego, znajduje je. Tam jednakże, gdzie trzeba, patrząc na ruchome fale terażniejszości, odgadywać kształty rzeczy przyszlých, a prawie nieuchwytnych, wzrok jego zamglony krwawemi oparami afektów dnia, oślepiiony połyskiem fałszywych celów, traci swą zdolność dewinacyjną. Ciekawa jest, bądź co bądź, teoretyczna strona dzieła jego, objaśniającego kształty kultury narodowej nie tylko przez klimatyczne, lokalne i fizyologiczne warunki, ale wspierając się na teoriach zwolenników kultu bohaterskiego, przez działalność jednostek, a te znów na zasadzie teoryj rasowych przez odrębności i właściwości rasowe i nacyonalne, szukając przytem w końcu łączników pomiędzy rasami i nacyami a siłami kosmicznemi.

Pierwszą misją dziejową ludów germańskich było przejście od rozpadającej się Romy dorobku kultury klasycznej wraz ze światłem młodej idei chrześcijańskiej. Forma zaś, w jakiej ludy germańskie byłyby jedynie mogły misję tę urzeczywistnić, musiała być naturalnie formą oryginalną. Zarysy jej leżą w potężnych eposeach germańskich, jak Edda, Niebelungi. Po nieudanej próbie zjednoczenia na wyjałowionym już gruncie kultury rzymskiej klasycyzmu i chrystyanizmu, zadanie to musiało przypaść jednej z młodych ras, które na gruzach rzymskiego imperyum zatknęły swe zwycięskie sztandary. Zadanie było olbrzymie, a barbarzyńskie rasy jeszcze za mało utwierdzone w swym młodym światopoglądzie, aby je urzeczywistnić. I oto widzimy, jak ci barbarzyńcy, których oręż posiadał taką potęgę, że w proch starł państwo świata, uginają swe twarde karki pod jarzmo lśniące kultury obcej, która w końcu tryumfuje, obdarzając je jadem swoich szat nesusowych. W walce z samymi sobą, z własnemi instynktami, pod fatalnem brzemieniem stygmatu—że się tak po Norwidowsku wyrażę—przejętego od próchniejącego imperyum, narody te przez wieki trawią swe młode siły, giną, wyrodnieją, wyzbywają się swej świeżości źródlanej, zatracają misję swoją — stają się problematycznemi. Tak giną państwa Longobardów i Gotów, tak Frankowie przekształcają się w naród o cechach wybitnie łacińskich. Może jedynie Anglo-sasi, dzięki swemu odosobnieniu na trudno dostępnej wyspie, przewyciężają najlepiej wpływ starego świata i zachowują narówni z narodami skandynawskimi swą oryginalność. Najtragiczniej przedstawia się walka Niemców z niebezpieczną puścizną świata starożytnego. Niemcy, jako naród powstały ze szczepów frankońskich, alemańskich, bajuwarskich,

turyngskich, saksońskich i fryzkich—z dość silną jednakże domieszką elementu słowiańskiego — tej najmłodszej rasy europejskiej, której rola ogranicza się na razie w onych czasach powstającej Europy na stanowisku odpornem, stają się w średniowieczu przedstawicielami walki germańskiej o światopogląd nowy. W uniwersalnej polityce cesarzów niemieckich od Karola Wielkiego do Fryderyka II, tego najszcześliwszego monarchy z dynastji Stauffenów, do zupełnie już zlatynizowanego Habsburga Karola V, można też z łatwością spostrzedz silne podobieństwo do polityki Romy. Przystępując do puścizny Rzymu, przyswajają sobie ludy niemieckie przedewszystkiem jej formy zewnętrzne. W tem jednakże, że proces ten nie idzie ręka w rękę z rozwojem kultury nacyonalnej i że naród pozostaje w swem przez obcą mu a wyższą kulturę zatrutem barbarzyństwem, gdy kierownicy jego biorą na siebie rolę imperatorów świata, leży tragizm dziejowy, leży problematyka nacyonalna narodu niemieckiego. Ze źródła tego, z tego braku kultury nacyonalnej płynie rozterka i niemoc ówczesnego państwa niemieckiego, płyną zawody, które czekały wszystkich genialnych i śmiałych władców, pragnących urzeczywistnić marzenie o imperyum rzymsko-germańskiem, a niemających w narodzie własnym pewnego gruntu pod nogami, ze źródła tego płyną owe stulecia poszarpania, niezgody wewnętrznej, strasznej decentralizacji i anarchii, które doprowadziły w końcu naród niemiecki na kraj przepaści, a nazwę „Niemiec“ zrobiły pośmiewiskiem ludów — wcieleniem wszystkiego, co niepewne, zbląkane, bezwyznaniowe, przyziemne i przedajne. W tej to roli szczególnie dali się Niemcy poznać Słowianom. Stąd też pogarda słowiańska dla wszystkiego, co niemieckie, bierze początek i uzasadnienie. Brak dojrzałości wewnętrznej przy aspiracjach misji światowej — oto przyczyna główna wiekowej niemocy niemieckiej. Bez kultury wewnętrznej żaden naród nie jest w stanie dorosć do przeznaczenia swego, składając ofiary cudzym bogom, stajemy się samobójcami własnej przyszłości. Kto chce dalszych uzasadnień, ten niech czyta księgi starego testamentu, które są jakby jedną epopeją, zawierającą prawdy te po tysiącokroć powtórzone i wcielone. Każda kultura może się jedynie organicznie rozwijać bez względu na to, skąd czerpie swój pokarm. Szczątki starych, przeżytych kultur mogą i powinny nawet wejść w skład jej organizmu, lecz nie one stanowią o jego przyszłości i charakterze. W głębi duszy narodu drzemią te siły i prawa, które znajdują się w tajemniczym związku z jego misją history-

czną — że tak nazwę owo niedostatecznie jeszcze wytłómaczone następstwo narodów i ras w dziejach świata.

Zwrócił na ważność tego punktu już i Norwid uwagę we wspaniałym aforyzmie VI-tym swego Epilogu do Promethidiona. Część tego aforyzmu uważam tutaj dla wielu względów za pozytywne powtórzyć. „Zdawałoby się — pisze Norwid — iż człowiek z ziemi żywotności zasób wyciągając, obowiązany jest ją podnieść i uświęcić godnością idealizacji twórczej... Narody, które przepomniały onego-to ziemi podnoszenia, nie postawiwszy sztuki swojej, a tem samem nie wywiązawszy z niej łańcucha rzemiosł i rękodzieł, albo byt realny utraciły, albo *praca* u nich, z *pracą ducha* żadnego nienając połączenia, jest tylko konieczną fatalnością i pokutą pewnej warstwy ludu, który, *drogą ręcznej pracy* zdobywając nawet wewnętrzne ukształcenie, coraz myśli naturą musi się odsuwać od tej drugiej, *duchowo tylko* pracującej wyższej warstwy narodu. Bo inna jest treść myśli, *pracy ręcznej drogą otrzymana*, inna *samem myśleniem*... kończy się więc na tem, że odstrzelona myśl od związku stopniowego z pracami, w chwilach trudnych powraca do onej-to ludowej inteligencji i rozumu chłopskiego, albo motywów ludowych, albo przysłów, albo legend i pieśni i tradycyji technicznych nawet szuka... Często — już jest zapóźno!... Wtedy kość pacierzowa z mleczem swoim, łączającą całość pracy w narodzie, rozpada się... na wspomnienia *przeszłości* i utęsknienia do *przyszłości*!...

„Pomiędzy *przeszłością* a *przyszłością* otwiera się próżnia rozpacziwa... W tej próżni zrodzone pokolenie — między *przeszłością* a *przyszłością* niezłączonemi niczem — czemże w rzeczywistości ma pozostać?... aniołem, co przelata — upiorem, co przewiewa — zniechęcałem *niczem*... męczennikiem... Hamletem...“

Rozszerzając to, co tutaj Norwid przez słowo „ziemia“ wyraża, do rozmiarów: „rasa, naród,“ będziemy mogli myśl jego z pożytkiem zastosować do terażniejszości.

*

*

*

Przeciw znikczemnieniu i rozterce powstają z łona narodu męże, których duchy niezmacone i czyste, umiejące patrzeć w głąb przeznaczeń, znają ów łącznik pomiędzy przeszłością i przy-

szłością narodową. Oni to w chwilach ciężkich, bez wyjścia niemal, gdy wszystko zdaje się grozić unicestwieniem, biorą na siebie pracę za miliony i w dziełach swych, w swoich czynach i słowach wznoszą drogowskazy na daleką metę widome i świadczące przez stulecia. Praca ich, choćby niejednolita, przerywana przez wydarzenia, będące w związku z niepewnością naszej doczesności, choćby nawet poszarpana i fragmentarna, stwarza coraz to nowe możliwości odrodzeń, ku lepszej przyszłości nieustannie wskazuje i łączy nas, jakby girlandą jednolitą z mytami naszej przeszłości, w których przechowane są runy naszych przeznaczeń dziejowych. Takich mężów posiadał i naród niemiecki w długiej swej tragedii dziejowej. Oni to za Stauffenów stworzyli kulturę i poezję rycerską, dając poraz pierwszy w takich dziełach, jak Parsywal, jak liryka Waltera von der Vogelweide, wyraz germańsko-chrześcijańskiemu światopoglądowi, oni to w mistyce mistrza Ekehartha i Jakóba Boehmego znaleźli pogodzenie doczesności i wieczności, a w gotyckich тумach wyraz widomy swojej nowej wiary, oni to, gdy reakcja świata starożytnego zalała Europę, szukali w naturalizmie Dürerów i Rembrandtów (Rembrandta, pomimo pochodzenia holenderskiego, zaliczyć musimy do umysłów o cechach germańskich) nowych urzeczywistnień germańsko-chrześcijańskoklasycznych, a w Lutrze bardziej niezależnego stanowiska względem Rzymu papieskiego.¹⁾

Oni to w końcu, gdy ostatni cień państwa niemieckiego na modłę imperyum rzymskiego został rozproszony, a poszarpane i bezsilne państewka i państwa niemieckie przedstawiały jedynie smutne świadectwo tej tragicznej mrzonki i tego, jak przypuszczać można było, ostatecznego bankructwa niemieckiego wobec swej misji dziejowej,—w muzyce, poezji i filozofii niemieckiej po raz wtóry podejmują się tej misji. I rzeczywiście w twórczości Bacha, Beethovena, Wagnera, Leibnitza, Kanta, Fechnera, Goethego i Schillera osiągnięte zostało to, czego wieki polityki niemieckiej, silącej się nadaremnie być uniwersalną nie zdołały urzeczywistnić. Tych ośmiu mężów, będących największą chlubą narodu niemiec-

¹⁾••Pomijając w zupełności kwestyę herezyi protestanckiej i historję następnego skamienienia jej w płaskim kwiatyzmie i jednostronnym melancholizmie, należy Lutra, jako patryotę niemieckiego, jako jednego z wybitnych inicjatorów samodzielności narodowej, jako wskrzesiciela mowy niemieckiej, zaliczyć do postaci pełnych znaczenia w dziejach narodu niemieckiego.

kiego, wzniosło fundamenty, na których po raz wtóry można było budować gmach kultury niemieckiej. Ale, rzecz godna uwagi, z chwilą gdy polityce i orężowi niemieckiemu udało się wreszcie stworzyć dla kultury tej odpowiednie łożysko polityczne, gdy oddawna upragnione i utęsknione zjednoczenie ludów niemieckich stało się rzeczywistością, zmartwychwstało i widmo Imperyum, zmartwychwstała znów krwawa wizya Romy, obudziły się żądze nieograniczonego panowładztwa, żądze które młode i silne ludy niemieckie raz już na kraj przepaści zawiodły. Że w dzisiejszem państwie niemieckiem idea Romy znów przeważać poczyna, a zadania kulturalne (przynajmniej ze strony oficjalnej rzecz się tak ma) usuwane zostają na drugi plan nie ulega wątpliwości. Leży w tem już dziś jakaś fatalność dziejowa dla Niemiec, ale zarazem i wielkie niebezpieczeństwo dla pomyślnego rozwoju Europy. Roma bowiem nie może dziś być naszym ideałem. Cały rozwój nasz, polegający na coraz silniej zarysowującym się indywidualizmie ras, nacyj i jednostek jest przeciwko niej. Nawet tak niepospolity wódz i władca, jak Napoleon I (znał on coprawda tę tendencję ras i narodów Europy), nie potrafił się przeciwko niej utrzymać. Ideał Romy przeżył się już. Wolno mu może jeszcze pod kolonialno-komercyjną metamorfozą imperyum angielskiego egzystować do czasu, ale na warunkach już zgoła innych i nie bez względu na wolności ludów niezbędnych koncesyj. Roma, jako przyszłość Europy, byłaby potwornością, podeptaniem praw rozwoju ludzkości, ślepem szaleństwem, chorobliwą manią, która prędzej czy później skończyć się musi kompletnem bankructwem, miażdżąc pod swemi gruzami tych, którzy mianować się będą jej przedstawicielami. A czemżeż innem jest dzisiejszy kult imperyalistyczno-germanistyczny w Niemczech, jeżeli nie tendencją stworzenia Romy niemieckiej, wzniesienia nowego bezpardonowego vae victis i postawienia z całą bezwzględnością buta pruskiego na karku Europy.

Daje to bądź co bądź wiele do myślenia, jeżeli nawet nie polityk, ale krytyk—t. j. człowiek, który powinien szukać prawd i niweczyć przesady—w dziele, poświęconem specjalnie młodzieży niemieckiej, (na tytułowych kartach bowiem dzieła „Die Deutschen“ stoi ta dedykacya) wyciąga w końcu konkluzye podobne do następującej:

„Das Ende einer Wirkung Goethes wird hoffentlich dereinst sein, dass sie die Menschen nicht zu lauter Goethes, wohl aber zu Deutschen gemacht hat.“ (patrz tom VI, str. 9).

(Ostatecznym rezultatem wpływu Goethego będzie, miejmy nadzieję, przekształcenie ludzi nie na Goethych naturalnie, ale na Niemców).

Jakżeż inaczej brzmią prawdy takich Goethych, Beethovów, Kantów, Schillerów, Fechnerów, Wagnerów i Leibnitzów. Czyż wielkość ich nie polega właśnie na tem, że obalają podstawy podobnych przesądów, torując drogę dla szerszej, wolniejszej, jaśniejszej przyszłości, w której nacye i rasy nie będą odgrywały roli rekinów kaleczących i pożerających się wzajemnie, walki zaś będą rywalizacją, a nie gwałtem.

*

*

*

Czy pisząc historję ewolucyj duchowych narodu można ograniczyć się do analizy i charakterystyki jednostek wybitnych, będących wyrazicielami swego czasu i skupiających w sobie tendencye swojej epoki? Zdaje się, że tak. Otrzymać można w ten sposób przez skrócenia perspektywiczne w każdym razie niezwykle wyraziste zarysy. Brak im zawsze będzie chronologicznej ciągłości dzieł historycznych, brak im będzie faktycznej dokładności, działać jednakże będą o wiele silniej niż historia tą wyrazistością właśnie, tą sugestywną potęgą, jaka wieje od wielkich postaci. Pod tym względem więc plan dzieła van den Bruck'a można uznać za szczęśliwy. Przez podział duchów na grupy i charakterystykę każdej z tych grup zyskujemy dość wyraźny zarys praw twórczości ludzkiej, a na tle tem o wiele lepiej uwydatnia się wszelka odrębność nacyonalna i rasowa i indywidualna. Doznajemy przytem uczucia, podobnego do wrażenia jakie przeżywa słuchacz symfonii, uprzytomniając sobie zasadnicze motywy dzieła i zestawiając je w myśli z sobą tak, że duchowy całokształt dzieła naraz jasno i dokładnie zarysowuje się w jego wyobraźni zdumionej. Boć i w dziejach narodów kryją się pod powierzchnią wydarzeń politycznych i socyalnych, wijących się arabeską najprzeróżniejszych waryacyj, owe odwieczne, nieustannie powracające prarytmy,

„co niejedną skazą
poryte w nas leżą, jak w sercu skały,“

owe runy mytów rasy, w których zawarte są tajemnice narodowych przeznaczeń.

Ponieważ w zwierciadle tem, które narodowi swemu podaje Moeller van den Bruck sami się poniekąd przejrzyć możemy, ponieważ przejrzenie się to powinnyby wzmocnić w nas przeświadczenie, jakim skarbem narodu są jego tradycje i siły twórcze, jaką ostoją, jakim fundamentem samodzielnosci i niezależności jest do wyrazu kultury spotęgowana oryginalność narodowa, opłaci się pójść dalej za autorem, unikając naturalnie jego zapędów imperialistycznych i korygując wszędzie, gdzie potrzeba, jego stronność lub zaślepienie. Nieustanne uświadamianie sobie tego doniosłego znaczenia kultury narodowej, wbrew wszelkim zapewnieniom umysłów utylitarnych, wierzących jedynie w namacalną praktyczność i traktujących wszelkie objawy kultury i sztuki, o ile nie znajdują odrazu zastosowania praktycznego, jako niepotrzebny zbytek, na który sobie jedynie narody bogate i zwycięskie pozwolić mogą, ciągle uświadamianie to jest wielce pożytecznym, że wspomnę tutaj dla przykładu słowa Novalisa, pisane w chwili ciężkich upokorzeń politycznych i beznadziejnego poszarpania Niemiec (we „Fragmentach“ Novalisa):

„Niemcy wyprzedzają wolnym ale pewnym krokiem inne europejskie narody. Podczas gdy te zajęte są wojnami, spekulacją i partyjnemi sporami, przygotowuje się Niemiec z całą pilnością na członka wyższego okresu kultury, a wyprzedzając w ten sposób inne narody, musi z biegiem czasu zyskać ogromną przewagę.“ Słowa te posiadają swoją wartość ogólną, dającą się wielorako stosować w życiu i pracy każdego dążącego naprzód narodu.

Przodownikami walczącymi o zdobycie kultury są zawsze jednostki. Naród opornie i opieszale idzie w ich ślady, a zanin idea, która w wizji geniusza lśniła tęczowemi blaski urzeczywistnienia, zostanie zrealizowana na ziemi, wpływają niekiedy stulecia. Koniecznością dziejową jest jednakże, aby *została* zrealizowana, prędzej czy później, w ten lub inny sposób, przez ów lub przez inny naród. Tak to myśli, które na gołębich skrzydłach nadlatują, mają moc kształtowania i przetwarzania świata. Ale duchy, które myśli te snują, mogą być bardzo różnego rodzaju, tak jak wielorakie są zadania, oczekujące tutaj na ziemi swego urzeczywistnienia. Są duchy, które tworzą, są i takie, które obalają, są takie, które wróżą i wieszczą i takie, które głębie orficzne zwiastują. Moeller van den Bruck dzieli je w dziele swoim na sześć grup, na umysły problematyczne, wódzce, gubiące się w marze-

niach, rozstrzygające, kształtujące i uniwersalne. Podział ten, któremu odpowiada podział dzieła na sześć tomów, jest w ogólnych zarysach trafny, o ile wyłączymy grupę umysłów, gubiących się według mniemania autora w marzeniach. Definicja ta nie jest ścisła i nie odpowiada istocie rzeczy. Przyjrzyjmy się podziałowi temu bliżej.

Historia ludzkości jest historią jej problemów. Historia sztuki jest historią najwyższych problemów ludzkości. (Stąd też olbrzymia doniosłość sztuki). Mrocznym oceanom nieświadomości, otaczającym nas zewsząd, musimy z narażeniem własnego bytu wrywać odpowiedzi, bez których obycie się niepodobna, każdy świeży błysk nowych myśli wymaga całego pasma cierpień i ofiar; tak to na drodze skalistej wskazanej przez Prometeusza, ojca wszelkiej problematyki, dążymy ku urzeczywistnieniom. Problematyczność jednostki atoli nie jest zależna od zagadnień zewnętrznych, leży ona przygotowana w niej samej, jest jakby darem złych wieszczek złożonym już do kolebki, przeznaczeniem równie zagadkowym jak genialność. Że i masa jemu podlega, widzimy ze statystyki pijaństw, zbrodni i obłędu, które są do pewnego stopnia problematyką człowieka prostego. Wartościową może być jedynie problematyka jednostki wyższej, walczącej ze swem przeznaczeniem, czego najwyższym i najpiękniejszym przykładem są bohaterzy tragedii greckiej. Na tle takiej problematyczności czystej uwydatniają się problemy ogólnoludzkie z tragiczną wyrazistością. Jednostka w końcu ginie, ale wciela przedtem, jakby w kształt widomy, bądź to w życie własne, bądź to w dzieła swoje ów problem, na który ludzkość w końcu znaleźć musi odpowiedź. Psychologowie dzisiejsi utrzymują, że myśl pierwsza powstać musiała tam, gdzie mechaniczne funkcje cielesne natrafiły na przeszkodę. Organizm zatrzymany w swej naturalnej i „bezmysłnej“ (bo mechanicznej, odruchowej, rozumiejącej się samej przez się) czynności, poznaje z przerażeniem myślność swych rachub, staje się chociażby tylko na pewien czas problematycznym. Ileż jednakże organizmów zginąć, przepaść musiało, zanim nareszcie zabłysła pierwsza jasna świadomość myślenia, ileż rozpacz, szalu, przerażenia przeżyć musiał człowiek, zanim się nauczył mówić, myśleć, tworzyć, zanim się stał ucywilizowanym członkiem ucywilizowanego świata. Kultura ludzka wznosi się na olbrzymich stosach milionowych ofiar, do których każde nowe pokolenie dołącza swe hekatombę. Problematyczność jest więc ostatecznie udziałem każdego człowieka, rozciąga się na wszystkie dziedziny działalności ludzkiej, a więc i na nacjonalną. Od losów

narodu, którego jesteśmy dziećmi i od przestrzeni, która dzieli go od urzeczywistnienia przeznaczeń nacyonalnych, będących zawsze kulturą narodową, zależeć będzie do pewnego stopnia, jakim krokiem iść będziemy przez życie. Leży w tem uświadomieniu zarazem i pociecha, że cierpienia nasze nie są bezowocne i że pozostając nawet w stadyum problematyczności, t. j. nie znalazłszy punktu wyjścia, przyczyniamy się jednakowoż do znalezienia odpowiedzi, jako żyjące pytania, na które prędzej lub później odpowiedź przyjść musi. Gdyż jedynie stępienie uczuć, czy to przez przekarmienie, czy też przez upodlenie jest zupełnie jałowe.

Problematykę można w dwojaki sposób przewyciężyć: przez dogmat lub przez monument. Umysły bardziej zbliżone do powierzchni dnia, silniej reagujące na wydarzenia zewnętrzne szukać będą zawsze pierwszego rozwiązania. Są to prorocy, głosiciele imperatywów, którzy wypowiadają myśli dnia dotychczas jeszcze niewypowiedziane, którzy wysławiają żyjące już pokryjому w sercach współbraci uczucia. Są to umysły wódzce, którym ludzkość oddaje berło rządów nad duszami mas.

Oni to wiedą naród swój na pola bitew i na pola pracy. Myśli ich tętnią rytmem rozkazu i znajdują oddźwięk wielokrotny, słowa ich brzmią, jak głos śpiżu, uczucia ich stają się pochodniami. Ale jak taki dogmat, który jest jedynie czasowem dopasowaniem się ducha ludzkiego do terażniejszości, tak i wpływ tych umysłów jest przejściowy. Dogmaty oswobadzają i wiążą! Oswobadzają w nas energie życiowe, energie czynu, ale krępują wrażliwość fantazyi twórczej, krępują instynkta dla rzeczy przyszłych. Dlatego potrzebne nam są, obok umysłów twórczych, umysły krytyczne (Moeller van den Bruck nazywa je umysłami rozstrzygającami). Umysły krytyczne dokonywują korektę dogmatów, usuwając z nich wszystko, co przestarzałe, przypadkowe, mierząc miarą przeszłości i przyszłości to, co potrzeby terażniejszości zrodziły, i pośrednicząc pomiędzy tem, co jest, a tem, co ma być.

Głębiej, niż umysły twórcze, sięgają umysły kształtujące — monumentalne. Są one zarówno blizkie ziemi i terażniejszości, jak tamte; zdolność ich odczuwania, pojmowania, wchłaniania w siebie tętna terażniejszości jest olbrzymia, równocześnie jednakże świadomość ich sięga daleko w głąb mytów przeszłości, a wyobrażenia wznosi się ku wyżynom przeczuc najwyższych. One to tworzą z połączenia rzeczywistości i marzenia nowy kształt. Dzieła ich — to pomniki, o które złość, czas, znikomość rzeczy ludzkich biją nadaremnie. Świadcstwo ich wieki trwa — jest widomym kształtem duszy narodowej, obietnicą kultury nacyonalnej, przez

którą naród spełnia swe przeznaczenie dziejowe, wzbogacając swemi zdobyczami panteon ludzkości. Umysły kształtujące są ową cenną drużyną, z której powstają w końcu na najwyższych szczeblach kultury narodowej duchy uniwersalne, owi reprezentanci rodu ludzkiego (że użyję tego trafnego określenia Emersona), którzy jednoczą w sobie zdobywcze stuleci i stuleciom za wzór najwyższy służą. Uniwersalizm ich jest wyrazem ich najwyższej dojrzałości nacyonalnej.

Zupełnie wyłączone stanowisko zajmują umysły marzycielskie (Moeller-Bruck zdaje się ich nie uznawać, skoro pisze jedynie o umysłach, „gubiących się w marzeniach“—„*verschwärmt*“). Mogłyby one na pozór uchodzić za zaprzeczenie życia—rzeczywistości, świat bowiem, którego są przedstawicielami, nie da się ująć słowami, gdyż nie posiada kształtów, odpowiadających naszemu pojęciu o kształcie. Zbliżyć się doń możemy tylko w przenośniach. Mimo to wypełnia on byt cały, ogarnia i przenika zarówno jednostki, jak narody—ludzkość i wszechświat. Poza obrębem kultury, polityki, rasy ciągną się szlaki tych duchów w bezgraniczne dale mistyki. Prawdy ich, jak źródła, tryskające z łona wieczności, niezienne, kryształowo-jasne i czyste, odzwierciedlają jedność bytu, istniejącą poza kategoriami ludzkich pojęć, a dostępną jedynie jednostce w chwilach zupełnego pogrążenia się, zupełnego zjednoczenia się z duchem wszechrzeczy. Ludzkość czerpie u źródeł tych myty swe, swoją religię i metafizykę, swoje symbole i natchnienia. W falach tych kryształowych odnładza się duch ludzki, wzbierają nowe siły wódzce, poczynają się nowe urzeczywistnienia. Umysły problematyczne gubią się w nich w orgiastycznym zachwycie, umysły wódzce czerpią z nich fanatyczną moc swoich wierzeń, umysły monumentalne przeglądają się w nich, jak w zwierciadle, zatapiając w nie złote sieci swoich bajecznych niewodów, a nawet duchy krytyczne stają przed nimi pełne podziwu, jako przed ostateczną granicą wszelkiego kryterium, poza którą i dla nich rozpoczyna się absolut, wirowanie sił niepojętych, rytm wszechbytu, wielka, majestatyczna—tajemnica.

*

*

*

Przyjrzyjmy się bliżej, rozpatrując krytycznie wskazówki Moellera van den Brucka, historii ewolucyj duchowych naszego zachodniego sąsiada. Uświadomienia podobne posiadają swoją wartość. Pod mieniącą się bowiem powłoką polityki dnia, działają siły i potęgi ukryte, których inaczej poznać niepodobna, a które posiadają moc kierowania losami narodu.

Problematyka Niemców—owo wiekowe rozstrzelanie, decentralizacja i bezsilność spowodowane zostały stanowiskiem, jakie ludy niemieckie zajęły wobec puścizny Romy. Problematyka ta, dzięki pracy, geniuszowi i poświęceniu wybitnych mężów, którzy, mimo ciężkich warunków zewnętrznych, stworzyli w muzyce, filozofii i poezji—podstawy duchowej kultury wszechniemieckiej, została w końcu przewyciężona, a powodzenie oręża otworzyło nowe tory rozwoju. Na tej nowej drodze powstała atoli dla Niemców nowa możliwość stania się problematycznymi, jako naród — przez imperyalizm niemiecki. Nowego tego niebezpieczeństwa podobni Moellerowi van den Bruckowi, a stanowią oni zawsze większość, nie widzą. Jest to zresztą rzeczą wiadomą i wielokrotnie stwierdzoną, że najtrudniej jest poznać własne ułomności; pod tym względem narody nie różnią się bynajmniej od jednostek: — i one gotowe są zawsze ukamienować tych, którzy ośmielają się otwierać im oczy, a oklaskami sutemi darzą głoszących tanie apoteozy.

Problematyczne okresy egzystencji narodowej utrudniają powstawanie dzieł wiekopomnych, leży to już w naturze wydarzeń i życia narodowego, że nie pozwalają jednostkom wybitnym koncentrować się w jednym kierunku, zmuszając je do pracowania lub myślenia jednocześnie na wielu polach działalności nacyjalnej. Problematyczność ta jednak, którą umysły wielkie, zrównoważone, w końcu zawsze przewyciężają, tworząc dzieła monumentalne, wyrzuca umysły genialne chociażby, ale nie zrównoważone z kolei życiowych i czyni je w dwójnasób problematycznymi. Nazwiska takich problematyków nie przechowują się zazwyczaj długo w pamięci wieków, tak, jak historia cywilizacji na przykład nie przechowuje nazwisk tych wszystkich, którzy próbowali zrobić odkrycie, ale tych, którzy je rzeczywiście zrobili. Dlatego też interesują nas jedynie problematycy, których problematyczność posiadać musi jeszcze dla terażniejszości swoje znaczenie, których problemy dotychczas jeszcze nie zostały zupełnie rozwiązane. Moeller van den Bruck wylicza w dziele swoim siedmiu tylko problematyków: Günthera (1695—1723), Lenza (1751—

1792), Maksymiliana Klingera (1752—1831), Grabbe (1801—1836), Büchnera (1813—37), Hermana Conradi (1860—92) i Piotra Hille (1854—1904). Można by szereg ten uzupełnić takimi zazwiskami, jak Novalis, Hölderlin, Kleist, Hebbel, Grillparzer, Heine, Lennau, Maks Stirner (poprzednik Nietzschego), z których pierwszych dwóch autor niesłusznie zalicza do grupy mistyków, ostatnich sześciu zaś wcale nie wymienia.

Z liczby problematyków, przytoczonych w dziele Moellera van den Brucka, zasługują na szczególną uwagę: Günther, Grabbe i Conradi. Poeta Reinhold Lenz, nieszczęśliwy rywal i towarzysz Goethego, którego idee wcielone zostały po części przez tegoż Goethego, po części przez Gerharta Hauptmanna, i Maksymilian Klinger, poeta i późniejszy generał rosyjski, ów, obok Lenza, drugi wybitny problematyk okresu burzy i wrzenia, którego postać patetyczną zakryła o wiele szlachetniejsza i czystsza patetyczność Schillera—nie mają nam już dziś nic do powiedzenia. A dziennikarz-poeta Jerzy Büchner, poprzednik rewolucyjny r. 1848 i Piotr Hille, ów napoły mag, napoły włóczęga, którego postać fantastyczną można było jeszcze niedawno spotkać w uboższych dzielnicach Berlina (umarł bowiem w r. 1904), są zanedo bładami postaciami, aby warto było poświęcić im więcej czasu. Problematykę Niemca przedstawiają w wyrazistych zarysach Günther, Grabbe i Conradi. Obejmuje ona całą skalę odcieni pomiędzy Falstaffem a Hamletem. Najpotężniejszą postacią problematyki Niemca jest zapewne łączący w sobie Falstafa i Hamleta napoleonida Grabbe, którego dramaty posiadają niejedną cechę prawdziwej genialności. Günther, ów o silnem zabarwieniu falstaffowskiem niemiecki Verlaine, a prędzej może jeszcze niemiecki Villon z okresu wyczerpania po wojnie 30-toletniej, którego śpiewne poezye przypominają najbardziej lirykę Goethego lub Delmela (z ostatniego okresu), jest zato może najbardziej typowym wyrazem problematyki niemieckiej, która w zupełnie podobny sposób objawia się w życiu wielu wybitnych Niemców u Goethego, Lessinga, Theophrasta Paracelsyusza, np. Herman Conradi znów wykazuje, pomimo swej w gruncie zupełnie germańskiej natury, nie dające się zaprzeczyć zabarwienia słowiańskie. Fakt ten tembardziej zasługuje na uwagę, że w Conradim właśnie mamy przed sobą pierwszego problematyka z okresu po wojnie francusko-niemieckiej, z tegoż samego okresu, w którym wpływ poetów rosyjskich, przedewszystkiem naturalnie Dostojewskiego, odgrywa rolę wybitną i z okresu, który poprzedza debiut Stanisława Przybyszewskiego w Niemczech. Równocześnie mamy w Conradim pierw-

szego psychologa problematyki, szkicującego pierwsze zarysy problematologii. Problematologia ta, gdyby moloch wielkomięjski i rozpaczliwe orgie zmysłowe nie były przedwcześnie starły w proch energii młodego poety, mogła być stać się gigantomachią wszelkich wartości kulturalnych i czeka jeszcze do dziś dnia na swojego mistrza, dla którego fragmenty twórczości Conrادية będą w każdym razie ważnym i pożytecznym dokumentem.

*

*

*

Do duchów twórczych narodu niemieckiego zalicza Moeller van den Bruck humanistę Ulrycha Huttena, Marcina Lutra, elektora pruskiego Fryderyka Wilhelma, Fryderyka Schillera, Bismarcka i Nietzschego. Można by pozatem podzielić umysły te na dwie grupy: patryotyczno-polityczną i etyczną. Do pierwszej należałyby zaliczyć Huttena, elektora pruskiego Fryderyka Wilhelma i Bismarcka (elektor i Bismarck są pozatem jeszcze wyrazicielami dogmatów polityki pruskiej); do drugiej grupy należą Luter, Schiller i Nietzsche. Łączy ich wszystkich jeden rys wspólny—dążenie do wolności indywidualnej. W obu dziedzinach dążność ta przekracza w końcu granice naturalnego rozwoju i czy to w bezwzględności Bismarckowej, czy też w szale Nietzscheańskim „nichts ist wahr, alles ist erlaubt“ staje się zaprzeczeniem własnym. Tendencji tej odpowiada w naszych dziejach rozwój, którego politycznym wyrazem jest konstytucja 3-go maja, duchowym zaś wzniosły indywidualizm Mickiewicza, indywidualizm, który sięga już skrzydłami swemi w brzaski nowego poranku—kto wie, czy nie poranku dziejowego ludów słowiańskich. Indywidualizm niemiecki jest ciężki i szorstki, więcej w nim ziemi niż nieba, więcej hardości niż natchnienia, więcej bohaterstwa niż synostwa Bożego, ale zato i więcej realizacji ziemskiej na razie. Wytrwałość i bezwzględność łączą się w nim i przeplatają nieustannie. Często jednakże bezwzględność przeważa. Warto by z tego stanowiska przyjrzeć się uważniej modnej dziś bezwzględności à la Nietzsche, którą zaczynają w Niemczech np. coraz bardziej stosować do doktryn politycznych, socjalnych i do teoryj rasowych przedewszystkiem. Dość sztucznie skonstruowana teoria Nietzsche-

go podwójnej moralności: moralności władców i niewolników, jest np. jednym z najlubieńszych tematów dzisiejszych apostołów hegemonii światowej rasy germańskiej. „Silne jednostki rzucały się na słabe“ — pisał prorok indywidualizmu Nietzsche. „Silne rasy rzucają się na słabsze“ — wnioskuje teoretycy rasowi i biją z zachwytem ludożerców w tarczę imperyalizmu. Na punkcie tym powinna być nareszcie dokonana rewizya ideałów Nietzschego w duchu Beethovenowskim. Będzie to jednakże dopiero w całej pełni wtedy możliwe, gdy publikacye treści biograficznej, korygujące mocno zretuszowaną, a do dziś dnia miarodajną biografię Nietzschego, napisaną przez siostrę filozofa-poety Elżbietę Förster-Nietzsche, dostarczą dość materiału, nadającego się do tak zasadniczych przeszacowywań. Jedna z bardzo ważnych takich korekt wychodzi obecnie w nakładzie Eugeniusza Diederichsa pod redakcją utalentowanego poety szwajcarskiego Karola Albrechta Bernouilli, pomimo protestów i procesów ze strony archiwum Nietzschego, któremu publikacya zdaje się być bardzo nie na rękę. Zawiera ona przedewszystkiem poniędzy innemi ogromnie cenny materiał, zebrany przez profesora Fr. Overbecka, jednego z najbliższych, najwierniejszych, ale też i najniezależniejszych przyjaciół Nietzschego i nosi dlatego tytuł: „Fr. Overbeck und Fr. Nietzsche — Eine Freundschaft.“

Schiller, jako twórca estetyki idealistycznej, jako wielbiciel klasycyzmu, jako dramatyk, mniej nam już dziś ma do powiedzenia, jako człowiek; jednakże, jako rycerz bez skazy, jako herold kategoriycznych imperatywów Kanta i owego „Seid umschlungen Millionen“ jest i teraz potęgą przyszłości. Dogmaty jego wskrzeszone do życia przez nowego bohatera-proroka stać się powinny w końcu korektą teraźniejszości niemieckiej, jeżeli ma nastąpić reakcyja zbawienna. Hutten i Schiller contra Bismarck i Nietzsche.

W zrównoważeniu tych czterech krańców leży rozwiązanie poczynającej się nowej problematyczności niemieckiej.

*

*

*

Czyny wielkiej doniosłości dla kultury zawdzięczamy przedewszystkiem krytycyzmowi niemieckiemu. Odnacza się on nie tylko swą sumiennością i uniwersalizmem, ale jeszcze nadto swą

siłą twórczą, w której przedewszystkiem leży przewaga krytycyzmu niemieckiego nad utylitarno-pozytywistycznym krytycyzmem Anglików i sceptyczno-destrukcyjnym Francuzów. Zaletom tym zawdzięcza naród niemiecki imponujący szereg swoich wybitnych filozofów, zawdzięcza przedewszystkiem uświadomienie swego światopoglądu, który jest niewątpliwie silnym fundamentem przyszłej jednolitej kultury. Olbrzymia jest liczba umysłów krytycznych w Niemczech od Leibnitsa do Schopenhauera, od Lessinga do Herdera i Mauthnera. Umysłami krytycznymi byli do pewnego stopnia Hutten i Luter, Goethe, Novalis i Nietzsche, byli nimi problematycy Lenz i Conradi, a nawet Schiller, przy całym swym dogmatyzmie był heroldem największego umysłu krytycznego Niemiec—Kanta. Z liczby tej wybiera Moeller van den Bruck jako reprezentantów krytycyzmu niemieckiego: Fryderyka II, Winkelmana, Lessinga, Herdera, Kanta, Fichtego i Moltkego. O ile wybór taki jest uzasadniony, dałoby się już na pierwszy rzut oka stwierdzić. Co do Moltkego, to nie ulega żadnej wątpliwości, że zaliczenie tego strategika do liczby geniuszów krytycznych Niemiec jest conajmniej grubym nieporozumieniem, zrozumiałem chyba jedynie dla patrzących pod kątem imperyalizmu niemieckiego na dzieje kultury. Moźnaby już do pewnego stopnia zakwestyonować wybór Fichtego, który, jako umysł krytyczny, nie odznacza się większą oryginalnością, niż Schelling, Hegel lub Schopenhauer, dla których w dziele Moellera van den Brucka zabrakło widocznie miejsca. Usprawiedliwić dałby się wybór ten tem, że autorowi widocznie chodziło przedewszystkiem o uwydatnienie rysów nacyonalnych w dziejach rozwoju krytycyzmu niemieckiego, a Fichte nietylko jako komentator i popularyzator Kanta, ale przedewszystkiem właśnie, jako zwrot od Kanta przez nową definicyę indywidualizmu ku nacyonalizmowi i jako pierwszy, który ze stanowiska filozoficznego formuluje ideę rasy, musiał mieć naturalnie dla niego znaczenie pierwszorzędne. O wiele ważniejsze jednakże jest stanowisko etyczne Fichtego oparte na indywidualizmie, stanowisko które toruje drogę dla „woli“ Schopenhauera i przygotowuje indywidualizm Stirnera i Nietzschego. Ten to Fichte zasługuje przedewszystkiem na miejsce pośród umysłów krytycznych Niemiec, z których grona niepodobna jednakże było wyłączyć twórcy pierwszego krytycznego światopoglądu kosmicznego Schopenhauera, mimo negatywnych rezultatów jego filozofii. Za to wybór króla pruskiego, Fryderyka II, jest uzasadniony, chociażby na pierwszy rzut oka można mu było mieć niejedno do zarzucenia. Fryderyk II nie był samodzielny myślicielem, jego dzieła treści

filozoficznej i politycznej posiadają głównie wartość ciekawych dokumentów, ważne jednak i charakterystyczne jest jego stanowisko względem kultury i umysłowości francuskiej. Filozof-król ten, jako dziedzic krytycyzmu francuskiego, jako wielbiciel Pascala, Baylego, La Bruyère'a, a przede wszystkim naturalnie Voltaire'a, filozofa będącego reprezentantem krytycyzmu francuskiego ówczesnej epoki, jest ostatnim z wybitnych umysłów niemieckich będących pod zupełnym wpływem Francji, w okresie przechodzącej już z Francji na Niemcy hegemonii krytycznej. Francja bowiem od czasów Ludwika XIV, czasów zupełnego zepsucia obyczajów przez barokową pseudokulturę dworską, coraz mniej wydawać poczyna umysłów krytycznych, czego ani rewolucya, ani Napoleon nie potrafili zmienić. Okres panowania Fryderyka II jest właśnie chwilą, w której hegemonia ta niemiecka na polu krytycznym stawać się poczyna faktem dokonanym. Powstają w tym okresie dzieła tak rozstrzygające i doniosłe, jak „Laokoon“ Lessinga, jak „Historja sztuki starożytnej“ Winkelmana, jak pierwsze zarysy estetyki nacyonalnej Herdera, jak filozofia Kanta. Wobec umysłów takich błędną konstelacye takich Rousseau, Diderotów, d'Alembertów, Helwecyuszów i Condillac'ów. Fryderyk II nie jest atoli pośrednikiem pomiędzy temi dwoma światami; urokowi jego, zwróconemu uparcie na zachód, zakryta była w zupełności doniosłość objawów ówczesnego życia duchowego w Niemczech. Przyszłość duchowa Niemiec przedstawiała mu się, mimo otuchy i nadziei, wyrażonej w jego słynnym traktacie „De la littérature Allemande“ zupełnie inaczej, niż ta, której współczesne mu umysły niemieckie poczynały torować drogę.

Rozstrzygającymi umysłami ówczesnej epoki byli Winkelman, Lessing, Herder, Goethe i Kant. Winkelman, jako pierwszy, zachwiał wpływ pseudoklasycyzmu francuskiego, wskazując wymownie na pierwowzory greckie i torując drogę do czystego klasycyzmu. W zwrocie tym do źródeł, w zbliżeniu się do pierwowzorów leżało oswobodzenie od pozy rzymsko-francuskiej, od bezdušnego akademizmu takich kreatur, jak Boileau lub jego niemiecki naśladowca Gottsched. Winkelman przekroczył atoli granice krytycyzmu, wskazując na wzory greckie, jako na prawo niezmienne, żądając ślepego naśladownictwa piękności greckiej, jako jedynej, absolutnej piękności. Jego wpływowi przede wszystkim przypisać należy powtórne odrodzenie się klasycyzmu w Niemczech, które tak nagle i niespodzianie przerwało naturalny i oryginalny rozwój sztuki narodowej, poczęty w okresie burzy i wrzenia. W tymże samym niemal czasie, co słynna „Historja sztuki starożytnej“

Winkelmana, powstają rozstrzygające dzieła Lessinga i Herdera. Są one uzupełnieniem i korektą Winkelmana. Lessing stoi na prawdę w stosunku swym do klasycyzmu jeszcze na tymże samym mniej więcej szczeblu bezwzględnego uwielbienia, co Winkelman, przerasta go jednakże swoją krytyką estetyki Arystotelesa. Jest on pierwszym od czasów Arystotelesa odkrywcą w tej dziedzinie. Estetyka zaś jego nie tylko jako obalenie trzymającej się ślepo Arystotelesa pseudoklasycznej estetyki francuskiej (patrz „Hamburger Dramaturgie“), ale jako przewyciężenie wszelkiej estetyki scholastycznej przez stworzenie nowej naturalnej na prawach życia, nie zaś na spekulacjach rozumowych opartej, zasługuje i dziś jeszcze na uwagę. „Laokoon“, traktat o poezji i malarstwie, jest najbardziej pozytywnym wyrazem tej krytyki twórczej Lessinga, którą możnaby nazwać jasną i ścisłą definicyą granic, właściwości i rodzajów piękna. Jako taki stał się „Laokoon“ podstawowem dziełem estetyki nowożytnej. Dalej jeszcze sięga Herder w swoich „Fragmentach“, napisanych w trzy lata po ukazaniu się „Historji sztuki starożytnej“ Winkelmana i w rok po „Laokoonie“ Lessinga. „Fragmenty“ obalają ostatecznie przesąd, że wielka sztuka powinna być sztuką klasyczną. Herder dotarł w nich do źródeł sztuki narodowej, udowadniając genetycznie w jaki sposób sztuka nacyonalna powstaje, wzrasta i udoskonala się. Stanowisko jego charakteryzuje bardzo trafnie krytyka „Historji“ Winkelmana, której, mimo wielkiego uznania, ma do zarzucenia, że nigdzie nie wykazuje, co Grecy przejęli od innych narodów i epok. W zarzucie tym leży w zątku przewodnia myśl estetyki Herdera i główna zasługa jego krytyki twórczej, której bezpośrednim rezultatem był okres „burzy i wrzenia“ w literaturze niemieckiej. W dociekaniach swoich na polu sztuki narodowej, szczególnie zaś w swoich „Ideach“ (Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit) zbliża się Herder znacznie (bliżej nawet, niż Buckle lub Taine) do rozwiązania zasadniczych zagadnień filozofii historyi, które do dziś dnia czekają jeszcze na swego mistrza, a starając się wykazać, jak ludy wzajemnie kształcą się i kształtują, jak każda epoka kultury, każdy naród w swoim rozkwicie tworzą i tworzyły swoje arcydzieła, jak sztuka tem potężniejsza jest, im bardziej jest oryginalna, im głębiej zapuszcza swe korzenie w głębi indywidualności nacyonalnej, zdobywa już dla tej filozofii historyi pierwsze placówki. Grecy nie są dlań narodem wybranym, ale narodem pośród narodów, przyznaje im jednakowoż miejsce wyłączne w dziejach kultury, jako reprezentantom idei czystego piękna. Inne narody nazywa reprezentantami innych pojęć o sztuce

ce. Stanowisko to tak zbliżone do późniejszych idei Cypryana Norwida o sztuce i kulturze narodowej (patrz „Epilog“ z Promethidiona i drugą część „Stygmatów“), zasługuje na naszą specjalną uwagę. Dociekania swoje teoretyczne uzupełnia Herder jednocześnie przez gromadzenie olbrzymiego materiału z dziedziny poezyj ludowych (staje się Porębowiczem literatury niemieckiej) i jako pierwszy pogłębia swoją pracę teoretyczną przez krytykę mowy, szukając w niej środków „do odcyfrowania duszy ludzkiej.“ Od czasów Herdera krytyka mowy rozwinęła się jedynie w kierunku sceptyczno-krytycznym (jeżeli pominiemy dyletanckie próby filozofa Hamana). Humem jej ¹⁾ stał się Fritz Mauthner w swem imponującym dziele „Kritik der Sprache,“ brak jej jednak jeszcze Kanta, któryby dalej poprowadził i uwieńczył dzieło krytyki twórczej, tak świetnie rozpoczętej i naszkicowanej przez Herdera.

Rozstrzygającej działalności Winkelmana, Lessinga, Herdera w dziedzinie estetyki odpowiada w dziedzinie filozofii i metafizyki genialna twórczość i jedyny w swoim rodzaju krytycyzm Kanta, dzięki któremu filozofa tego zaliczyć należy do najprzedniejszych reprezentantów filozofii wogóle. W Kancie krytycyzm niemiecki święci jeden ze swoich największych tryumfów, nie tylko jako sceptycyzm, ale jako krytycyzm twórczy. W idealizmie Kanta bowiem, w jego wspaniałej próbie pogodzenia materializmu i spirytualizmu, w jego etyce leżą w równej mierze zadatki jego wielkości, jak w jego dociekaniach, dotyczących granic i praw poznania. Ciekawa i zupełnie nowa jest próba Moellera van den Brucka wykazania pokrewieństwa pomiędzy światopoglądem Kanta a światopoglądem starych Germanów. Pokrewieństwo to udowadnia ustępami z Eddy i w przekonywający sposób porównuje heroiczny światopogląd bohaterów Eddy, kojarzących w swej filozofii życiowej wolność i przeznaczenie (wolną wolę i fatalizm), z heroiczną etyką Kanta („der gestirnte Himmel über mir, das moralische Gesetz in mir,“ a dalej jako uzupełnienie tej myśli „wäre keine Freiheit, so würde das moralische Gesetz in uns gar nicht anzutreffen sein“). Dotyła więc, będąc nawet umysłem tak wysoce obiektywnym, jak Kant, jest się w końcu zawsze jeszcze synem swej ziemi, wyrazicielem uczuć i instynktów narodu, rasy.

*

*

*

¹⁾ Hume, filozof angielski, przedstawiciel empirycznego sceptycyzmu, poprzednik Kanta.

Jedną z wybitnych cech narodu niemieckiego jest, obok krytycyzmu twórczego, upodobanie do zagłębień w świat tajemniczy mistyki. „Umysł ich głębokim, ciemnym i zawile obfitym będzie, jak las dziewiczy,“ mówi Norwid w Stygmacie o Teutonach, „przenoszących Las w historię.“ Mistyka germańska posiada rzeczywiście coś z owej ciemnej i obfitej zawidości lasu i zajmuje w dziejach kultury ludzkiej miejsce odrębne. Dość wspomnieć takie imiona, jak Mistrz Eckehart, Swedenborg. Łączy się przytem i przeplata częstokroć z krytycyzmem, zapładniając go ideami twórczymi, które w metafizyce, poezji i muzyce niemieckiej znalazły wielokrotne wcielenie. Moeller van den Bruck zupełnie niesłusznie stara się właściwość tę charakteru niemieckiego przedstawić, jako rys do pewnego stopnia problematyczny. Stanowisko jego określa już sama nazwa, jaką nadaje umysłom, odznaczającym się wybitnymi cechami marzycielskimi, nazywając je „gubiącymi się w marzeniach“ (verschwärmt). Fałszywe jest również stawianie takich duchów, jak mistycy: mistrz Eckehart, Jakób Boehme, Anioł Szlązak, jak myśliciele: Theophrastus Paracelsus, Gustaw Teodor Fechner i poeta kosmiczny Alfred Mombert w jeden rząd z romantykiem Novalisem i z zupełnie rozmarzonym, porażonym w wizjach o piękności greckiej, Hölderlinem.

Moeller van den Bruck widzi głównie w mistyce siły wrogie życiu. Że mistyka może się stać szkodliwą, a nawet zgubną dla życia człowieka, nie ulega wątpliwości. Bo i czemżeż są małe wysepki świadomości ludzkiej, wobec bezmiarów nieświadomego? Potęgi, których ani opanować, ani do końca poznać nie możemy, rządzą przez nas, w nas, a częstokroć przeciwko nam, nawet bytem naszym, dziejami świata... Mamyż walczyć z nimi, mamyż poddać się pod jarzmo ich? I czyliż prawa ich są jarzmem?... Mistyka, stapiając nas z temi wszechwładnymi a niepojętymi potęgami bytu, utożsamiając nas z nimi, daje jedyne pozytywne rozwiązanie problemu naszego istnienia. Od stosunku, jaki władze mistyczne w światopoglądzie jednostki zajmują do życia — mistyka jest bowiem zawsze tylko udziałem jednostki — zależy zgubny lub zbawienny jej wpływ. Możemy przeciwstawić ją doczesności, stwarzając nierozwiązalny dualizm materji i ducha (na filarach tego dualizmu wspierają się wszystkie niemal dotychczasowe religie)—albo też możemy doczesność uświęcić, uznając ją, jako wyraz wieczności, jako jeden z jej wymiarów, a wraz z nią i człowieka, jako funkcję wieczności; zależność zaś naszą od potęg kosmicznych jako przeznaczenie nasze i dobrą wolę. W tem znaczeniu mistyka stać się dziś może naszym udziałem,

dzięki coraz bardziej zdecydowanemu zwrotowi naszego myślenia od antropomorfizmu do kosmomorfizmu, od dyktowania imperatywów etyczno-racyonalistycznych do wsłuchiwania się i wczuwania w wolę i przeznaczenia wszechbytu, którego częstką jest człowiek. Dobitny wyraz znalazł światopogląd ten w psychofizycznej filozofii Fechnera, która znów jednoczy mistykę z naszą wiedzą dzisiejszą. Mistyką jest bowiem jego Bóg—system systemów, jego dusza kosmiczna, jego genialna hipoteza, głosząca konieczność psychofizycznego paralelizmu w całym wszechświecie. Mimo to pozostaje ściśle naukowy sposób dociekania Fechnera w zupełnej zgodzie ze stanowiskiem krytycznym Kanta. Fechner stapia w podobny sposób materjalizm i spirytualizm dni dzisiejszych w jedność, jak Kant racyonalizm i empiryzm swego wieku, a Leibnitz formalizm i materjalizm wieku XVII-go. Duch jego jest jakby syntezą Eckeharta i Paracelsyusza — posiada zdolność niesłychanych wzlotów w sfery czystej duchowości, gdzie przebywał mnich-dominikanin Eckehart, którego kazania pełne zachwyto-ów i jasności niebiańskiej, strzeliste jak wieżycy tunów gotyckich, głosiły wiedzę o boskości człowieka i o dążeniu wszelkiego stworzenia ku najwyższej doskonałości — posiada subtelną wrażliwość w odcyfrowywaniu tajemnic natury, którą nacechowana była filozofia empiryczna Paracelsyusza tego Fausta-tułowca, który wszystkie ziemie zwiedził. Ta harmonia bytu bowiem, którą Eckehart z góry, Paracelsysz z dołu odcyfrowuje, przenika cały system mistyczno-filozoficzno-empiryczny Fechnera wszcz, wzdłuż i wgłąb. Światopogląd jego wspiera się równocześnie na fundamentach całej naszej wiedzy dzisiejszej, szczególnie zaś nauki przyrodzone i ich zadziwiający rozkwit w ciągu ostatnich kilkadziesiąt lat, dostarczają Fechnerowi sporo obfitego i owocnego materjału. O ileż jednakże inaczej zużytkowuje go, niż owi fachowcy-przyrodnicy w rodzaju Heckel'a, którzy nigdy prawie nie są w stanie porzucić swej fachowej małostkowości. Głęboka Filozofia Fechnera, która z chwilą, gdy wyolbrzymiały kult źle zrozumianego Nietzschego zostanie zredukowany do właściwych granic, wywrze prawdopodobnie bardziej uniwersalny i decydujący wpływ, niż dotychczas, jest niezawodnie najwspanialszą nowożytną syntezą wiedzy i wiary ludzkiej. Obraz świata, jaki nam filozofia Nietzschego daje, jest ostatecznie pozytywistycznie zbyt ograniczony, zbyt wyłącznie ludzki, aby nie miał być jednostronnym. Jako prorokowi i oswobodzicielowi wyższego, silniejszego i wolniejszego człowieczeństwa, zawdzięczamy Nietzschemu bardzo wiele, po za granice jednakże jego wiedzy ludzkiej i nadludz-

kiej ciągnąć nas będzie pragnienie poznania rzeczy wiecznych — tam, dokąd ludzkość zawsze zwracała wzrok swój tęskny—w niezmierną, bezdenną, pulsującą tysiącem tajemnic, tysiącem „stań się,“ urzeczywistnień i metamorfoz, otchłań wszechbytu, skąd przychodzą do nas wizye i objawienia. Fechner posiada moc zwrócenia ducha narodu niemieckiego na tony Goethego, w wiedzy jego brzmią tony beethovenowskie, a ślepa walka o byt Darwina przekształca się u niego w daleko głębszy, czystszy i pełniejszy akord symfonii twórczej, w której nietylko człowiek, stworzenie, ale ziemia, słońce, gwiazdy, wszechświat biorą udział. Wpływ Fechnera uwydatnił się, dotychczas najsilniej na twórczości t. zw. Friedrichshageńczyków, t. j. całego grona myślicieli i poetów, zamieszkałych w Friedrichshagen pod Berlinem, których dzieła (wychodzące w nakładzie Eugeniusza Diederichsa w Jenie) napoły naukowo-przyrodnicze, napoły poematy, stanowią dalszy ciąg, uzupełnienie i spopularyzowanie nauki Fechnera. Najwybitniejsi pośród nich są: Wilhelm Boelsche, Willy Pastor, Bruno Wille. Wiele łączników z filozofią Fechnera posiada pozatem twórczość Gerharta i Karola Hauptmana, szczególnież poemat sceniczny „Pippa.“

Innym przykładem zwrotu ku głębiom mistycznym w nowoczesnej twórczości Niemiec jest Alfred Mombert. Może żaden ze współczesnych poetów niemieckich nie jest do tego stopnia oryginalnym twórcą, co Mombert, żaden w każdym razie nie tkwi tak głęboko w ekstazie twórczej, żaden nie posiada w sobie tyle chaosu, rodzącego gwiazdy. Gdyż prawdziwym twórcą jest w końcu nie ten, kto przekształca i rzeźbi stare prawdy i wartości, ale ten, kto z wrzątka elementarnych sił nowe kształty na powierzchnię wynosi i swoim potężnem „stań się“ nadaje im prawo do życia. Tylko ci, którzy potrafią wnikać, chociażby na chwilę, duchem w krainy mistyczne wszechbytu, zjednoczyć się z rytmem stworzenia, którym drga i wiruje wszechświat, są zdolni do takiej twórczości. Sztuka Momberta nie jest monumentalna, można by ją raczej nazwać proroczą, gdyż zawiera, w mglistych zarysach i wizjach dopiero, kształty przyszłych urzeczywistnień. Prawie zawsze przedstawia nam się w stadium pojęcia i przypomina pod tym względem niejednokrotnie pewne utwory Rodin'a, jak np. następujący wiersz:

Ich sah, im Dunklen sitzend,
einen unabschbaren Zug
verhüllter Kinderleichen
über die Bühne des rauschenden Ozeans

von murmelnden Greisen
 vorübergetragen
 in die Nacht, in die Nacht, in die Nacht.

(Widziałem, siedząc w ciemności, nieprzejrzany zastęp zakrytych trupów dziecięcych, niesionych przez szemrzących starców, po przez scenę szumiącego oceanu, w głąb Nocy, w głąb Nocy, w głąb Nocy...)

Ale monumentalnych urzeczywistnień Rodin'a Mombert prawdopodobnie nigdy nie osiągnie. Będzie to zadaniem przyszłych pokoleń dźwignąć ściany olbrzymich świątyń i teatrów, których zarysy majaczą w wizjach Momberta.

*

*

*

Potęgami urzeczywistniającymi narodów są umysły monumentalne. Nadają one duszy nacyonalnej widomy kształt, mnożą kapitał duchowy swego narodu. Wielkie umysły monumentalne są przytem zawsze wyrazicielami stylu i zjawiają się jedynie w chwilach dojrzałości historycznej narodu w okresach, które możnaby nazwać kulminacyjnymi punktami energii nacyonalnej. Takimi okresami był dla Niemiec okres stylu romańskiego z jego przeważająco politycznymi talentami, jak Karol Wielki, Cesarz Fryderyk II z rodu Stauffenów, okres rozkwitu gotyki, którego wyrazicielami stały się takie umysły twórcze, jak Wolfram von Eschenbach, piewca Parsywała, Walter von der Vogelweide, pierwsze wcielenie typu Goethowskiego w poezyi niemieckiej i mistrz Wilhelm, ojciec malarstwa kolońskiego—okres renesansu niemieckiego, owego interesującego skojarzenia gotyki i renesansu, z takimi przedstawicielami na czele, jak Dürer, Holbein i Cranach — okres budzącej się po reformacyjnej tendencji urzeczywistnienia kultury nacyonalnej z takimi inicjatorami, jak Leibnitz — ojciec filozofii niemieckiej, Bach—ojciec muzyki niemieckiej, Klopstock—ojciec nowej poezyi niemieckiej — okres poczęcia w tężczy zachwytu tej kultury w twórczości Mozarta, Goethego, Beethovena i Wagnera. Moeller van den Bruck widzi pozatem w twórczości terażniejszości niemieckiej nowy okres wielkiego rozkwitu, na co jednakże trudno się zgodzić. Reprezentantami nowoczesnej sztuki

monumentalnej w Niemczech są, zdaniem jego, Gerhart Hauptman, Ryszard Dehmel i Teodor Däubler. Pierwsi dwaj twórcy, o znaczeniu europejskiem, należą niezaprzeczenie do najwybitniejszych talentów dzisiejszej sztuki niemieckiej, o ostatnim zapewne nikt po za ciasnem kółkiem krytyków i miłośników poezyi niemieckiej dotychczas nie słyszał, trudno więc mówić dziś już o nim, jako o reprezentancie sztuki niemieckiej, tembardziej że Däubler nie właściwie dotychczas nie drukował. Olbrzymie niedokończone dzieło jego epickie „Zorza północna“ (Das Nordlicht), obejmujące dziś już około 30,000 wierszy, znane jest zaledwie małej garstce osób, posiadających drogą prywatną otrzymane przedruki. Fakt ten jednakże ilustruje w dosadny sposób metodę Moellera van den Brucka, który pragnienia swoje widzi urzeczywistnionemi tam nawet, gdzie o urzeczywistnieniu mowy być nie może. Czy stanowisko takie można jeszcze nazwać krytycznem, czy odpowiada roli krytyka?... Świadczy ono bądź co bądź o silnem znaczeniu władz krytycznych. Dzisiejsza sztuka niemiecka, pomimo wielorakich objawów, świadczących o dążeniu do stylu, a prędyj jeszcze o szukaniu stylu, stylu tego dotychczas nie posiada. Tem bardziej nie może być dziś jeszcze mowy o niemieckiej kulturze nacyjonalnej. Najwięcej zadatków posiada sztuka Gerharta Hauptmana, a i Dehmel w swych kulminacyjnych momentach dosięga siły wyrazu, przypominającego dzieła poezyi skandynawskiej, ale ani Dehmel, ani Hauptman nie potrafili dotychczas tak ująć rzeczywistości, aby mózż jej nadać styl odrębny, będący wyrazem i syntezą terażniejszości. Obu należałoby raczej zaliczyć do zastępu duchów torujących drogi.

Tak więc terażniejszość niemiecką, mimo głośnych zapewnień Moellera van den Brucka, mimo na pozór pomyślnych warunków zewnętrznych, możnaby dziś raczej nazwać chwilą niepewności na całej linii twórczości narodowej, chwilą wahań się, mętów i fermentów. Wielkie masy, o ile nie są zupełnie obojętne, znajdują się pod wpływem militarizmu pruskiego, stan średni—sfera, która dotychczas była falangą postępu—pchnięty przez warunki ekonomiczne, przez gorączkę przemysłową i niesłychany rozrost wielkich miast, których Niemcy dziś chyba największą ilość w Europie posiadają, został znacznie znateryalizowany i utracił wiele ze swej dawnej sprężystości, o szlachcie niemieckiej, jako o klasie pracującej na polu kulturalnem, mowy być nie może. Oddawna już rola jej ogranicza się do zadań wchodzących jedynie w zakres polityki lub militarizmu. Pozostaje więc jedynie tak zwana inteligencya, której zastępy, aczkolwiek dość liczne, przerzedzone zo-

stały mocno przez imperyalizm dzisiejszy. Jedyne drużyna duchów przodujących, t. j. wcielających i wypowiedających treść duchową teraźniejszości, pozostała wierna tradycjom wielkich przodków.

Oto np. sztuka Hauptmana. Jakiż w niej wielki zasób miłości, jakaż serdeczność wyrazu, ogarniająca swem błogosławieństwem świat cały—od biednych, przymierających z głodu tkaczów szląskich, do nieszczęśliwych, w rozterce wewnętrznej żyjących dzieci kultury, od sił elementarnych natury, do subtelnych wizyj wyobraźni. W poezyi Hauptmana brzmi cała skala uczuć, będących znamiem wysokiego szlachectwa duszy. Utwory takie jak „Floryan Geyer,“ „Der arme Heinrich“ są wymownemi świadectwami jego rzetelnego apostołstwa. Podobnemi cechami odznacza się poezya Alfreda Momberta, tam gdzie poeta, zwracając się od wizyj kosmicznych, obejmuje wzrokiem człowieka.

Wenn das Leben dich tötet
lausche meinem Gesang!

(Jeżeli cię życie zabija, słuchaj pieśni mojej).

woła doń

Denn das ist alles Dichtung,
womit der Mensch sich seine Schmerzen lindert.

(Boć poezya jest tem wszystkim, czem człowiek cierpienia swe łagodzi).

Sztuka niemiecka innych szuka dróg i urzeczywistnień, niż polityka i tendencje dnia. Herosami jej są nie Bismark, nie Nietzsche, ale zawsze jeszcze Beethoven i Goethe. Duch Beethovenowa zdaje się dziś nawet przeważać. Beethovenowskim jest altruizm Hauptmana, Beethovenowską miłość mistyczna Momberta, Beethovenowskie są zarysy epopei Teodora Däublera, w której wizya ludów i ras, dążących na północ, ku wiecznej jasności zorzy północnej, przybiera kształty symfoniczne i rozbrzmiewa harmonią owego „Seid umschlungen Millionen,“ którego parafrazą są znamienne słowa epopei:

„Die Welt versöhnt und übertönt der Geist!“

(Świat godzi i rozgłosem swym opanowuje Duch!).

Beethovenowskimi cechami odznacza się sztuka Muxsa Klingera i Hans'a Thoma. A nawet Ryszard Delmel, jedyny pośród wybitnych poetów niemieckich, którego twórczość nosi ślady wpły-

wu Nietzschego, wieńczy swe główne dzieło w duchu Beethovenowskim, zbliżając się nawet formalnie do hymnu Schillera z IX symfonii:

Ahnst du sie, die Pflicht der Welt?
 Ja: von Sphären hin zu Sphären
 muss sie Saat aus Saaten gebären,
 bringt sie uns das Licht der Welt:
 rieselnd, wie aus dunklem Siebe,
 sät es Liebe, Liebe, Liebe
 von Nacht zu Nacht, von Pol zu Pol.

(O! więc przeczuwasz obowiązek świata?
 ku coraz wyższym kręgom wzlata:
 rodząc nam posiew z posiewów tysiąca,
 Światłość nam niesie, światłość bez końca,
 sypiąc przez mroczny przetak ciemności
 słoneczny zasiew miłości... miłości—
 od zmroku do zmroku, od krańca do krańca).

Są to urzeczywistnienia, których szuka wódzca poezya i sztuka niemiecka, szuka ich również filozofia i znajduje w Beethovenowsko-szlachetnych i kosmicznie potężnych wizjach Fechnera.

„Nieśmiertelną cząstką każdego z nas, która działać będzie i wtedy jeszcze, gdy ciało nasze spróchnieje—pisze Fechner—jest to, w czemkolwiek w ciągu życia naszego przyczyniliśmy się do wcielenia, kształtowania lub zachowania ciągnących się przez dzieje ludzkości i natury Idei. Nic z tego, co miliony dziś umarłych stworzyły, zdziały lub przemyślały nie zczeszło wraz z nimi, nie zniweczy dorobku tego ani praca, nie zniweczą go ani czyny, ani myśli przyszłych milionów. On to właśnie działać będzie przez nie dalej i w nich dalej się będzie żywotnie rozwijał, kierując je ku wielkiemu celowi, którego nikt z nich widzieć nie może.“

Jakżeż oddalona od terażniejszości niemieckiej jest jednakże ta poezya i ta filozofia. Masy słuchają chętnie pochlebców, którzy zamiast wskazać cele oddalone i uciążliwe, głoszą tanie apoteozy dnia, a zamiast prawd i objawień dają wyzłacane kłamstwa i jaskrawo przystrojone komunały,—i wierzą tym mamidłom tem łatwiej i silniej, im lepiej im się powodzi. Leży w tem bowiem wielkie niebezpieczeństwo zwycięstw, że zaślepiają i znieczulają. W fazie tego niebezpiecznego zaślepienia znajduje się obecnie naród niemiecki. Można by z łatwością dowieść, jak w ciągu tych 37 lat istnienia cesarstwa niemieckiego zaślepienie to nieustannie

wzrastało. Dziś ogarnia ono nawet te sfery, które zwykle w stanie normalnym wolne są od podobnych przesądów, a jednym z najwymowniejszych symptomów tego stanu jest właśnie pomiędzy innymi dzieło Moellera van den Brucka „Niemcy,“ któremu z tego względu należało poświęcić specjalną uwagę.

Pozatem posiada jednakże praca Moellera van den Brucka jedną ważną zasługę—daje krytyczną korektę wpływu Goethego. Goethemu poświęca Moeller van den Bruck cały tom 6 swego dzieła, stawiając go, jako umysł uniwersalny, na czele całej twórczości niemieckiej. Doniosłość krytyki Moellera van den Brucka polega na trafnej ocenie stosunku Goethego względem klasycyzmu. Jako umysł uniwersalny przeżywa Goethe w swej twórczości wszystkie fazy ducha. Jest początkowo problematykiem (w „Werterze“) staje się jako najwybitniejszy poeta okresu „burzy i wrzenia“ przez dramat swój „Goetz von Berlichingen“ i jako rzecznik sztuki gotyckiej wódzszym artystą, gubi się w swym podziwieniu dla świata klasycznego (jako autor „Torquata Tassa“ „Ifigenii,“) zwraca się ku krytycyzmowi, którego wyrazem stają się dociekania z dziedziny nauk przyrodzonych i powieści „Wilhelm Meister“ „Wahlverwandschaften“ i wieńczy treść swego bogatego życia potężnym czynem monumentalnym—„Faustem.“ Klasycyzm Goethego był bezpośrednim wynikiem zależności od Winkelmana, od którego Goethe przejął nie tylko uwielbienie dla sztuki klasycznej, ale też wszystkie fałszywe dogmaty, dotyczące piękna klasycznego, jako obsolutu, i lekceważenie dla wszelkiej sztuki naturalistycznej, a więc i dla sztuki nacyjonalnej. Zwrot ten, który się stał przykrą niespodzianką dla młodej drużyny Goethego, wywarł w swych następstwach wpływ ujemny na cały rozwój sztuki niemieckiej. Ani Schiller, który poszedł w końcu w ślady Goethego, ani Kleist, ani romantycy nie byli w stanie przewyciężyć go. Bezgraniczne uwielbienie Goethego dla ideałów klasycznych, stało się, jak Moeller van den Bruck słusznie wykazuje, przyczyną zupełnie fałszywego stanowiska, jakie Goethe względem renesansu zajął. Wymownym dowodem tego była jego podróż włoska. Wprost zdumiewająca jest mylność jego sądów o arcydziełach renesansowych. Twórcy tacy jak Ghiberti, Donatello, Verrocchio nie istnieją dlań, o tak wybitnych i genialnych mistrzach mistyki i siły renesansowej jak Duccio, Lorenzotti, Giotto, Masaccio, Castagno, Ucello, Signorelli, Pollajuolo, Boticelli, Pierro della Francesca niema w notatkach i listach jego żadnej wzmianki, przed cyklopem Michałem Aniołem stoi w niepewności i z odcieniem niechęci, a nawet tak pokrewnego sobie duchem mistrza jak

Leonardo da Vinci nie jest w stanie należycie ocenić. Raz tylko w Padwie przed obrazami Mantegui zdaje się oprzytomniać, aby potem znów z niezmiennym zapałem wielbić sztukę Caraccich, Guido-Renich, Guercinów — słodycz i gładkość Rafaela.

Zdobycze włoskie Goethego noszą na sobie cechy zimnego, gładkiego akademizmu i eklektyzmu, są puścizną przekwitającego, a nie rozkwitającego renesansu i poczynającego się już przeladowania barokowego. Temiż cechami odznacza się wszystko, co wyszło w owym okresie z pod pióra Goethego. Znacznie później dopiero, dzięki ponownemu zbliżeniu się do natury (w swych studiach przyrodniczych, które były okólną drogą powrotu) otrząsnął się Goethe ze swego akademizmu, stwarzając w powieściach „Wilhelm Meister,“ „Wahlverwandschaften“ i w poezjach orficznych nowe drogowskazy dla kultury i sztuki niemieckiej. Klasycyzm niemiecki stał się przez olbrzymi wpływ Goethego i Schillera okresem powtórnego zwrotu do ideałów świata starożytnego, okresem naśladownictwa cudzych wzorów i szkodliwego skrepowania sił i oryginalności nacyjonalnej — czemś co prawda o wiele naturalniejszym niż pseudoklasycyzm francuski, do pewnego stopnia jednakże analogicznym.

Pozowanie na Greków i ślepe, bezkrytyczne uwielbienie dla Greków było przez długi czas przyczyną kulturalnej niemocy Niemiec. Skutki jej dałyby się wielokrotnie do ostatniej doby niemal wykazać.

Jakżeż w oświetleniu tem wygląda pragnienie Moellera van den Brucka, aby Goethe przekształcił z czasem ludzi na Niemców? Czyż nie jest ono właśnie powtórzeniem starego błędu niemieckiego, błędu popełnionego już po trzykroć — najprzód względem kultury rzymskiej, następnie względem pseudo-kultury francuskiej, a potem względem kultury greckiej?... I jakżeż ten, który sam dopiero co na dziejach własnej przeszłości nacyjonalnej wykazał, jak szkodliwym dla pomyślnego rozwoju narodu jest wszelki wpływ obcy, jeżeli stanie się nie pobudką ale dogmatem, może pragnąć podobnegoż wpływu na ludzkość całą? Dwuznaczność taka jest chyba najsilniejszą krytyką dzisiejszego imperyalizmu niemieckiego, wykazuje bowiem jasno jego szkodliwość i bezpodstawność.

PIŚMIENNICTWO.

Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staat. Die Polenfrage von Ludwig Bernhard. Leipzig, Verlag von Duncker & Humblot, 1907.

I.

Hakata pruska ma na swoje usługi nietylko znaczną część prasy niemieckiej, lecz mieści w swoich szeregach ludzi pióra, zawodowych literatów i dyletantów, których zadaniem jest pouczać naród niemiecki o „polskiem niebezpieczeństwie“ i ostrzegać zawczasu przed zachłannem i zaczepnem trzymilionowem społeczeństwem poznańskim. Zaroiło się więc od broszur i broszurek, których myślą przewodnią jest hasło „Ausrotten!“ Zwłaszcza w ostatnich kilku miesiącach, jako w dobie przygotowawczej do osławionego prawa o wywłaszczeniu, podniosły się te głosy ptaków drapieżnych ze zdwojoną zaciekłością. Jednakże niepodobieństwem jest, aby w 60-milionowym narodzie niemieckim wypaliło się do cna i wygasło poczucie sprawiedliwości i uczciwości. W tym złowieszczym chórze, wróżącym nam zagładę, odezwało się w ostatniej chwili kilka głosów szlachetnych, wzywających swych ziomków do upamiętania i wprowadzenia w życie zasady „suum cuique.“

Czy nie są to głosy wołającego na puszczy—przyszłość najbliższa pokaże. Lecz trzeba stwierdzić, że protest był, że wypowiedziano słowo w naszej obronie. Mamy tu na myśli przede wszystkim wystąpienie profesora Schäckinga z Marburga, prof. Delbrücka z Berlina i broszury dwóch obywateli ziemskich Schönberga i Fussa, którego rodzina publicznie się po gazetach wyparła, by go ukarać za te kilka kartek, napisanych w sprawie Polaków.

Znamiennym rysem nienawiści niemieckiej jest zupełna nieświadomość i nieuctwo we wszystkim, co dotyczy żywiołu polskiego i umyślne a uporczywe trwanie w tem nieuctwie. Może to ma być pancierz bojowy—to pewna, że jest w tem jakaś zasada. Dlatego urzędnikom niemieckim uczyć się po polsku jest wprost zakazane. Tem większą niespodzianką była książka prof. Bernharda, która się pojawiła jesienią—„Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staate!“ Dzieło to podaje na 686 stronicach niejako historję życia polskiego w Prusach, kładąc przedewszystkiem nacisk na objawy ekonomiczne. Materiał nagromadzony tutaj tak obficie, że odtąd nawet Polak i Poznańczyk, chcąc pisać o sprawie polskiej w Prusach, zajrzy z konieczności do książki Bernharda — a dla Niemców, pragnących się o nas informować, może się stać to dzieło wprost niezbędne i nieocenione. Jest to praca poważna, służąca nie partyi, lecz nauce. Odnacza się zaszczytnie obiektywnością — i z małemi chyba wyjątkami — w trudnem nad wyraz położeniu naszym, stara się oddać nam sprawiedliwość. Stara się — bo, choć dobrych chęci nie zapoznajemy, rozbijają się one niekiedy o niedostateczne zrozumienie duszy polskiej, rodzaju walki naszej i środków obrony, które nie są i nigdy nie były zaczępnemi.

Profesor Bernhard zajmował niedawno przy akademii poznańskiej katedrę nauk społecznych i politycznych, a był równocześnie docentem tych umiejętności przy uniwersytecie berlińskim. W grudniu 1905 r. miał Bernhard wobec grona uczonych berlińskich dwa wykłady o zasobach ekonomicznych ludności polskiej pod zaborem pruskim. Z wykładów tych podały hakatystyczne berlińskie pisma referat, którym mocno zaniepokoił się dyrektor Banku Związku Spółek Zarobkowych ś. p. dr. Kuzstelan i wystąpił ostro przeciw Bernhardowi, ostrzegając i zapewniając społeczeństwo polskie, że Bernharda do arkanów naszych banków polskich nikt nie przypuszczał. Tymczasem z całej książki Bernharda widać, że autor czerpał u samego źródła, a nawet poniekąd informował się w Patronacie naszych Spółek Zarobkowych. Przeciw zapatrywaniu dr. Kuzstelana wystąpił w swoim organie „Ruch Chrześcijańsko-Społeczny“ ksiądz Stanisław Adamski, znany działacz społeczny tutejszy i dowodzi, że prof. Bernhard jest Niemcem i w całej pracy swojej stoi na stanowisku niemieckim, ale walkę rządu pruskiego ze społeczeństwem polskim ocenia nie ze stanowiska hakatyzmu, który się dziś w narodzie niemieckim straszliwie rozpanoszył, nie wzywa do walki, ale ze stanowiska naukowego, z zapalem i z pewnym entuzjazmem dla swego tematu,

rozpatruje szczegółowo siły ekonomiczne, które społeczeństwo polskie do tej nierównej walki z rządem pruskim w pole wprowadza.

Prof. Bernhard przyznaje, że czerpał swoje informacje także ze źródeł rządowych, które, jak wiadomo, starają się wykazać wszędzie niebezpieczeństwo, płynące dla Niemczyzny nawet z naszych instytucyj finansowych! Źródła rządowe wydały się prof. Bernhardowi podejrzane, bo w wielu razach nie chciano mu nie pokazać, a w innych żądano od niego, aby przed wydrukowaniem przedstawił odnośnej władzy rządowej swój manuskrypt. Z tych informacyj prof. Bernhard, rozumie się, zmuszony był zupełnie zrezygnować. W każdym razie jest rzeczą konieczną wykazać autorowi błędy czy przesadę z rządowych „berychtów“ czerpaną, bo i ta książka uważana już była za źródło, z którego czerpano przeciw nam napaści, interpretując często fałszywie intencje autora.

Książka prof. Bernharda i pod tym jeszcze względem w politycznej literaturze niemieckiej obecnej doby wyjątkowe zajmuje stanowisko, że autor, Niemiec z urodzenia, z polskością nigdy przedtem się nie stykający, nauczył się do tyła po polsku, że z literatury naszej wcale dobrze, jak na cudzoziemca, mógł korzystać. O ile zaś korzystał, przekonany się zaraz, przeglądając wstępną, historyczną część jego pracy.

Spółeczeństwo polskie pod zaborem pruskim budowało, zdaniem Bernharda, po roku 1830 przyszłość swoją na emigracyi, po r. 1863 na Kole Polskiem w Berlinie, jako stronnictwie opozycyjnem, a od r. 1893, aż po ostatnie czasy, przyszli Polacy pruscy do przekonania, że powinni sobie stworzyć własne „Gemeinwesen.“ Co to jest to „Gemeinwesen?“ Czy można przetłómaczyć to słowo przez „społeczeństwo?“ Innego odpowiedniego wyrazu w języku polskim trudno się dopatrzeć, a treść książki także wskazuje, że tak to „Gemeinwesen“ należy rozumieć. Tymczasem ostatni, według autora, okres naszego rozwoju, nasuwa myśl, że Bernhard przez owo „Gemeinwesen“ rozumie nie narodowość—bo my przecież narodem byliśmy i jesteśmy—ale jakoby jakiś rozwój społeczny i ekonomiczny, który nam—według autora—da taką siłę i takie oparcie, że ono równać się będzie w skutkach swoich z „autonomią“ (Selbstverwaltung). Jak to rozumieć? Otóż tego wcale nie można rozumieć—to jest przesada, stąd zapewne pochodząca, że autor utworzył sobie formułkę ekonomiczno-społeczną i do jej wykazania naciągnął fakty tak proste, jak ten np., że spółki pożyczkowe, banki i tym podobne instytucje, które to ni-by mają być wyrazem tej naszej „autonomii,“ nie są niczem in-

nem, tylko zwyczajnem, każdemu społeczeństwu właściwem dążeniem do większego dobrobytu, bez żadnych ubocznych celów. To naciąganie naszego najzwyczajniejszego rozwoju ekonomicznego do pojęcia jakiejś „Selbstverwaltung“ stanowi, jak sam autor przyznaje, tło główne całej jego pracy—i w tem jest przecenianie naszych sił i niebezpieczeństwo, jakie nam stąd grozić może. Czy autor miał w tem jaką ukrytą myśl polityczną—nie chcemy snuć domysłów—ale niewątpliwie na dno prawdy nie sięgnął.

„Panowaniem polskiej emigracji“ nazywa autor okres od r. 1831—1863, nazwa w stosunku do Księstwa wprost nieściśła. Prawda, że wpływ sił intelektualnych na pusty step emigracyjny po r. 1831, jak wogóle w całym kraju, tak i u nas w Księstwie, był do pewnego stopnia stratą społeczną; ale właśnie w tej dzielnicy kraju społeczeństwo polskie tylko w pewnych, nielicznych jednostkach dało się hypnotyzować pod względem politycznym wersalskim marzycielom, na co najlepszy dowód daje nieudana borba roku 1846. Powinien to był prof. Bernhard przeciw wywnioskować, choćby z tego własnego twierdzenia, że niejako drogowskazem politycznym nazywa Karola Marcinkowskiego, który panowania emigracji nigdy nie uznawał, a właśnie w tym okresie poemigracyjnym najintensywniejszą rozwinął działalność — na polu pracy organicznej.

Działalność Marcinkowskiego, skreślona głównie na tle książki mojej, ¹⁾ pojęta jest w ogólności poprawnie, choć nie można autorowi oszczędzić zarzutu, że wpływ tej potężnej indywidualności przedstawia tak, jak gdyby obok Marcinkowskiego ówczesne społeczeństwo polskie było zbiorem jednostek mniej wartościowych, które w ówczesnym rozwoju społecznym do żadnej samodzielnej myśli nie były zdolne. A jednak to wielki błąd — prawda, że i w naszym społeczeństwie dosyć rozpowszechniony. Marcinkowski despotycznie panował nad społeczeństwem, ale dzieła rąk jego opierały się o współdziałanie ludzi, bez których nic nie mógłby być zrobić, ludzi, jak on, pełnych poświęcenia i rozumiejących tak dobrze, jak on, potrzeby społeczne i drogi, prowadzące do naprawy stosunków. Poddawano się chętnie jego najszlachetniejszemu despotyzmowi, ale myślano też i działano samodzielnie.

Charakteryzując działalność Marcinkowskiego, autor oczywiście musiał rozpisać się o „Pomocy Naukowej,“ czerpiąc także

1) Żywot i zasługi dr. Karola Marcinkowskiego. Poznań, 1891.

z powyżej wspomnianej monografii. Ocenił ją trafnie, lecz dołączył do jej historyi nietylko nasze „Towarzystwo Pomocy Naukowej dla dziewcząt,“ „Towarzystwo Naukowej Pomocy zachodniopruskie,“ ale nawet „Towarzystwo Czytelni Ludowych,“ zdaje się, jakoby na to tylko, aby swoim niemieckim czytelnikom wykazać, że Towarzystwa polskie, pod wpływem idei Marcinkowskiego zorganizowane, wydają na cele oświaty rocznie 110 do 145 tysięcy marek. Obrachunek niezmiernie dowolny i do pewnego stopnia tendencyjny.

II.

Jeżeli przyznaliśmy prof. Bernhardowi, że historyczną część „Pomocy Naukowej“ przedstawił obiektywnie, to nie możemy tego powiedzieć, aby wnioski, które wysnuł ze sprawozdań rocznych dyrekcji, były trafne i zgodne z duchem i intencjami tej perły naszych towarzystw. I tak np., zaznacza autor tę okoliczność, że na 132 synów rzemieślników tylko 72 synów włościańskich pobiera stypendya i twierdzi, że gdy żądano od dyrekcji, aby się więcej zajmowała tą młodzieżą, zarząd się temu sprzeciwiał. Na czem autor opiera to twierdzenie, trudno odgadnąć; ale że ono jest mylne, nie ulega najmniejszej wątpliwości dla każdego bezstronnego obserwatora, bo wiemy, że dyrekcya towarzystwa nie wybiera sobie stypendystów z żadnej warstwy społecznej, a synowie włościan do pewnego stopnia bywają nawet protegowani, o ile pilnością na to zasługują.

Trudno też odgadnąć, jakim sposobem autor skonstruował sobie twierdzenie, że towarzystwo stara się zatrzymywać swoich stypendystów w prowincyi i że „w tem usiłowaniu dyrekcya wykonuje niejako funkcyę biura pośredniczącego.“ Nigdy i nigdzie w sprawozdaniach dyrekcji nie mógł się autor dopatrzeć faktycznych danych na swoje twierdzenie—wyjął to chyba z rządowych „berichtów,“ gołosłownych twierdzeń i podejrzeń z prawdą niezgodnych. Gdy stypendysta skończy swoje studia i przestaje pobierać wsparcie, dyrekcya już się nie pyta dokąd on skieruje swoje kroki i prawie zawsze traci go z oczu.

Słuszność trzeba przyznać autorowi za jego spostrzeżenia—dla polskiego społeczeństwa nie nowe—że „Naukowa Pomoc“ umia-

ła sobie zakreslić ściśle granice swej działalności i nigdy ich nie przekracza.

„Polskie organizacje—mówi Bernhard—skłonne są do rozciągania się w bezbrzeżnych planach, które wywołują zamieszanie i działaniu odbierają siłę. Każda polska „liga“ czy to „Straż“ chciały być naraz wszystkim, chciały dać kulturę duchową, pomoc prawną, ekonomiczne poparcie, posady rozdawać, polityką się zajmować, słowem: robić naraz wszystko... „Naukowa Pomoc“ zaś uczy, jak należy ścieśniać zakres działalności i pracować tem systematyczniej.“

Niemiecki autor wypowiedział nam gorzką prawdę, mimo dosadnych doświadczeń przeszłości niedość i w ostatnich czasach poza naszym kordonem obserwowaną.

„Naukowa Pomoc“ nie dała się nigdy wciągnąć w łączność z jakimś towarzystwem, choćby co do celów swoich pokrewnem, a nawet identycznym. Nowe, samodzielne jednostki musiały dla siebie tworzyć nowe organizacje, najczęściej wzorowane na „Naukowej Pomocy,“ a ostatecznie z nią połączone—unią personalną...“

Co to jest ta „unia personalna?“

Zapóżyczony w historii wyrażenie ma oznaczać w tym razie, że jedni i ci sami ludzie różnym stowarzyszeniom służą swoją pracą, przewodniczą im, organizują je i sami tym sposobem stanowią między nimi łącznik.

Autor utworzył sobie tutaj formułkę i gwałtem naciąga do niej najróżnorodniejsze objawy naszej pracy organicznej, byleby wykazać—system. A system ten, zdaniem niemieckiego autora, polega na tem, że „unia personalna“ jest podstawą naszej pracy społecznej — „bez niej cała masa polskich instytucyj i stowarzyszeń nie stanowiłaby organicznej całości.“

Na podstawie swej formułki o „unii personalnej,“ zbudował sobie Bernhard pewnik, że polskie spółki zarobkowe mają nie tylko ekonomiczne znaczenie, ale są zarazem potęgą polityczną (politische Macht). Nie dla tego, żeby, broń Boże, w politykę się wdawały—nie—Polacy są tak sprytni, że wiedzą bardzo dobrze, co prokuratorem pachnie — ale kierownicy Spółek zarobkowych biorą czynny udział w sprawach politycznych, a tym sposobem „unia personalna“ stanowi pomost pomiędzy pracą ekonomiczną, a walką polityczną. I znów tu zaklina się autor, że przez politykę nie rozumie nic innego, jak tylko czynne, legalne uczestnictwo w sprawach państwowych, do których mieszać się każdy obywa-

tel ma prawo i obowiązek, ale w których prowodyrowie spraw spółkowych muszą brać udział, jeżeli nie chcą wpływu swego w spółkach ekonomicznych stracić, jeżeli wogóle chcą mieć jakiś wpływ („wenn sie überhaupt etwas bedeuten wollen“).

Ta polityczna działalność naszych spółek datuje się, zdaniem Bernharda, dopiero od roku 1893, to jest od czasu, kiedy ks. Wawrzyniak objął kierownictwo polskich spółek zarobkowych, ponieważ przedtem sprawy polityczne miało w swych rękach i samodzielnie niemi kierowało „stronnictwo konserwatywno-klerikalne.“ Odtąd zaś zaczęła się walka ze stronnictwem ludowem.

III.

Oto jeden ze „Schlagwortów“ prof. Bernharda. Nie wytrzymuje jednak krytyki i okazuje się a priori ukutym sofizmatem uczonego niemieckiego, który przyzwyczajony do operowania pojęciami naukowemi, pragnie koniecznie „systemu,“ stworzenia sobie jakiejś konstrukcyi myślowej, w którą mógłby wtłoczyć fakty konkretne.

Drugi taki sofizmat, to „Polska republika chłopska w Księstwie i Prusach Zachodnich“ — także wytwór naukowej fantazyi prof. Bernharda. „Die polnische Bauernrepublik,“ to coś zupełnie nowego dla polskiego czytelnika, to odkrycie nieznanych łądów. Pisarz poważny, profesor, publicysta—z pewnemi zastrzeżeniami—do nas nieuprzedzony, twierdzi na seryo, że „im dłużej śledzi społeczeństwo polskie Księstwa i Prus Zachodnich, tem natarczywiej narzuca mu się nazwa chłopskiej republiki,“ im bardziej sili się nad „trafnem zobrazowaniem polskiej organizacyi, tembardziej widzi się być zmuszonym do unikania nazwy stowarzyszeń, a przyjmowania pojęć, wziętych z organizacyi państwowej.“

Od uniwersyteckiego profesora należałoby żądać, aby tezę tak śmiała, a w oczach czytelnika, z miejscowemi stosunkami obeznanego, wprost fantastyczną, przeprowadził we wszystkich szczegółach i należycie ją uzasadnił.

Zobaczymy, co mówi autor. Najprzód zaznaczyć należy, że w owej „chłopskiej republice“ mieści się nie tylko włościanin polski, gospodarz na roli osiadły, ale i robotnik, szukający zarobku na zachodzie Niemiec, zwyczajny „Sachse“, co już samo owej „chłopskiej“ organizacyi nadaje jakiś dla polskiego ucha

obcy dźwięk, bo każdemu z nas, gdy ów napis przeczyta, przychodzi na myśl, że to jakaś republika à la afrykańskie boery lub coś podobnego.

Według Bernharda wszyscy włościanie należą do tej republiki, a znaleźli się w niej razem wśród walki z kolonizacją i masowej wędrowki na zachód Niemiec na robotę, które to dwa historyczne fakty zeszyły się prawie równocześnie i spowodowały Polaków pruskich do tego, że wyparali przez rząd pruski z roli, rzucili się na inne pole zarobkowania. Tym sposobem w walce o ziemię dotychczasowa budowa historyczna społeczeństwa polskiego tak się zmieniła, że z „oligarchii szlacheckiej“ wytworzyła się „rzeczpospolita chłopska,“ która obecnie na dobre zaczyna się konsolidować. Tę konsolidację wywołuje z jednej strony administracja pruska, z drugiej geograficzne rozpostarcie żywołu polskiego w okolicach z przeważającą ludnością polską. Tu jest jądro owej „chłopskiej republiki,“ tu wpływ jej przeważa—stąd rozchodzi się na kraj cały. Idźmy dalej. Główną siłę społeczeństwa polskiego widzi autor niemiecki w bankach ludowych i spółkach pożyczkowych. A ponieważ tam lud wszystkie inne stany liczbowo przewyższa o 26%, więc stąd wniosek, że „die Bauernrepublik“ stanowi dominującą potęgę *polityczną* społeczeństwa polskiego. Potęgą zaś *ekonomiczną* chłopska polega nie tylko na jego przewadze liczebnej, ale i na tem, że ziemia prawie do połowy jest w rękach chłopów, a choćby i inaczej było, mimo to wpływ i potęga chłopów przeważa, bo wiele większych majątków jest w rękach magnatów, którzy mieszkają zagranicą i wpływu żadnego ani socjalnego, ani politycznego w kraju nie mają. Zresztą niektóre magnackie majątki posiadają tak obszerne lasy, że stanowią one przerwę w komunikacji wiejskiej i dla sąsiednich miast przez to mniejsze mają znaczenie. W ostatnich dwudziestu latach objawiający się widoczny wzrost ekonomiczny miast, jak Środa, Śrem, Września, Ostrowo, Strzelno, Kościan, Lubawa i t. d., pochodzi od okolicznych chłopów, którzy kupują i sprzedają w mieście u Polaka, gdy tymczasem polska szlachta zaopatruje swoje potrzeby w Berlinie lub Londynie.

Tak swoich niemieckich czytelników informuje Bernhard o naszych społeczno-ekonomicznych stosunkach. Dziwnie się to wszystko czyta. Tu i owdzie prawda, ale na ogół biorąc, tej „republiki chłopskiej“ nigdzie dopatrzeć się nie możemy. Jak w każdym społeczeństwie, tak i w naszym, lud liczbowo przeważa, ale zewnętrzna postać, że tak powiemy, fizyczny wygląd i duchowa organizacja naszego społeczeństwa jest jeszcze taką dzisiaj, że mó-

wić o „chłopskiej republice,“ to trochę zawcześnie. Autor daje dość szczegółowy obraz pojedynczych części składowych tej swojej „republiki,“ mianowicie, rozwodzi się nad Kółkami rolniczymi i oczywiście przewodnią w niej rolę im przypisuje, mówi także o organizacjach robotniczych i przy tej sposobności krytycznie rozbiera działalność Towarzystwa św. Izydora—to wszystko należy do formułek autora o owej „rzeczypospolitej,“ ale jakim sposobem dostał się tutaj także ustęp o Towarzystwach przemysłowych i kupieckich, to już pozostanie tajemnicą autora. Towarzystwom tym zresztą Bernhard nie przypisuje żadnego znaczenia, ani ekonomicznego, ani politycznego, i radzi im się przyłączyć do Spółek pożyczkowych albo do Kółek rolniczych. Znamienna jest też uwaga autora niemieckiego, aby się kupiectwo niemieckie nie dało straszyć owym polskim Towarzystwom przemysłowym i kupieckim, bo hałas w gazetach o tych organizacjach, to słomiany ogień—prawdziwa zaś siła organizacyjna Polaków tkwi w Kółkach włościańskich i Spółkach pożyczkowych, które siedzą cicho, a robią swoje.

IV.

Ważną część pracy prof. Bernharda stanowi sprawa naszych Spółek zarobkowych, ważną o tyle, że w walce naszej przeciw zalewowi germańskiemu, Bernhard instytucje te i związane z nimi większe banki, uważa za najskuteczniejszą broń, na której tępi się ostrze skierowanych przeciw ludności polskiej hakatystycznych zamachów. Argusowem okiem śledzi rząd pruski te instytucje, a hakata prześciga się w domysłach: skąd też to biorą się pieniądze, któremi operują nasze „banki ludowe,“ bank związkowy, bank poznańskich przemysłowców i inne nasze instytucje finansowe.

Podjęcie hakatystycznych na ten temat było już bez liku, ale najznamienniejsze to, że banki nasze na obronę zagrożonej egzystencji narodowej czerpią kapitały z zagranicy, a mianowicie z Francji dostają pieniądze zakonów katolickich, przez rząd masonski rozpędzonych. Otóż Bernhard, na podstawie własnych badań, konstatuje, że to jest jedna z tych „legend,“ któremi—jak na wstępie swej książki otwarcie wypowiada—napelniono jego notatnik, gdy się pomiędzy swymi rodakami—Niemcami tutejszymi—informował o miejscowych stosunkach. Gdy go te informacje za-

wiodły — o czem się bardzo prędko musiał przekonać — udał się wprost do naszych Spółek i banków, i tu znalazł nie „legandy,” ale rzeczywistą prawdę.

Prawdy tej szukał nie w „ustawach“ Spółek i banków, bo te oficjalne dokumenty dają zwykle tylko zewnętrzny zarys, fasadę instytucji kredytowej, ale wglądał w książki depozytowe, które mu dopiero dały rzeczywisty obraz ich źródeł finansowych.

Lud roboczy—Sachsengänger—ten, który zarabia na zachodzie w czasie robót sezonowych i zaoszczędzone tam grosze odsyła do domu, lokuje je w Spółkach, nieraz dla tego, że musi upłacać dług, w tych Spółkach zaciągnięty. I to źródło Bernhard uważa za najgłówniejsze, a niezawodne. Niezawodne dla tego, że lud idzie tu za głosem księży, którzy pracują w zarządach naszych Spółek zarobkowych, a znając swoich parafian, dają im wskazówki, gdzie najbezpieczniej pieniądze lokować.

Dalszym źródłem depozytów spółkowych są tak zwane „pieniądze kościelne“ i instytucyjne, często na imię proboszcza lokowane, co—jak Bernhard zaznacza—prawie jest dozwolone. Jeżeli ksiądz przy zakładaniu „banku ludowego“ chce w parafianach swoich i w okolicy banku obudzić z góry zaufanie do nowej instytucji, wtedy często się zdarza, że sam prywatny swój kapitał składa na depozyt. A to — „ciągnie.“

Rozdział ten omawianej przez nas książki, napisany jest zupełnie obiektywnie—bez zamaskowanych podejrzeń, lub ukrytych insynuacji, ale służyć on również musi za dowód, że Bernhardowi istotnie pokazywano księgi depozytowe różnych naszych instytucji kredytowych. Niekoniecznie jednak zgadza się z prawdą twierdzenie p. Bernharda, jakoby za patronatu ks. Wawrzyniaka, zebrania wszelkiego rodzaju towarzystw, tak politycznych, jak i społecznych, używane były do propagandy werbowania Spółkom depozytów. Przesadę też i nieznajomość stosunków widzimy w twierdzeniu autora, że Towarzystwo Pomocy Naukowej lokuje swoje kapitały w Spółkach i że lud widzi w tem zachętę do składania tamże swoich oszczędności. Faktem jest natomiast, że „Naukowa Pomoc“ zasadniczo lokuje swoje kapitały w pewnych papierach publicznych, a te kilkanaście pozycji, które w sprawozdaniach rocznych figurują pod napisem „kapitałów w bankach,” nie były tam umieszczone przez dyrekcję, ale przez ofiarodawców, i muszą tam do czasu pozostać.

„Die Schlachta“ trzymała się do niedawna zdala od banków ludowych, ale gdy rozwój tych instytucji przekonał ją, że one dają i pewność depozytów i potrzeby kredytowe większej własno-

ści ziemskiej także są w stanie zaspokoić, nastąpił zwrot taki, że dziś już *całe* społeczeństwo polskie solidaryzuje się z temi instytucjami kredytowemi. Wielki wpływ w tym kierunku wywiera ks. patron Wawrzyniak, o którym Bernhard mówi, że to jest „ein Gewaltmensch,“ ale taki „der sich selbst vollkommen in der Gewalt hat,“ który sam siebie zupełnie trzyma na wodzy... Charakterystyka nieco drastyczna, ale trafna. A miał prof. Bernhard sposobność poznać bliżej księdza prałata Wawrzyniaka, bo — jak się z książki niniejszej pokazuje — patronat naszych Spółek informował jej autora szczegółowo i nie miał nic wobec niego do ukrywania.

Informacye, dotyczące się „Banku Związku Spółek,“ nie pochodziły od jego ówczesnego dyrektora. Zapatrywania swoje na kwestyę informowania prof. Bernharda o depozytach, rozwinął ś. p. dr. Kuzstelan w artykule „Dziennika Poznańskiego“ № 295 z roku 1905, jako odpowiedź na referat berlińskiej „Vossische Ztg“ o wykładach, które Bernhard wygłosił wobec towarzystwa „Vereinigung für staatswissenschaftliche Fortbildung“ w Berlinie. Bernhard, wówczas docent uniwersytetu berlińskiego, mówił tam o naszych stosunkach finansowych i oświadczył, że stosunki te badał w Poznaniu. Otóż ś. p. dr. Kuzstelan pisze dosłownie: „Możemy też zaręczyć naszej publiczności, że Zarządy naszych instytucyj finansowych w Poznaniu są świadome swych obowiązków i praw, i żaden Zarząd nie pozwoliłby bobrować w książkach bankowych, choćby nawet wierzył, że prof. Bernhard śledzi źródła, z których Polacy czerpią pieniądze, jedynie z pobudek naukowych. Tak naiwnych tu w Poznaniu niema...“

Ś. p. zasłużony kierownik „Banku Związku Spółek“ widocznie nie stanął tu w harmonii ze zdaniem zarządów spółek i innych banków naszych, bo że prof. Bernhard był przypuszczony do ich tajników, nie ulega najmniejszej wątpliwości. Ze zaś w Poznaniu intencyj czysto naukowych u autora niniejszej książki w odnośnych kołach nie podejrzewano, za tem przemawia zdanie znanego działacza społecznego, ks. St. Adamskiego, który w swoim „Ruchu chrześcijańsko-społecznym“ broni Bernharda przeciw Kuzstelanowi z tego względu, że B. jest Niemcem, ale walczy z hakatyzmem, jako Niemiec, dla tego, że hakatyzm rządowych celów nie osiągnie, a za to w szeregi niemieckie wprowadzi czynniki destruktywne i poziom moralny obniży.

W r. 1905 Bernhard jeszcze nie mógł wiedzieć, że przyjdzie „die Enteignungsvorlage!“

O książce tej można by pisać tomy — tyle tam materiału za i przeciw nam — tyle momentów, z którychby czerpać można pogląd, jak cudzoziemiec, na ogół biorąc dosyć nam przychylny, ocenia naszą działalność społeczno-ekonomiczną i jakie stąd dla nas na przyszłość wyniknąć mogą wskazówki.

Prof. Bernhard jest dziś w świecie naukowym niemieckim osobistością bardzo wybitną. Młody ten — 32 lat zaledwie liczący — uczonego ekonomista, obecnie wykładający ekonomię polityczną na uniwersytecie w Kolonii, otrzymał w ostatnich tygodniach aż dwie wokacye na katedry, mianowicie do Fryburga i do Tubingi, a zawdzięcza to ostatniemu dziełu swojemu o stosunkach ekonomicznych polskich, które w Niemczech zrobiło wielkie wrażenie. Bernhard jest doktorem praw i ekonomii politycznej, studyował w rodzinnem mieście swym, Berlinie, pod Wagnerem i Schmolle-rem, a w końcu w Monachium. Na początku r. 1903 habilitował się w Berlinie, a w rok później powołano go do Akademii poznańskiej, stąd zaś do Gryfii, a następnie do Kolonii. Jest to oryginalny ekonomista, który studyował także naukę budowy maszyn i pracował praktycznie w fabrykach metalurgicznych w Esslingen i Aschersleben. Już po opublikowaniu owego „standard work“ o kwestyi polskiej, wydał książkę „O metodach zarobków robotniczych.“ W ogólności zajmuje się z predylekcyą kwestyami wielkiego przemysłu.

DR. IGNACY ZIELEWICZ.

Cyprian Norwid, eine Auswahl aus seinen Werken, übersetzt und eingeleitet von J. P. d'Ardeschah.

Wydawać w czasach polakofobii niemiecki przekład utworów polskiego autora, jest do pewnego stopnia śmiałością i ryzykiem, którego jednak nie uląkł się p. J. P. d'Ardeschah (pseudonim Jana Kaczkowskiego), zebrawszy w sporą i wytwornie wydrukowaną książkę tłumaczenia własne kilku nowel i rozpraw Cypryana Norwida.

Piękny tom, ozdobiony fototypem bardzo udatnego wizerunku poety według oryginału Fr. Siedleckiego, zawiera obszerny wstęp biograficzno-krytyczny, nakreślony przez samego tłumacza i przekład ośmiu drobniejszych, ale nader charakterystycznych prac Norwida. W tym wstępie tłumacz, nieco za gorąco, ale ze szczerą wiarą w swoje słowa, przedstawia czytelnikom niemieckim ów

wielostronny talent polskiego poety, epika, liryka, dramaturga, malarza, rysownika i rzeźbiarza w jednej osobie, ubolewając nad krzywdą i niesprawiedliwością współczesnych, którzy go zapoznali i ocenić należycie nie potrafili. Zarzut ten nie jest całkowicie słuszny; talent Norwida w początkach jego twórczości znajdował i w Warszawie entuzjastycznych nawet wielbicieli, którzy z wielką przesadą nie wahali się przepowiadać mu najświetniejszej przyszłości i żegnając go na wyjeździe zagranicę, wołali do niego w rymowanych zachwytach: „Orle Norwidzie, twój wiek, co idzie!”

Wiek przeszedł, ale nie stał się wiekiem Cypryana Norwida, który w dalszym rozwoju swej twórczości na żadnym polu nie spełnił pokładanych w nim nadziei i nie zdobył się ani na jedno dzieło prawdziwie wielkie, genialne, doskonałe, któreby go, jako poetę, malarza lub rzeźbiarza, postawiło na równej wyżynie z „wybranymi“ wśród współczesnej plejady pisarzy i artystów naszych.

Indywidualność była oryginalna, niepospolita na swoją epokę jaskrawa i dziwaczna, która odbijała od innych wielu, to prawda; ale była w niej zarazem jakaś organiczna wada, jakiś brak, jakiś rozdźwięk, który nie pozwolił jej zarysować się w zwartych konturach jasnej, wyrazistej fizyognomii duchowej; twórczość jego sprawia do dzisiaj wrażenie po większej części mętnych, chaotycznych i poszarpanych wizyj, obrazów, szkicowanych z temperamentem i rozmachem wprawdzie, ale nie wykończonych, mglistych, uderzających oko przyzwyczajone do harmonii linii i tonów kleksami jaskrawych farb i strzępami porwanego rysunku.

Symbolizm Norwida, zwłaszcza w późniejszych jego utworach, miał w sobie coś z owych zagmatwanych łamigłówek, których rozwiązywanie dręczy i nuży nawet najsprytniejszy umysł, tem bardziej, że nie obiecuje wielkiego zadowolenia z rezultatu takich wysiłków myślowych. Rozgryzanie orzechów zbyt twardych, ale często pustych, nie należy do zajęć ani przyjemnych, ani pożytecznych; nic dziwnego zatem, że szerszy ogół czytelników, wielbicieli prawdziwej poezji i krytyków nie chciał sobie wyłamywać zębów na tego rodzaju kokosach Norwidowych.

Pan d'Ardeschah dobrze zrobił, że z utworów tego „zapoznanego geniuszu“ wybrał rzeczy najzrozumialsze i najprzystępniejsze dla czytelników niemieckich, każąc im na słowo wierzyć, iż „dzieła i żywot Norwida są jak zagrzebana świątynia, którą trzeba ostrożną ręką z rumowiska i piasku odkopywać.“

Upatrując duchowe pokrewieństwo jego z Chopin'em i Nietzschem, przy pewnych zastrzeżeniach, co do tego drugiego, przepowiada mu w przyszłości wpływ na polską sztukę, czegooby może

polski czytelnik ze względu właśnie na jej dobro i zdrowy, normalny rozwój nie tak bardzo znów mógł sobie życzyć.

W każdym razie niemiecki tłumacz podzielił rzeczyciwistą zasługę z polskim wydawcą utworów Norwida, redaktorem „Chimery,” Miriamem, że wydobył na światło dzienne zapomnianą lub nieznaną puściznę jego ducha i talentu, pozwalając swoim i obcym przyjrzeć się dokładniej tej ciekawej i zajmującej osobistości poety, po którym dotąd tylko głucha tradycja utrzymywała się w literaturze.

I jeszcze jedną zasługę ma tłumacz niemiecki: oto w gładkim, bardzo poprawnym przekładzie—powiedziećby można—uprzyśpnił Norwida tym, którzy go w oryginale czytać nie mogą, a gdyby mogli, pewnymi właściwościami stylu i składni autora uczuwaliby często znużenie przy tej lekturze. Dziwna rzecz, ale w tłumaczeniu p. d'Ardeschaha i nowele, i filozoficzne rozprawy Norwida wydają się jakieś zrozumialsze, płynniejsze w toku słów i myśli, lżejsze w stylu i fakturze, chociaż nie tracą nic z charakterystycznych cech i wierności oryginału.

Wielką tą zaletą celuje proza przekładów; mniej szczęśliwie udało się tłumaczenie poezji, zwłaszcza wiersza „Dlaczego“ w noweli „Stygmata;“ dbałość o rymy wydłużyła i przewlokła treściwe i zwarte strofy Norwida.

Obszerny tom zawiera nowele: „Cywilizacja,“ „Stygmata,“ „Tajemnicę lorda Singelworth,“ „Ad Leones!,“ „Bransoletę,“ „Garść piasku,“ „Ostatnią z bajek“ i filozoficzną rozprawkę o „Milczeniu.“

Druku i papieru w tem wydawnictwie niemieckiem mógłby Norwidowi nie jeden większy poeta polski u nas pozazdrościć.

M. G.

Kronika miesięczna.

Komitet jubileuszowy Słowackiego. — Zamknięcie „Oświaty“ wileńskiej. — Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników rolnych. — Towarzystwo Biblioteki publicznej. — Prawda o żargonie.

Sprawa uczczenia setnej rocznicy urodzin Juliusza Słowackiego weszła w Warszawie na grunt konkretny. Oto zawiązał się Komitet, który ma zająć się wszechstronnem i szczegółowem obmyśleniem sposobów najgodniejszego uczczenia pamięci poety w Warszawie i w całym kraju.

Pierwszą czynnością tego Komitetu będzie niewątpliwie określenie i ustalenie stosunku do Komitetu lwowskiego, który, jak wiadomo, na własną rękę rozpoczął już działalność. Porozumienie takie jest zupełnie możliwe, a że jest konieczne, więc powinno być jak najrychlej przeprowadzone ku uspokojeniu zainteresowanej w tej chwili opinii publicznej, która oczekuje od Komitetu warszawskiego stanowczego słowa.

Oczywiście, że prace, podjęte już przez Komitety lwowski i krakowski, oraz zamierzone przez nowoorganizowany Komitet warszawski, który ma działać w porozumieniu z galicyjskimi, są dopiero w stadium przygotowawczem. Zbyt doniosłą chwilą w duchowem życiu narodu będzie obchód takiej rocznicy; zbyt poważna odpowiedzialność zacieży na tych, którzy podejmują się chwili tej nadać treść najgłębszą i najwspanialszy blask zewnętrzny, ażeby plan zarówno samej uroczystości, jak związanych z nią przedsięwzięć, zmierzających do utrwalenia w społeczeństwie czci dla poety, — mógł się wyłonić z powierzchownych i pośpiesznych uchwał. Jeden wszakże moment tego obchodu wystąpił już dziś na czoło wszystkich projektów — sprowadzenie z obczyzny zwłok Słowackiego.

Myśl ta, powstała dawniej wśród młodzieży galicyjskiej, musiała z natury rzeczy wcielić się do programu upamiętnienia stu-letniej rocznicy urodzin poety; wcieliła się zaś tak żywo, że już przedsięwzięto starania u rządu francuskiego o wydobycie z obcej ziemi prochów twórcy „Anhellego.“ Zdawałoby się zatem, że wobec przesądzonej prawie kwestyi przewiezienia do kraju szczątków poety, sprawa przybierze tylko formy szlachtetnego współzawodnictwa o posiadanie tych szczątków i wyrazi się w naturalnym zupełnie dylemacie: Kraków lub Warszawa. Myliłby się jednak ten, ktoby tu zakonkludował: *tertium non datur*. Znalazła się bowiem trzecia niespodzianka, ujawniona w głosach, które tu i owdzie wyraziły najprzód wątpliwość, czy wogóle należy sprowadzać zwłoki Słowackiego, a w rezultacie doszły do wniosku, że to sprowadzenie będzie „przedwczesne.“

Jakąż drogą logicznego rozumowania wyłonił się ten wniosek? Wywody ciekawe i pod wielu względami charakterystyczne tem są znamiennejsze, że głoszą je gorący wielbiciele Słowackiego. Wygląda to na paradoks; ale w tym paradoksie tkwi właśnie cała oryginalność argumentacji. „Nie wyciągajmy rąk po prochy Słowackiego, dopóki duch jego między nami nie zamieszka. A on jeszcze wśród nas nie mieszka; nie znamy Słowackiego, nie rozumiemy go, nie dojrzeliliśmy do obcowania z jego wielkością. Gdy się staniemy godni tego obcowania, kiedy cały naród wchłonie w siebie duszę poety, wtedy dopiero wolno nam będzie myśleć o zdobyciu jego popiołów.“ Tak mniej więcej brzmi wyrok, pod który podciągnięto nietylko Warszawę, upośledzoną Abderę, ale i Kraków, uznane Ateny Polski: dwie całe dzielnice dawnej Rzeczypospolitej nie dorosły do zaszczytu pogrzebania u siebie szczątków Słowackiego.

Trzeba-ż tu dowodzić całej chimerycznej sztuczności tych argumentów? Krzywdzą one poprostu społeczeństwo polskie, krzywdzą i poetę, o którego kult tak bardzo chodzi głosicielom takich poglądów. Któż z nich, z ręką na sercu, zdecyduje się twierdzić, że na ziemiach polskich nieznaną jest „Kordyan,“ „Beniowski,“ „Anhelli;“ że nikt się tam nie rozkoszował cudną liryką „W Szwajcaryi,“ nie zadrżał wobec tragizmu „Ojca zadżumionych;“ że nikogo dreszcze nie przebiegały przy czytaniu „Grobu Agamemnona“ i że teatr nie zapoznał szerokich mas z największym tragedkiem polskim, przedstawiając im „Lillę Wenedę,“ „Balladynę,“ „Mazepę,“ „Maryę Stuart,“ „Horsztyńskiego;“ kto zechce dowodzić, że Słowacki, nie wyłączany nigdy w sercach i umysłach polskiego ogółu z nieśmiertelnej trójcy, nie panował tam na ró-

wnych prawach ze swymi towarzyszami trójwielkości? Zdaje nam się, że dla każdego, kto zwróciwszy się ku niedalekiej wcale przeszłości okiem niezamąconem „prądami“ i „nastrojami“ chwili bieżącej, uprzytomni sobie dobę, kiedy „Dziady,“ „Nieboska“ i „Kordyan,“ wchłaniane w tajemnicy, przy dzwiah zamkniętych, jednakowem uczuciem wstrząsały całe pokolenia, jednaką myślą unosiły je „nad poziomy“ — dyskusya na tym gruncie nie da się utrzymać. Na inny też zgoła grunt przenoszą spór dyskutujący, rozciągając w osobliwszy sposób pojęcie „całości“ społeczeństwa w stosunku do poety i kurcząc równie dziwnym trybem pojęcie „całej“ twórczości poety w stosunku do społeczeństwa. Istotny bowiem sens owej „niedojrzałości“ ogółu polskiego, jego „niedorośnięcia“ i „nierozumienia“ przezeń poety, a co za tem idzie, sceptycyzm co do naszej tęsknoty za prochami Słowackiego, redukuje się do powściągliwej postawy tego ogółu wobec „Króla-Ducha,“ „Samuela Zborowskiego,“ „Genezy z Ducha“ i wogóle wobec dzieł lub fragmentów z ostatniej doby twórczości poety, w których jakoby taić się ma najgłębszy tej twórczości wyraz. Za jednym tedy zamachem, z krzywdą poety, odsunięto na dalsze, prawie podrzędne plany szereg najpiękniejszych jego utworów i odsądzono społeczeństwo polskie, z jego krzywdą, od zdolności obcowania z poetą za to jedynie, że te właśnie arcydzieła szczerzej i silniej odczuwało i miłowało — a wszystko z racyi, że wielkość „Króla ducha,“ tragizm „Samuela Zborowskiego“ i filozofia „Genezy z Ducha,“ sporne dotąd, nawet wśród wielbicieli Słowackiego, nie stały się w masach artykułem wiary.

Wątpli kunszt tych rozumowań wyszedłby dopiero na jaw z całą jaskrawością, gdybyśmy je zastosować chcieli niepodzielnie do wielkiej trójcy naszych poetów. Trzebaby wtedy zapytać, czy naród, który pogrzebał na Wawelu prochy twórcy „Konrada Walleroda,“ „Grażyny,“ „Pana Tadeusza,“ „Dziadów,“ a pommiki dźwignął mu na całym obszarze Polski, uczył w nim Mickiewicza z „Improwizacyi,“ Mickiewicza z wizyi księdza Piotra, z tajemnic imienia „czterdzieści cztery,“ z „Książ Pielgrzymstwa,“ z „Książ narodu“ i z „Kursów literatury słowiańskiej,“ trzebaby zbadać, czy „Irydyon,“ „Niedokończony poemat“ tak bezpośrednio, jak „Nieboska,“ „Noc letnia“ lub „Pokusa,“ zespoliły duszę polską z twórczością Krasińskiego; a jeżeli nie, to dla czego milczą o tem ci, co mówiąc o Słowackim, każą nam bić się w piersi i powtarzać: „Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego!?“ Dla czego to, co „wybaczono“ społeczeństwu w stosunku do Mickiewicza i Krasińskiego ma być zarzutem, gdy

chodzi o twórcę „Króla Ducha?“ Miałożby to oznaczać jakieś pod secesyjnym sztandarem przeciwstawienie jednego z trzech Wielkich tamtym Dwóm, których dotychczas w trójjedynem królestwie poezyi polskiej łączyła z tym Trzecim jedna wspólna idea?

Nie chcemy tego przypuszczać; nie chcemy zwłaszcza w tej chwili, kiedy myśl ogółu wyteżać się powinna ku zwalczaniu zewnętrznych przeszkód, jakie z konieczności napotkać by musiała realizacya projektu przewiezienia zwłok do Warszawy. Epizod z ową osobliwszą protestacyą, jest chyba wytworem ogólnego zamętu, który paradoksowi daje rewolucyjną władzę nad najpoważniejszymi umysłami. Miejmy więc nadzieje, że minie bez śladu i nie zatamuje szkodliwie akcyi, potrzebującej wyjątkowej rozwagi.

Niezależnie od kwestyi sprowadzenia prochów wielkiego poety i pochowania ich w ziemi ojczyściej, wysuwa się już w tej chwili wśród zagadnień, obchodzących ogół, kwestya obchodów jubileuszowych w takiej formie, w jakiej tego wymaga stanowisko Słowackiego w narodzie i w naszej wielkiej poezyi romantycznej.

Zostawiając pierwszy głos w tej mierze Komitetowi, nie będziemy w tej chwili roztrząsali sprawy szerzej. Wrócimy do niej, bądź onawiając projekty Komitetu, bądź dając głos innym, przychodzącym z zewnątrz pomysłom. Na razie podkreślamy tylko z uznaniem fakt, że postawiony został przez Warszawę pierwszy krok na drodze spełnienia ciężącego na niej oddawna obowiązku: złożenia widomego hołdu wielkiemu poecie. Oby ten hołd mógł wypaść jaknajświetniej i jaknajuroczyściej.

*

*

*

Jednym z dokumentów chwili, oddanej całkowicie na pastwę wzmagającej się reakcyi, jest ogłoszony niedawno protokół urzędowy o zamknięciu w Wilnie Towarzystwa „Oświata.“

Charakterystyczne, końcowe ustępy tego protokołu brzmią, jak następuje:

„Śledztwo ustaliło, że:

„1-o Koła Towarzystwa „Oświata“ w różnych punktach gubernii otworzyły szkoły z językiem wykładowym polskim, bez należytego w tym celu upoważnienia ze strony władzy naukowej i z pogwałceniem ustawy o instytucjach naukowych i zakładach szkolnych.

„Jednocześnie Towarzystwo „Oświata“ pozwoliło sobie na otwieranie i innych kulturalnych i opiekuńczych zakładów, bez zachowania prawideł, wskazanych przez prawo.

„2-o Zarząd T-wa wbrew § 32 przepisów czasowych o związkach i stowarzyszeniach z dn. 4 marca 1906 r. nie zawiadomił ani gubernatora, ani policmajstra o zmianach, które nastąpiły w składzie T-wa dn. 1 grudnia 1907 r.

„3-o Cała biurowość T-wa, sprawozdania i rachunkowość jest prowadzona w języku polskim, oprócz sprawozdań, przeznaczonych dla zarządu gubernialnego. Cała przytem korespondencja T-wa, prowadzona w lokalu, nie zakomunikowanym władzom, jest tak niedokładna i niekompletna, iż nie można sądzić o działalności T-wa z tych czynności jego Zarządu. Z tej samej również przyczyny istniejący Komitet Nadzorczy nie może pełnić włożonych nań obowiązków.

„Na zasadzie wyżej wzmiankowanych danych Komisya gubernialna musiała wywnioskować, że Tow. „Oświata“ w swej działalności pominęło prawo i nie wypełniło obowiązujących je zgodnie z ustawą tegoż T-wa warunków działalności.

„Opierając się na tem i zgodnie z § 34 przepisów czasowych o związkach i stowarzyszeniach, zarazem zważywszy, że Towarzystwo „Oświata“, we właściwym czasie zawiadomione o wszystkich nieprawidłowościach powyższych, nie usunęło ich przecie, Komisya gubernialna na posiedzeniu z dn. 28 lutego r. b. uchwaliła: Wileńskie Towarzystwo Polskie „Oświata“ ze wszystkimi jego kółkami oraz podległemi mu instytucjami — zamknąć.“

*

*

*

Wśród instytucyj, których rozwój powinien interesować szersze koła, należy się bliższa uwaga Towarzystwu wzajemnej pomocy pracowników rolnych.

Jesteśmy krajem rolniczo-przemysłowym, a obecnie, podczas przesilenia fabrycznego, kto wie, czy nie więcej rolniczym, niż przemysłowym. Tak, czy inaczej, ogromna ilość ludzi pracuje u nas w rolnictwie i na niem swój byt opiera. Każde gospodarstwo większe zatrudnia kilku, kilkunastu lub kilkudziesięciu fachowych rolników, nie mających żadnej własności i zabezpiecze-

nia, a zależnych całkowicie od swoich sił, które przecież z biegiem czasu wyczerpują się, nikną i stawiają niejednego na krawędzi nędzy.

Zapobieżenie tej nędzy — oto cel zasadniczy Towarzystwa.

Pragnie ono współdziałać osobom, pracującym w rolnictwie, leśnictwie, ogrodnictwie, lub przemyśle wiejskim—w zabezpieczeniu starości i polepszeniu bytu zarówno pod względem materialnym, jak i ogólnie kulturalnym.

Dla osiągnięcia tego celu, Towarzystwo, jak mówi jego ustawa, reprezentuje, broni i popiera materialne interesy i moralne sprawy pracowników rolnych, udziela zapomóg swym członkom i ich rodzinom, pomaga w wyszukiwaniu pracy, dostarcza pomocy prawnej, pośredniczy w załatwianiu sporów, zakłada szkoły, czytelnie, biblioteki, urządza wykłady, odczyty i pogadanki, prowadzi wydawnictwa, organizuje wycieczki dla zwiedzania wystaw i gospodarstw wzorowych, jako też przedsięwzięrze wszelkie inne środki w celu podniesienia poziomu wiedzy zawodowej pracowników rolnych.

W dalszych swoich planach Towarzystwo ma na widoku zabezpieczenie swym członkom i ich rodzinom bytu w razie utraty zdolności do pracy z powodu choroby, kalectwa, starości lub śmierci żywiciela rodziny. Dążenie to swoje pragnie ono urzeczywistnić przez wytworzenie instytucji wzajemnych ubezpieczeń, jako też zakładanie kół: pożyczkowo-oszczędnościowych, posagowych, pogrzebowych, zapomogowych, oraz stowarzyszeń spożywczych.

W tym celu Towarzystwo ma prawo nabywać i zbywać nieruchomości, zbierać fundusze, zawierać umowy i zobowiązania, prowadzić sprawy sądowe, przyjmować ofiary, zarówno jak i zapisy testamentowe, czyli, wogóle mówiąc, spełniać wszelkie transakcje cywilne i handlowe.

Działalność Towarzystwa rozciąga się na całe Królestwo Polskie. Prowadzi ono tę działalność za pośrednictwem specjalnych oddziałów i kół prowincjonalnych, rządzących się własnym regulaminem.

Członkami rzeczywistymi Towarzystwa mogą być zamieszkujące w Królestwie Polskiem osoby bez różnicy stanu i płci, pracujące bądź na swoim, bądź na cudzem, jednakowo więc pracodawcy, jak i pracownicy.

Towarzystwo działalność swoją już rozpoczęło, a najwybitniejszym tej działalności momentem jest zorganizowanie i wprowadzenie w ruch wydziału pośrednictwa pracy, który odegrać mo-

że wybitną rolę w unormowaniu podaży i popytu na pracę w rolnictwie naszym.

Pośrednictwem w wyszukiwaniu pracy zajmuje się Wydział główny przy Radzie Towarzystwa i oddziały prowincjonalne. Z usług Wydziału głównego i oddziałów prowincjonalnych korzystać mogą pracodawcy bez ograniczenia, a z pośród pracowników tylko członkowie Towarzystwa.

Wydział główny pośredniczy specjalnie w wyszukiwaniu posad dla pracowników rolnych wyższych kategorii (pełnomocników, administratorów dóbr, rządców większych folwarków, rachmistrzów, nadleśnych i t. d.), dla pracowników zawodowo wykształconych i specjalistów, niezbędnych w gospodarstwie i przemyśle rolnym; dla wszelkich kategorii pracowników rolnych, pragnących przenieść się z miejsca na miejsce na większej przestrzeni i dla całych partyj tak zwanych *robotników sezonowych* płci obojga. Zaś oddziały prowincjonalne pośredniczą w wyszukiwaniu pracy dla pracowników wszelkiej kategorii, lecz tylko w okręgu działalności poszczególnych oddziałów i mogą wykraczać po za obręb tych okręgów albo po porozumieniu się z odpowiednimi oddziałami prowincjonalnymi, lub też za pośrednictwem Wydziału głównego.

Warunki pośrednictwa zarówno w Wydziale głównym, jak i w Oddziałach prowincjonalnych dla pracowników rolnych są następujące: przede wszystkim pracownik, zwracając się czy to do Wydziału głównego, czy do Oddziału prowincjonalnego o pośrednictwo w wyszukaniu posady, musi być członkiem Towarzystwa, następnie, o ile żąda więcej, aniżeli 50 rb. rocznego wynagrodzenia, winien na rzecz Wydziału głównego lub oddziału prowincjonalnego, zależnie od tego, gdzie poszukuje posady, uiścić wpisowe 25 kop., jeżeli żąda 50—100 rb.; 50 kop., jeżeli 100—250 rb.; 1 rb., w granicach wynagrodzenia 250—500 rb.; 2 rb., 500—1000 rb. i 3 rb., wyżej 1000 rb. Prócz tego wszyscy pracownicy, z wyjątkiem robotników sezonowych, po otrzymaniu posady za pośrednictwem Wydziału głównego lub Oddziału prowincjonalnego wnoszą na rzecz jednego lub drugiego, zależnie od tego, który dał im pracę, dodatkową opłatę w odpowiednio odsetkowym stosunku, uzależnionym od unowionego rocznego etatowego wynagrodzenia w gotówce, a mianowicie: otrzymujący do 250 rb. płacą 2%, od 250 do 500 rb. — 3%, od 500 do 1000 rb. — 4%, wyżej 1000 rb. — 5%. Robotnicy sezonowi opłacają tylko po otrzymaniu pracy po 1 rb. od osoby.

Pracodawcy z usług Wydziału głównego pośrednictwa pracy i Oddziałów prowincjonalnych korzystać mogą bez ograniczenia i bezpłatnie, z wyjątkiem poszukujących robotników sezonowych. Wtedy opłacają koszty ich podróży w jedną stronę, oraz przy zgłoszeniu po 1 rb. za każdego robotnika, zwrotne w razie niedostarczenia.

W razie sporów wynikłych pomiędzy pracodawcą a poszczególnymi pracownikami, lub też pomiędzy pracodawcą a partiami robotników, skontraktowanych za pośrednictwem Wydziału głównego, Wydział, na zażalenie pracowników lub robotników, bada w miarę możliwości sprawę bezpośrednio, albo też za pośrednictwem Oddziałów prowincjonalnych i stara się o polubowne załatwienie nieporozumienia, a gdy to się okaże niewykonalnym, stosuje wszelkie możliwe środki w celu usunięcia lub złagodzenia możliwej krzywdy.

Oprócz wydziału pośrednictwa pracy, który, zwłaszcza z uwagi na wychodźstwo sezonowe do Prus, posiada w tej chwili znaczenie bardzo poważne, Zarząd Towarzystwa organizuje jeszcze szereg innych wydziałów, jak: doraźnej pomocy, emerytalny, kursowy, rozjemczy i pożyczkowo-oszczędnościowy.

Z tego widać, że stawiające dopiero pierwsze kroki Towarzystwo, jest w przededniu szerokiej i ożywionej akcji, która może zgrupować we własnym, dobrze zrozumianym interesie, liczne rzesze pracodawców i pracowników rolnych.

W kraju, który, jak nasz, tak małą jeszcze posiada ilość obywateli przezornych, umiejących patrzeć po za dzień jutrzejszy, działalność tej instytucji w kierunkach, wyłuszczonych powyżej, jest bardzo potrzebna i bardzo pożyteczna, to też nie wątpimy, że za taką właśnie uzna ją ogół i szczerze będzie popierał usiłowania Zarządu, tak jasno i wyraźnie zdającego sobie sprawę z tego, co dla pracowników rolnych przede wszystkim uczynić powinien.

*

*

*

Od roku działa w Warszawie Towarzystwo biblioteki publicznej, które postawiło sobie za cel zaspokojenie jednego z braków Warszawy, jako ogniska polskiej myśli naukowej i społecznej,

braku nieznanego w tak jaskrawej formie żadnemu z wielkich miast Europy środkowej. Stolica, w której murach przebywa kilkadziesiąt tysięcy ludzi wykształconych i drugie tyle kształcących się, nie posiada dotąd biblioteki publicznej, mogącej chociaż w części odpowiedzieć potrzebom społeczeństwa.

Biblioteki prywatne, oczywiście potrzeb tych zaspokajać nie mogą, dostępność zaś księżnicy uniwersyteckiej jest tak problematyczna, że z konieczności powstała myśl stworzenia zbiorowem siłami zasobnej czytelnicy publicznej, z chwilą, gdy warunki zmieniły się o tyle, że o urzeczywistnieniu długo kielkującego projektu można było mówić poważnie.

Jakoż czytelnicy taką założono pod egidą Towarzystwa biblioteki publicznej.

Zawiązkiem jej była istniejąca od r. 1890 Czytelnia naukowa, wiodąca ciężki żywot w warunkach doby wczorajszej, a więc z jednej strony skrzepowana zupełnie w szerszej działalności przez władze oświatowe i policyjne, z drugiej—próżno usiłująca przełamać obojętność ogółu, niedość dobrze poinformowanego nawet o jej istnieniu.

Czytelnia znajdowała się od r. 1904 pod protektoratem pp. prof. Dicksteina, hr. Adama Krasińskiego, bar. Leopolda Kronenberga, Stanisława Leszczyńskiego i Henryka Sienkiewicza. Dzięki zabiegom tych protektorów, instytucja otrzymała na lat trzy zapomogę stałą, składaną przez grono ofiarodawców. Jednocześnie postanowiono czynić starania o pozwolenie na zawiązanie Towarzystwa biblioteki publicznej, które, jak to z góry ułożono, przejąć miało czytelnicy i prowadzić ją dalej pod swoją firmą.

W r. 1906 ustawa Tow. bibl. publicznej została zatwierdzona, a w dn. 2 lutego 1907 r. dawna czytelnia przeszła na własność tej instytucji.

Skromne, ale dodatnie są owoce działalności Towarzystwa, pracującego nad rozszerzeniem i podniesieniem swojej księżnicy.

W pierwszym roku istnienia przybyło do biblioteki 1500 dzieł naukowych, otrzymanych drogą kupna i ofiar. Między innymi zbiory biblioteki wzbogaciły instytucje takie, jak Akademia Krakowska, Muzeum Ossolińskich we Lwowie, Biblioteka Kórnicka, Biblioteka publiczna w Petersburgu, Instytut wschodni we Władystoku, Cesarskie Towarzystwo archeologiczne i t. d. Wiele darów pochodziło także od osób prywatnych.

W czerwcu roku ubiegłego przystąpiono do inwentaryzacji i katalogowania zbiorów Biblioteki. Prócz inwentaryzacji głównej układają się dwa katalogi kartkowe, jeden, jak zwykle, we-

dług nazwisk autorów, drugi zaś przedmiotowy, według najbardziej ustalonego dziesiętnego systemu klasyfikowania.

Jako specjalny dział Biblioteki, postanowiono zgromadzić prace profesorów i uczniów Szkoły Głównej, jako ogniska, którego siła promieniotwórcza trwa jeszcze dotąd.

Czasopism naukowych czytelnia w roku sprawozdawczym otrzymywała 150. Jako własne wydawnictwo, Biblioteka wypuściła w świat bardzo starannie redagowany przez St. Dembego *Przegląd biblioteczny*, zwracający na siebie uwagę zarówno formą wykwintną, jak i treścią gruntownie opracowaną.

Środki, jakimi rozporządza Towarzystwo, niestety, są jeszcze zbyt skromne, aby mogły mu pozwolić na szerszy rozwój.

Przychód w roku sprawozdawczym wynosił zaledwie rb. 9850 kop. 14, rozchód rb. 6051 kop. 21. Na rok 1908 preliminowano: w rozchodzie rb. 7000, w dochodzie zaś tylko rb. 4700. Na pokrycie niedoborów ma być użyta pozostałość z r. 1907, o ile nie przybędą nowe wpływy.

Jeszcze niepomyślniej przedstawia się liczba członków Towarzystwa. W roku ubiegłym było ich tylko 228. Jest to tak mało, że tylko rozterką chwili i upadkiem, w ostatnich zwłaszcza czasach, energii zbiorowej można sobie tłómaczyć fakt tej obojętności, z jaką inteligentny ogół zachowuje się wobec instytucji tak pożytecznej.

Pocieszającym natomiast, jak na początek, jest wykaz frekwencji czytelnii publicznej, a mianowicie w styczniu roku ubiegłego korzystało z niej osób 1509, w lutym 940, w marcu 1067, w kwietniu 1032, w maju 639, w czerwcu 788, w lipcu 495, w sierpniu 663, we wrześniu 1253, w październiku 1588, w listopadzie 1567 i w grudniu 1658.

Cyfry te świadczą wymownie o powodzeniu, jakim cieszyłyby się czytelnia w razie odpowiedniejszego jej urządzenia w specjalnym gmachu bibliotecznym, zaopatrzonym we wszystko, co sprzyja pracy.

Gmach taki zapewne wybuduje kiedyś Towarzystwo—w tym jednak tylko wypadku, jeżeli obecna liczba jego członków wzrośnie przynajmniej dwudziestokrotnie; przy dotychczasowej rezerwie społeczeństwa nie można nawet marzyć o tem i zachodzi obawa, że jeżeli obojętności tej jakiś szczęśliwy w życiu naszym przełom nie usunie, to Czytelnia Tow. bibliot. publicznej będzie przez długie lata prowadziła podobnie suchotniczy i niepewny żywot, jaki był udziałem jej poprzedniczki, Czytelnii naukowej.

Sprawa żydowska, która w ciągu ostatnich lat kilku się zaogniła, nie przestaje zajmować szerszej opinii, aczkolwiek—trzeba to podkreślić—z rozmaitych względów zbyt mało o niej mówi się publicznie. Większość naszych pism prosto nie chce tej sprawy dotykać z obawy, aby jej nie zaognić jeszcze bardziej. Jest to dowód, że chwila obecna, aczkolwiek o wiele spokojniejsza od bezpośrednich swoich poprzedniczek, bynajmniej nie usposabia jeszcze do przedmiotowego traktowania „bólów zbiorowych.“ Ale od czasu do czasu tu i tam zjawi się jakiś skromny przyczynek do kwestyi żydowskiej, oświetlający ją z tej lub z innej strony w sposób godny uwagi. Przyczynki takie podaje najczęściej „Izraelita,“ pismo niewątpliwie zasłużone w kierunku informowania społeczeństwa polskiego o tem, co się wśród Żydów dzieje, bo gdyby nie jego informacje, często bylibyśmy zupełnie pozbawieni wiadomości prawdziwych o nastrojach zarówno masy żydowskiej, jak i pewnych odłamów inteligencji izraelskiej. Dlaczego? Rzecz do zrozumienia łatwa, jesteśmy bowiem i od tej masy, i od tej inteligencji oddzieleni przez żargon, niedostępny dla nas, a stanowiący mur nie do przebycia pomiędzy nami a kilku milionami naszych współmieszkańców, z którymi dzielimy nie od dzisiaj wszystko złe i dobre. Temu to właśnie „murowi“ granicznemu poświęcił świeżo uwagę w „Izraelicie“ autor, ukryty pod pseudonimem *Świadomego*, dając nam obraz istotnego stanu, w jakim znajduje się obecnie żargon.

Sądząc według dzienników żargonowych, jakie wychodzą w Warszawie, oraz wedle powodzenia, jakie miały w przekładach polskich niektóre utwory literatury żargonowej (np. nowele i dramaty Szalomy Asza), możnaby przypuszczać, że ta literatura weszła w okres bardzo żywego rozwoju.

Są to jednak tylko pozory. Bo posłuchajmy, jaką „prawdę o żargonie“ wypowiada p. *Świadomy*.

Przedewszystkiem zaznacza on, że literatura żargonowa, posiadająca kilka wybitnych, lecz zupełnie kultury pozbawionych talentów, stoi pod względem jakości i ilości dzieł drukowanych na tak niskim stopniu rozwoju, że dorównywać jej pod tym względem może chyba tylko... literatura Eskimosów.

Dość powiedzieć, że wszystkie dzieła beletrystyczne, naukowe, informacyjne i, jednym słowem, całą literaturę tej 3—4 milionowej ludności, mówiącej *tylko* żargonem, a mieszkającej w środku Europy kulturalnej—można kupić za kilkadziesiąt rubli po nominalnej cenie księgarskiej.

Pomimo niesłychanej taniości tych książek, prywatnych zbiorów książek żargonowych niema wcale. A są one rzeczywiście tanie, bo cała literatura żargonowa posiada zaledwie 89 książek, kosztujących ponad 20 kop., dzieł zaś, których cena przekracza sumę kop. 50, jest tylko sztuk 37; więcej niż rubla kosztują już tylko zbiorowe wydawnictwa dzieł najznakomitszych pisarzy, parę kilkotomowych powieści, oraz roczniki literackie, a tych wszystkich, razem wzięwszy, jest 45.

Nie najlepiej wobec tego dzieje się literatom żargonowym.

Co do prasy, to pism żargonowych jest obecnie w całym Królestwie Polskiem 4. Pisma te, podobnie jak książki, są niezmiernie tanie. Z pomiędzy trzech dzienników—dwa t. j. *Idisches Tageblatt* i *Lodzer Nachrichten* kosztują po 1 kop. (numer pojedynczy), a tylko jeden dziennik *Unser Leben* kosztuje 2 kop., numer zaś jedyne w całym piśmiennictwie żargonowym tygodnika ilustrowanego kosztuje 7 kop. Wartość publicystyczną, informacyjną, literacką i artystyczną tych pism uważa jednak p. Świadomy za znacznie niższą od ich ceny.

Nieco lepiej stoją pisma, wychodzące w Cesarstwie. Jedno z nich, *der Frajnd*—wychodzi w Petersburgu, kosztuje 3 kop. numer, i dokłada do swego istnienia znaczne sumy, czerpane z zarobków, osiągniętych dawniej, kiedy pismo to było jedynym codziennym organem żargonowym w całej Europie. Drugie, wychodzące w Wilnie, kosztuje 2 kop., jest znacznie gorsze od *Frajnda* i prowadzi żywot suchotniczy, jutra niepewny. Poza tem jeszcze wychodzi w Wilnie tygodnik *Das Idische Folk*, który jest oficjalnym organem syonistów rosyjskich i otrzymuje stałą, znaczną zapomogę od centralnego komitetu syonistycznego. Zresztą i ten tygodnik wychodzi bardzo nieregularnie i z dużemi przerwami z powodu częstego wyczerpania funduszu nakładowego. Oto cała literatura i prasa t. zw. żargonowa.

Ważniejszą od nich ostoją żargonu jest teatr.

Początki teatru żargonowego sięgają r. 1876. Podwalina jego powstała w kraju największych prześladowań Żydów, w Rumunii, gdzie ojciec, a właściwie wynalazca teatru żargonowego, Abram Goldfaden (pierwotnie Goldenfudin), założył pierwszą scenę, nazwaną przez współczesnych i późniejszych kronikarzy bardzo oględnie „bałaganem“ (co znaczy mniej więcej tyle, co „buda jarmarczna“). Aktorzy tego „teatru“ byli to chłopcy, najdosłowniej zebrani z bruku, sprzedający zapalki, terminatorzy, wyrzuceni z warsztatów za złe sprawowanie i t. d. Aktorzy ci musieli zarazem być i aktorkami, gdyż dziewczęta do żydowskiego teatru

żadną miarą nie dały się zwabić. Abram Goldfaden, skądinąd człowiek dużego talentu i siły woli, był wtedy w jednej osobie organizatorem, dyrektorem, nauczycielem, reżyserem, autorem sztuk scenicznych we wszystkich możliwych i niemożliwych kierunkach, kompozytorem, a często nawet i aktorem, „gdy zaszła ku temu nieubłagana konieczność.“

Już ta sama okoliczność, że lud, zdaniem p. Świadomego, tak inteligentny i o takich zdolnościach artystycznych, jak żydowski, otrzymał swój rzekomy teatr tak późno i to z inicjatywy oraz wyłącznymi siłami jednostki, świadczy najwymowniej, że instytucja ta nie była nieodzowną potrzebą odnośnych sfer, że nikt nie odczuwał jej braku, nikt się też zbytnio powstaniem żydowskiego teatru nie cieszył, a nawet pisma peryodyczne owego czasu, sprawom żydowskim w jakimkolwiek języku poświęcone, traktowały ten fakt biernie, nawet z niechęcią.

A uczęszczała do teatru Goldfadena masa żydowska najciemniejsza, najniewybredniejsza, uczęszczała zresztą tak leniwie i nielicznie, że zaledwie wojna rosyjsko-turecka się skończyła, Goldfaden przeniósł swój najpierwotniejszy z pierwotnych teatrów do Odessy (1878 r.).

Tam warunki zmieniły się odrazu. Przedsiębiorstwo zaczęło przynosić zyski, gdy nagle w r. 1883 wydany został cyrkularz ministerjalny, zabraniający występować trupom żargonowym na całym obszarze państwa. Od tej chwili poczynają one grywać tu i owdzie już nie jako żydowskie, ale jako „niemieckie,“ wreszcie przenoszą się do Ameryki. Dopiero po manifestie październikowym, trupy żydowskie znów otrzymują prawo wystawiania sztuk w obrębie państwa rosyjskiego.

Repertuar teatrów żargonowych uważa p. Świadomy za bardzo słaby i nikły. Pół biedy jeszcze było w Odesie, ale i tam trwalsze powodzenie zyskały sobie jedynie produkcye znanego wówczas generalnego dostawcy sensacyjnej i ogłupiającej lektury dla najciemniejszych warstw żydowskich, przysłowiowego do dziś dnia autora setki t. zw. „Hechst interessante Romanen“—Szonera (N. M. Szajkiewicza). Sztuki sceniczne tego autora są jeszcze teraz stale na repertuarze teatrów żydowskich. I doprawdy, trudno sobie wyobrazić coś bardziej niekulturalnego, bałamutnego, szarlatańskiego i wogóle pod każdym względem partackiego od tych estetycznie i etycznie ohydnych fabrykatów.

Wogóle żargonowi autorowie dramatyczni nie mają aspiracyj wysokich. Nawet największy i rzeczywisty talent dramatopisarski, Jakób Gordin, przez szowinistów przesadnie nazwany „ży-

dowskim Szekspirem,“ niema snąć ambitniejszego poczucia swęgo rzekomego posłannictwa, jeśli jest w stanie fabrykować z całą świadomością mnóstwo lichych naśladownictw, nawet wyraźnych plagiatów. Podobnie myśli o swoim posłannictwie pisarza żargonowego Szalom Asz, który sztuk swoich żydowskiim teatrom grać nie pozwala, bo nie mogą tak mu płacić za nie, jak teatr rosyjski lub polski.

A wobec tego nie jest rzeczą dziwną, że teatr żydowski, zainicyowany przez jednostki, nie znalazł materyalnego lub choćby ideowego poparcia ze strony prasy i publiczności.

Publiczność żargonowa z początku szła do teatru na zabawę, potem na zabawkę, a teraz—nie chodzi wcale, z wyjątkiem chyba tych widzów, dla których teatr polski lub choćby rosyjski jest zupełnie niedostępny, a takich, stosunkowo do ilości teatrów żydowskich, jest za mało.

Prasa żydowska, stwierdzając fakt zupełnej obojętności żargonowców dla ich literatury i sztuki, wygłasza z tego powodu hołbowe skargi, nie umiejąc wszakże dociec przyczyny tego stanu.

W jednym z ostatnich numerów *Unser Leben* feljetonista tej gazety, wspominając o ślepnącym i z głodu umierającym największym poecie żargonowym, Morysie Rosenfeldzie, tak pisze w końcu:

„Jak żyją wszyscy nasi pisarze, dziennikarze i artyści? Gdzie jest publiczność, która ich czytuje i nimi się interesuje? Jakie jest ich honorarium i co ich w przyszłości oczekuje? Codzień powstają nowe pisma i wydawnictwa i codzień upadają! Tylko w rzadkich wypadkach egzystencyę ich na miesiąc liczyć można. Znikają, a ludzie, którzy żyli z pióra, którzy sercem swoim służyli narodowi, pozostają bez chleba.“

„Albo czyż jest na świecie coś bardziej rozpaczliwego od żydowskiej trupy. Kończy się zawsze tem, że niema o czem z miasteczka wyjechać, że aktorzy zastawiają ostatnie co mają, lub poprostu zbierają jałmużnę. A w tymże czasie przyjeżdża do tegoż miasteczka trupa, choćby tylko małoruska, grywająca melodramaty, i żydzi zapehniają teatr po brzegi. I nietylko w małych miasteczkach, ale widzimy toż samo w takich miastach, jak Łódź i Warszawa. W Łodzi znajdują się w jednym miejscu trzy teatry, dwa „nieżydowskie“ i jeden żydowski. Pierwsze dwa są przepełnione żydami, a w żydowskiim gra się dla pustych ławek. Tak samo dzieje się w dwóch żydowskich teatrach warszawskich.“

Zmierzając do konkluzyi, autor cytowanego artykułu tak formułuje swoje wnioski:

Oto jest stan zdrowia chorego żargonu. A co najważniejsza, że stan ten nie jest przemijający, przeciwnie, dla tych, którzy stoją bliżej łoża chorego, nie ulega żadnej wątpliwości, że żargon jest nieuleczalny, bo jego ciało i duszy brak najgłówniejszych pierwiastków życia: krwi i wiary w potrzebę życia.

Żargon nie jest nikomu potrzebny, nikt go nie kocha, udają dlań miłość jedynie agitatorzy-nacyonaliści, używający najczęściej innego języka.

Jako język wyłącznie nieoświeconych mas żydowskich, istnieje on nie dzięki swej literaturze, prasie i sztuce, których prawie nie posiada, ani też dzięki ideowym wyznawcom, propagatorom i mecenasom, których absolutnie niema, lecz jedynie z powodu braku oświaty.

Tak brzmi „prawda o żargonie,“ wypowiedziana przez bezstronnego Żyda, nie ulegającego zaślepieniom i namiętnościom, które wszak niedawno jeszcze domagały się niemal uznania w Polsce żargonu za drugi „język krajowy.“ Tak wygląda ten drugi język, będący w dodatku na naszym gruncie o tyle szkodliwszym, niż jakikolwiek inny, że nietylko oddziela jedną część mieszkańców kraju od drugiej, ale jest zwyrodniałą płonką niemieczyzny.

Jest w społeczeństwie żydowskiem oświeconem zupełne zrozumienie tego, jest jednak i pewien odłam tego społeczeństwa, który się łudzi, że żargon posiada jakiekolwiek dane do istnienia i że *quand-même* utrzymać go należy.

Cui bono? Tego nie wypowiada nikt jasno, p. Świadomy jednak udowodnił zupełnie pozytywnie, że znaczenie tej gwary dla sprawy oświaty i kultury żydowskiej jest żadne, chyba więc idzie tu tylko o zachowanie nadal istniejącej obecnie odrębności, o utrzymanie w swej sile tego przedziału, jaki istnieje pomiędzy społeczeństwem polskiem, a współżyjącem z niem społeczeństwem żydowskiem.

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Karol Jurkiewicz.

Dnia 15 marca r. b. zmarł w Warszawie ś. p. dr. Karol Jurkiewicz, profesor b. Szkoły Głównej i b. uniwersytetu warszawskiego, jeden z najbardziej zasłużonych przyrodników-pedagogów, którego dobroczynny wpływ na kilka z rzędu pokoleń młodzieży polskiej powszechnie był uznany.

Urodzony w r. 1822 w Wólce Zawieprzyckiej, w ziemi lubelskiej, ś. p. Jurkiewicz ukończył wydział przyrodniczy na uniwersytecie w Petersburgu, specjalizując się głównie w mineralogii i geologii.

Powróciwszy do kraju w r. 1844, jako 22-letni młodzieniec rozpoczął już nauczanie w ówczesnem gimnazyum realnem, które przez długi szereg lat służyło potem, jako najlepsza szkoła średnia.

Po zamknięciu tego gimnazyum, w r. 1862, Jurkiewicz powołany został na profesora do Szkoły Głównej, a po przemianowaniu jej na Cesarski Uniwersytet Warszawski pozostał w dalszym ciągu na katedrze, piastując jednocześnie godność dziekana wydziału fizyko-matematycznego.

Po 35-letniej służbie wyszedł w r. 1879 do emerytury, nie przestał jednak pracować.

Oprócz zajęć pedagogicznych, ś. p. Jurkiewicz pisał wiele w swojej dziedzinie, redagował pismo specjalne „Przyroda i przemysł“ był długoletnim członkiem czynnym redakcyi „Wielkiej Encyklopedyi ilustrowanej“ i z zamiłowaniem gromadził i uzupełniał swoje zbiory przyrodnicze, które ofiarował następnie Muzeum warszawskiemu.

Zmarł, dożywszy sędziwego wieku, otoczony powszechną czcią ze strony licznych dawnych swoich uczniów. Z jego śmiercią schodzi do grobu jeden z ostatnich i rzadkich już dzisiaj typów uczonego i profesora Polaka dawnej daty.

Ś. p. Jan Ludwik Popławski.

Dnia 12 marca r. b. zmarł w Warszawie wybitny publicysta doby współczesnej, ś. p. Jan Ludwik Popławski.

Urodzony dn. 17 stycznia 1854 r. w Bystrzejowicach, w lubelskiem, ś. p. Popławski ukończył gimnazjum w Lublinie, poczem wstąpił na wydział prawny uniwersytetu w Warszawie. Jako student IV kursu, zamieszany był w proces polityczny Adama Szymańskiego i w r. 1878 deportowany do gub. Wiackiej. Po powrocie do kraju, rozpoczął zawód publicystyczny, początkowo w „Prawdzie“ Al. Świętochowskiego, następnie w „Głosie,“ który przez szereg lat redagował wspólnie z Józefem Potockim (Maryanem Bohuszem). W r. 1894 aresztowany i osadzony w cytadeli warszawskiej za udział w manifestacyi na cześć Kilińskiego, Popławski spędza 13 miesięcy w więzieniu, a uwolniony stamtąd za kaucyą, wyjeżdża do Lwowa, gdzie rozwija ożywioną działalność jako współredaktor „Przeglądu wszechpolskiego“ i redaktor popularnego pisma ludowego p. t. „Polak.“ W r. 1900 staje Popławski na czele wychodzącego we Lwowie dziennika „Wiek XX,“ a następnie obejmuje kierownictwo polityczne „Słowa polskiego.“ Po wojnie rosyjsko-japońskiej, z chwilą zmiany warunków w Królestwie Polskiem, Popławski wraca do Warszawy, gdzie wspólnie z dzisiejszym pośłem Warszawy, R. Dmowskim, redaguje „Gazetę Polską.“ Na tem stanowisku trwał do chwili, w której śmierć przecięła pasmo jego dni pracowitych. Zmarł w 54 roku życia, przedwczesnie strawiony ciężką chorobą.

Popławski był człowiekiem partyi, a stąd ocena jego działalności publicystycznej wymaga szerokiego tła, na którego podmalowanie w krótkim wspomnieniu pozgonnem niema miejsca.

Reprezentując myśl narodową i jej odłam, ujęty w ramy programu stronnictwa demokratyczno-narodowego, Popławski był jednak nietylko dla ludzi, wyznających zasady tego stronnictwa, pisarzem pożytecznym i wysoko cenionym. Pracę jego, opartą na czystej służbie idei, na szczerości przekonań, gorącym umiłowaniu ojczyzny i krzepiącej wierze w jej przyszłość, oceniali także i inne obozy, nie wyłączając tych, które stały na wręcz przeciwnych stanowiskach i zwalczały panujący dziś w kraju kierunek polityczny. Powszechne też uznanie, z jakim prasa polska pochyliła żalobną chorągiew nad trumną zmarłego publicysty, jest najlepszą miarą człowieka i pisarza.

Z. D.

Wiadomości Naukowe, Literackie i Bibliograficzne.

Z AKADEMII I TOWARZYSTW NAUKOWYCH.

— BIBLIOTEKA JAGIELLOŃSKA W 1907 r. Sprawozdanie roczne Biblioteki Jagiellońskiej za rok 1907 wykazuje przyrost 5,920 tomów na 2,920 dzieł, 5 rękopisów, 1 inkunabuł i 1,040 map, tak że Biblioteka Jagiellońska posiada ogółem 389,826 tomów, 6,240 rękopisów, 2,632 inkunabułów, a 3,239 map geograficznych, pomijając już inne zbiory (nuty, medale i t. p.). W przyroście tym z r. 1907 najważniejszą rubrykę stanowią dzieła zakupione (2,600 tomów), a wśród nich publikacje tego rodzaju i znaczenia, jak: „*Patrologia graeca et latina*“ ed. Migue, 382 t., *Bronn*: „*Classen und Ordnungen des Tierreichs*“ (skompletowanie), „*Corpus inscriptionum graecarum*“ (skompletowanie), *Günther*: „*Photographisches Album der Ausstellung prähistorischer Kunde Deutschlands*“ (wielkiej wagi i dla polskiej archeologii) i przeszło tysiąc *map sztabu generalnego* austriackiego, odnoszących się do Austrii, Węgier i Europy środkowej. Prócz tego kupiono cały szereg dzieł zasadniczych do t. zw. *biblioteki podręcznej* z zakresu medycyny i wszystkich gałęzi nauk przyrodniczych, a w pewnej mierze i prawa, które to działy naukowe w bibliotece podręcznej w tym właśnie roku zostały właściwie utworzone i skompletowane. Przyrost w roku 1907 jest nieco mniejszy w ilości dzieł (jednak nie tomów) niż w r. 1906, ale też publikacje, powyżej wspomniane, były bardzo kosztowne i nadto dochody Biblioteki były w r. 1907 w taksach wpisowych znacznie mniejsze niż w r. 1906. Dość, że z ogólnej sumy dochodów 33,069 kor., wydano na zakupno samych książek 27,682 kor., z czego 11,000 kor. pochłonęły wyłącznie naukowe czasopisma.

Dzięki adaptacyom, poczynionym w gmachu Nowodworskiego, rok 1907 stał się epokowym pod względem *frekwencji*. Uczyniono wszelkie możliwe ułatwienia pracującej publiczności, oddano do jej użytku obszerną aulę, rozszerzono liczbę godzin na porę popołudniową i wieczorną (4—7), a to wszystko spowodowało olbrzymi wzrost korzystających. Podczas gdy w latach ubiegłych liczba czytelników wynosiła 5 — 7,000 rocznie, a około 50 dziennie, to

w r. 1907 wzrosła ona do 22,905 czytelników, którym wydano 83,624 tomów, t. j. przeciętnie 112 czytelników, a przeszło 400 tomów dziennie. Świadczy to chyba najdobitniej o znaczeniu adoptacyj w r. 1906 przeprowadzonych. I liczba wypożyczeń wzrosła znacznie w tym roku, choć nie w tym stosunku, co liczba czytelników, właśnie z powodu dobrego urządzenia czytelnicy. Wynosiła ona 12,656 tomów na 1,672 osób uprawnionych do pożyczania (w 1906: 8,819—1,169) w miejscu, nie wchodząc już w szczegóły stosunków Biblioteki z pozamiejscowymi zakładami. Pamiętano i o tem w zarządzie Biblioteki, by publiczność nie ucierpiała z powodu zbyt długiego przetrzymywania pożyczonych dzieł; pod tym względem skrupulatnie pilnowano terminów zwrotu bez względu na osoby i ściągano energicznie zaległości dawniejsze, nieraz kilkoletnie, przyczem senat akademicki udzielał zarządowi poparcia. Mimo to pozostaje tu jeszcze wiele do życzenia.

Adaptacje gmachów Biblioteki trwały w dalszym ciągu. Ponieważ słaba jest nadzieja, aby Biblioteka Jagiellońska uzyskać mogła w najbliższych latach jeżeli już nie nowy gmach, to przynajmniej nowożytnie i racjonalnie urządzone magazyn, Dyrekcya starała się przeto przynajmniej obecne gmachy jaknajlepiej wyzyskać. Dokonano zatem wewnętrznej przebudowy południowego skrzydła gmachu Nowodworskiego i urządzono tam osobną *czytelnię dla rękopisów* z 4 dużymi stolami na 16 miejsc, a dalej osobne *biuro melioracyjne* złożone z 2 sal (pracowni i podręcznego magazynu), wreszcie pokój dla intrologatora. Gmach ten połączony został z „Collegium maius”—które odtąd służy już tylko na skład książek — żelaznemi schodami i drzwiami. I w składach książek wprowadzono szereg ważnych ulepszeń: odrestaurowano dawne mieszkanie dyrektora, gdzie pomieszczone zostaną czasopisma, a także kilka sal na parterze (dawne muzeum archeologiczne), które przechowają bezpiecznie obfity zbiór rękopisów. Wprowadzono nadto w salach księgozbioru szafy na środku sal zamiast gablotek, zyskując w ten sposób znowu na miejscu. Prócz tego urządzono cały szereg środków bezpieczeństwa na wypadek pożaru: oprócz hydrantów i żelaznych konstrukcyj, także *automat pożarny* połączony wprost ze stacją pożarną i wzywający ją na ratunek w danej potrzebie.

Po takim udostępnieniu i zabezpieczeniu zbiorów przystąpi zarząd Biblioteki w ciągu roku bieżącego do drugiego i najważniejszego zadania, jakim jest uporządkowanie i rewizya całego tego olbrzymiego, 400-tysięcznego zasobu (Przesygnowanie i inwentaryzacja). Praca to ciężka, na kilka lat rozłożona i może się z wielką szkodą dla zakładu i dla publiczności przewlekać, jeżeli dyrekcya Biblioteki nie uzyska należytego powiększenia sił w urzędnikach i służbie, o co się u powołanych władz oddawna, a dotąd z małym skutkiem upomina.

— **TOWARZYSTWO NAUKOWE WARSZAWSKIE.** W dn. 28 lutego r. b. odbyło się w lokalu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego posiedzenie Wydziału II-go nauk antropologicznych, społecznych, historii i filozofii, pod przewodnictwem Witolda Załęskiego. Członek Wydziału, Prezes Towarzystwa Aleksander Jabłonowski, rozwinął program zamierzonych na dłuższy okres czasu

prac wydziałowych, przede wszystkim zaś podniósł konieczność dalszego wydawnictwa „Źródeł dziejowych,” zapoczątkowanego przez mówcę, oraz przez ś. p. Pawińskiego i wydawnictwa „Atlasu historycznego Rzeczypospolitej Polskiej.” Wydawnictwa te wraz z funduszem specjalnym, przez ofiarodawców na nie przeznaczonym, oddane będą pod opiekę Towarzystwa. W dalszym ciągu wspomniał mówca o wydawnictwie źródeł do historii szkolnictwa polskiego, którein również Wydział zająć się powinien. Na taką dłuższą metę obiecano wydawnictwo „Kodeksu dyplomatycznego Warszawy i całego Mazowsza.” W dalszej dyskusji poruszono sprawę stosunku Wydziału do innych nowopowstałych pokrewnych zadaniami swemi Towarzystw: Miłośników historii i Prawniczego.

W dn. 5 marca r. b. w lokalu Towarzystwa Naukowego Warszawskiego odbyło się drugie z kolei posiedzenie Wydziału III-go nauk matematycznych i przyrodniczych pod przewodnictwem p. J. Eismonda. Wysłuchano komunikatów: p. F. Kucharzewskiego: „Piśmiennictwo techniczne polskie: 1) Architektura;”—p. J. Tura: „Spostrzeżenia nad blastodermami rzekomeimi;”—p. Z. Wóycickiego: „Aplanospori a Cladophora fracta var. horrida;”—p. J. Lewińskiego: „Warstwy Oxfordskie na zboczu zachodnim gór Ś-to Krzyskich;”—p. S. Dicksteina przedstawienie pracy p. A. Oxera: „O układach sił wewnętrznych, posiadających siłosród.”

— TOWARZYSTWO NAUKOWE PŁOCKIE. 22-go lutego b. r. odbyło się ogólne doroczne zebranie członków Tow. Naukowego Płockiego, na którym przedstawiono sprawozdanie z działalności tego Tow. w ciągu 9-iu miesięcy pierwszego roku istnienia instytucji. Ze sprawozdania okazuje się, że działalność Tow. jest pożyteczna i rozwija się prawidłowo, z pożytkiem nietylko dla miejscowego, lecz i dla szerszego ogółu.

Tow. objęło w posiadanie bibliotekę, ofiarowaną kilka lat temu Płockowi przez ś. p. Józefa Zielińskiego z Łążyna. Biblioteka ta stanowiła księgozbiór rodziny Zielińskich ze Skępego i, jak się okazało ostatecznie, zawiera 15,000 tomów dzieł ze wszelkich gałęzi wiedzy, głównie jednak ze starożytności. Pomiedzy dziełami temi są okazy wysokiej wartości bibliograficznej, a nawet kilka t. zw. białych kruków. Dzięki pracy osobistej p. Stef. Rutskiego i współdziałaniu kilku osób dobrej woli, Bibliotekę Zielińskich doprowadzono do porządku, przynajmniej w najgrubszych zarysach i działach.

Biblioteka stale powiększa się już to przez zakup nowych książek, już to przez weale liczne ofiary. Bogaty jest np. dział wydawnictw peryodycznych, pomiędzy którymi są okazy nadzwyczaj rzadko spotykane nawet w większych naszych bibliotekach.

Tow. utrzymuje stosunki z kilku poważniejszymi instytucjami naukowymi w kraju i krajach ościennych, z którymi wymienia dublety swe i wydawnictwa.

Bardzo dobrze rozwija się również dział muzeum szkolnego, czyli popularnie tu zwane zbiory szkolne, zapoczątkowane jeszcze przed założeniem Tow. Zbiory posiadają już poważny majątek w okazach i przedmiotach, a w ro-

ku sprawozdawczym uczyniły ważny krok w swym rozwoju, bo założyły pracownię przezroczy, tak obecnie pożądaných i poszukiwanych dla wszelkich odczytów i wykładów. Dział ten jest bardzo pożyteczny dla miejscowych stonków oświatowych.

Z likwidacyi majątku po b. Tow. Macierzy Szkolnej, Tow. Naukowe Płockie otrzymało rb. 3,000. Na zebraniu sprawozdawczem uchwalono sumę tę uważać jako kapitał żelazny im. Macierzy, a odsetki obracać na cele oświatowe, głównie na zakładanie biblioteczek po miasteczkach i wsiach.

Tow. przyjęło siłą konieczności niektóre instytucje w Płocku, które poprzednio pozostawały w zawiadowaniu b. Macierzy, np. dom ludowy.

Przychód ze składek członkowskich i z ofiar wyniósł w roku sprawozdawczym rb. 965, rozechód rb. 676.

Do zarządu Tow. wybrano p.p.: Stefana Rutkiego, D-ra Aleksandra Macieszę, Adama Grabowskiego, Dominika Staszewskiego, Bolesława Zdziarskiego i Józefa Szczepańskiego.

Zebranie odbyło się pod przewodnictwem prezesa D-ra Macieszę. Sprawozdanie ogólne z działalności Tow. odczytał A. Grabowski, sekretarz, sprawozdanie biblioteczne p. Rutski, skarbnik i bibliotekarz, sprawozdanie o zbiorach szkolnych p. Zofia Grabowska, członek zarządu tego działu.

W końcu nadmienić należy, iż w r. b. Tow. otworzyło oddziały swe w Sierpcu, Rypinie i Mławie. Oddziały te otwierają biblioteki i domy ludowe.

— BIBLIOTEKA ORD. HR. KRASIŃSKICH. W lutym b. r. Biblioteka Ord. Hr. Krasińskich wzbogaconą została pięknym darem, nadesłanym przez galicyjski Wydział Krajowy. Otrzymała mianowicie cały szereg wydawnictw sejmowych (Protokołów i Allegatów), stanowiących nadzwyczaj cenny materiał do historii parlamentaryzmu w Galicyi. Żadna z bibliotek w Warszawie, a nawet w całym Królestwie, nie posiada tych tyle cennych źródeł. Może przyjdzie czas, kiedy potrzebnem się okaże zapoznanie się z temi materiałami.

W dn. 14 marca b. r. odbyło się *posiedzenie Rady wydawniczej* Biblioteki, przy uczestnictwie J. Eks. Ks. Biskupa Kaz. Ruszkiewicza, Hr. Ordynata Krasińskiego, p. Adama Bonieckiego, Prof. Holewińskiego, Prof. Aleks. Jabłonowskiego, Prof. Tadeusza Korzona, D-ra Stanisława Kętrzyńskiego i Franciszka Pułaskiego. Po odczytaniu przez Hr. Ordynata wspomnienia, poświęconego pamięci ś. p. Aleksandra Rembowskiiego, długoletniego i zasłużonego członka Rady i redaktora wydawnictwa (od 1887 do 1904 r.), zebrani uczcili pamięć zmarłego przez powstanie. Następnie p. Franciszek Pułaski przedstawił Radzie wydane przez siebie trzy tomy wydawnictwa (T. XX, XXI, XXII), obejmujące źródła do poselstwa J. Gnińskiego W-dy Chelmińskiego do Turcyi w latach 1677 i 1678. Wydawnictwo to ozdobione zostało reprodukcjami współczesnych obrazów, przedstawiających sceny tego poselstwa i licznemi facsimilami rękopisów i zawiera Relację Gnińskiego, czytaną na Sejmie 1679 r. Dyaryusz tego poselstwa pisany przez Samuela Proskiego, drugi dyaryusz tegoż z wyprawy pod Chelmyń—i 239 dokumentów, odnoszących się do poselstwa. Materiał ten

pochodzi przeważnie z Bibl. Krasińskich, gdzie znajduje się oryginalna księga poselska Gnińskiego, jakoteż ze zbiorów Bibl. Zamoyskich w Warszawie, gdzie natrafiono na resztki archiwum poselskiego.

Z kolei przystąpiono do omówienia projektów co do następnych tomów wydawnictwa. Sprawę tę referował p. Dr. Stan. Kętrzyński i wykazał, że z rękopisów Bibl. Krasińskich na opracowanie i ogłoszenie w rzezonem wydawnictwie zasługują w pierwszym rzędzie: Materyały do traktatów Andruszowskich, składające się z oryginalnych dokumentów w 4 tomach;—Korespondencya A. Bronikowskiego z 1812 r. także w 4 tomach; — wreszcie Rewizye ziem pruskich z 1565 r. P. Pułaski zaś nadmienił o konieczności podjęcia przez Bibl. Krasińskich wydania materyałów do Konfederacyi Barskiej.

Po dłuższych na ten temat debatach postanowiono wydać w najbliższym tomie Rewizyę ziem pruskich z 1565 r., powierzając tę pracę Dr. Stan. Kętrzyńskiemu, a przygotowując do następnego szeregu tomów materyały do układów Andruszowskich i materyały do Konfederacyi Barskiej.

W końcu postanowiono zaprosić na wakujące w Radzie miejsce p. Ignacego Chrzanowskiego.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

— ATENEUM. Styczeń i Luty. Dedykacya St. Wyspiańskiemu;—Cezary Jellenta: Koncepcye Polski; — Michał Sobeski: Wyspa Cytera; — Józef Kościel-ski: Pamięci Fryderyka Nietzschego; — St. Przybyszewski: Listy miłosne Marianny d'Alcoforado; — Ludomir Różycki: Droga do „Salome”;—Cezary Jellenta: Meduza. Dramat; — Przegląd sztuki i literatury, przez d-ra Kosmoskiego, Florestana, Euzebiusza, Orpiona, Alastora, C. J. i innych;—Bibliografia;—Trzy światłodruki: 1) Głowa Chrystusa, 2) Zły Sędzia, Wita Stwosza, 3) Sąd ostateczny, Dürera — Stwosza.

— KRYTYKA. Luty. (f), La bête humaine; — Leopold Staff; — Radość i smutek szczęścia i chwili; — D-r Bron. Potocki: Kwestya ruska w Galicyi i projekt jej rozwiązania; — M. Markowski: Oni—Pamięci... Poezye; — W. F.: Stef. Żeromskiego „Dzieje grzechu;”—Jan Dąbrowski: Deszcz. Nowela;—M. Turzyna: O miłość. Jeszcze w sprawie referatu p. Rygier-Nalkowskiej;—St. Lack: „Wspomnienia“ o Stan. Wyspiańskim;—Peregrinus Polonus: Luźne uwagi o so-cyalistach i burżujach; — Tad. Dąbrowski: Na marginesach Daniłowskiego „Jaskółki;”— Przegląd prasy polskiej i obcej; — Po zgonie St. Wyspiańskiego; — T. D.: Teatr lwowski;—Lux: Ruch wolnej myśli;—Iro: Nastroje warszawskie;—Sprawozdania naukowe i literackie.

— KWARTALNIK HISTORYCZNY. Zeszyt I. A. Brückner: Co sądzić o „Żywotach Cyryla i Metodego;”—Maryan Łodyński: Udział książąt śląskich w zamachu z r. 1177. Przyczynek do dziejów Bolesława Wysokiego i Mieszka raciborskiego;—Miscellanea;—Recenzye i sprawozdania, przez Tadeusza Smoleńskiego, d-ra Emanuela Świeykowskiego, Ludwika Janowskiego, A. Prochaskę,

Abdona Kłodzińskiego, d-ra Tadeusza Grabowskiego, d-ra W. Semkowicza, d-ra Maryana Goyskiego, Stanisława Zahorowskiego, M. Łodyńskiego, dra Macieja Loreta, Henryka Mościckiego, Walerego P.; — Bibliografia historii powszechnej, przez Eug. Barwińskiego; — Bibliografia historii polskiej przez tegoż; — Kronika, przez tegoż.

— LUD. Organ Tow. Ludoznawczego, zesz. III. Adolf Chybiński: O metodach zbierania i porządkowania melodyj ludowych, Cz. I; — Józef Schmaider: Lud Peczeniżyński (Dok.); — Materiały i Poszukiwania. Stanisław Piotrowicz: Znachorka i wróżka Jewdokia Bojezuk (Dok.); — Józef Schmaider: Garść podań zebranych w powiecie dolinińskim kałuskim; — W. K.: Przymówki i przezwiska rymowane do imion; — Dr. M. Janik: Z dziejów miasteczka polskiego w wieku XVIII; — Stanisław Piotrowicz: Przyczynek do zwyczajów prawnych ludu polskiego przy końcu XVIII stulecia; — Dr. M. J.: Kalendarz staropolski; — Rozmaitości; — Krytyka i Sprawozdania przez Adolfa Chybińskiego, Stanisława Piotrowicza i Mieczysława Tretera; — Sprawy Tow.; — Dodatek: M. Treter: przegląd treści dziesięciu roczników „Ludu“ (Dokończenie).

— PRZEGLĄD NARODOWY. Luty. Z. Balicki: Jedność wewnątrz polityki narodowej; — J. Kucharzewski: Sprawa polska w parlamencie frankfurckim 1848 r.; — B. Lutomski: Dwudziestolecie Jana Popławskiego; — J. Sieniuta: Węzły ekonomiczne; — J. Oksza: Karta z dziejów naszej kultury; — Wł. Łoziński: Życie polskie w dawnych wiekach; — A. Sadzewicz: Przegląd spraw polskich; — B. Wasutyński: Przegląd polityki zagranicznej; — Z prasy; — Varia; — Bibliografia.

— PRZEGLĄD PRAWA I ADMINISTRACYI. Luty. Dr. Wiktor Korn: O dopuszczalności kontraktów dzierżawy praw wydobywania mineralów żywicznych; — Prof. dr. Piotr Stebelski: Proces kryminalny Teofila Wiśniowskiego i towarzyszy o zbrodnię stanu (c. d.); — Dr. Alfred Jendl: Przyczynek do interpretacji międzynarodowego prawa karnego w Austrii (dok.); — Dr. M. Allerhand: Podstęp w procesie (c. d.); — Zapiski literackie przez E. Tilla i d-ra Adolfa Bergera, Praktyka cywilno-sądowa przez d-ra Włodzimierza Sokalskiego, d-ra M. Bribrama, A. D., A. Dolnickiego, d-ra Maksymiliana Frieda i K. S.; — Praktyka karno-sądowa przez M.; — Dodatek: Zbiór ogłoszeń firmowych Trybunałów handlowych.

— RODZINA I SZKOŁA. Styczeń. Julian Dobrzański: Wychowanie fizyczne i higiena szkół; — Mikołaj Haraszkiewicz: Rodzina i szkoła; — Władysław R. Kozłowski: Systemy Słójdu; — Mikołaj Haraszkiewicz: Klasy pomocnicze dla mniej uzdolnionych; — B. Ż.: Pracownie dla dzieci; — Odczwa w sprawie jubileuszowej wystawy dydaktyczno-pedagogicznej we Wiedniu w roku 1908; — Piśmiennictwo, † d-r. Józef Żuliński; — Rozmaitości i ogłoszenia. W dodatku, „Wiedza i praca;“ — M. Haraszkiewicz: Katastrofa w wszechświecie; — Rafiński Tomasz: Główne fazy w rozwoju kartografii; — „Gorzelnik,“ Torf jako opał; — Rozmaitości; — Ogłoszenia.

— ŚWIAT SŁOWIAŃSKI. Luty. Adolf Chybiński: Muzyka polska wśród słowiańskiej; — Franciszek Rawita Gawroński: Droga do niewoli. Ustęp z dzie-

jów kozacko-polskich, I; — Jan Magiera: Bilans czeski za r. 1907; — Recenzje i sprawozdania przez A. B., d-ra M. Szyjkowskiego, Jana Magierę; Sdl.; — Przegląd prasy słowiańskiej, Kronika.

— Wszechniaw i Człowiek. Zeszyt 78, 79 i 90. Dzieje rozwoju przyrody i człowieka. Opracowane pod redakcją K. Kremera. Przekład polski pod redakcją F. Wermińskiego. 2000 ilustracy i tablic kolorowych. Warszawa. 1908 Wydawn. Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów. Skład głów. w ks. E. Wende i Sp. 8-o, str. od 441 — 464, zesz. 79 od 465 — 496; zesz. 80 od 497 — 514 + VII.

BIBLIOGRAFIA.

TEOLOGIA. — FILOZOFIA.

à KEMPIS TOMASZ: O naśladowaniu Jezusa Chrystusa ksiąg czworo. Z łacińskiego przetłómaczył X. A. J. Nowe wydanie. Kraków i Warszawa, 1807. Nakł. Gebethnera i Wolffa. 32-o, str. 491.

PIUS X: Encyklika o zasadach modernistów. Na język polski przełożył wstępem opatrzył ks. Stanisław Okoniewski. Poznań, 1908. Księg. św. Wojciecha. 8-o, str. 54.

SCHEMATISMUS universi cleris saecularis et regularis dioecesis Premisilienis rit. lat. Pro anno domini 1908. Premisiliae, sumptibus cleri dioecesani r. 1., 1907. 8-o, str. 369.

TRZECIAK STANISŁAW, KS. D-R: Pojęcia religijne u żydów za czasów Chrystusa Pana przez... Skł. głów. w księg. A. Juszyńskiego w Przemyślu. 8-o, str. 8.

HISTORIA.

BONIECKI ADAM: Herbarz polski. Tom XI. Zeszyt II. Warszawa, 1908. 4-o, str. od 41 — 80, od Konarscy do Koniecpolsey.

KONOPCZYŃSKI WŁ.: Sejm grodzieński 1752 roku. Lwów, 1907. 8-o, str. 118.

KRAUSHAR ALEKSANDER: Miscellanea historyczne. XXIII. Zamach na dyktaturę Chłopickiego Kartka historyczna z r. 1831. Warszawa, 1908. Nakładem „Przeglądu historycznego.“ Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 27.

OŻEGALSKI KOŚCIESZA JÓZEF: Wspomnienia krwawych czasów z r. 1863. Wyd. nowe. Kraków, G. Gebethner i Sp. 8-o, str. 332.

SCHORR M., D-R: Ważniejsze kwestye w historii semickiego wschodu. Lwów, 1907. H. Altenberg. 8-o, str. 60.

SOBIESKI WACŁAW: Zabiegi Dymitra Samozwańca o koronę polską. Kraków, 1908. Nakł. Ak. Um. Spółka wyd. Pol. 8-o, str. 60.

WASZYŃSKI STEFAN: Laokryci i τὸ κοινὸν δι(χαστήριον) czyli „sędziowie ludu“ i „wspólny sąd.“ Kraków, 1908. Nakł. Ak. Um. Spółka Wyd. Pol. 8-o, str. 21.

HISTORIA LITERATURY.

BRUCHNAŁSKI WILHELM: *Mickiewicz-Niemcewicz*, studium historyczno-literackie. I. Twórczość Mickiewicza do r. 1824. Odbitka z pamiętnika Literackiego poprawiona. Lwów, 1907. 8-o, str. 132.

BRUCHNAŁSKI WILHELM: *Polskie listy miłosne*, ustęp z historii kultury polskiej. I. Listy miłosne średniowiecza polskiego. Lwów, 1907. Odbitka z Przewodnika naukowego i literackiego. 8-o, str. 20.

KWIATKOWSKI REMIGJUSZ: Literatura chińska. Opracował... Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich № 369. Nakładem M. Arcta. 16-o, str. 88.

— Literatura japońska. Opracował... Warszawa, 1908. Książki dla wszystkich 396. Nakład M. Arcta. 16-o, str. 74.

MAZANOWSKI MIKOŁAJ: Charakterystyki literackie pisarzy polskich. XVIII. Seweryn Goszczyński. Lwów-Złoczów, 1908. Nakł. księg. W Zukerkandla. 8-o, str. 93.

SPRAWOZDANIE XXI zarządu głównego krakowskiego Towarzystwa Oświaty Ludowej za rok 1905 i 1906. Kraków, 1907. Nakł. Towarzystwa. 8-o, str. 68.

TUROWSKI STANISŁAW, D-R.: Wespazyan Kochowski na tle współczesnym jako poeta. Lwów, 1908. Nakł. autora. 8-o, str. 124.

UNIwersytet c. k... JAGIELLOŃSKI w KRAKOWIE: Zbiór najważniejszych ustaw i rozporządzeń dla uczniów c. k. uniwersytetu Jagiell. w Krakowie. Ogólne przepisy dla wszystkich wydziałów w skróceniu. Kraków, 1907. Nakł. c. k. Senatu uniw. 8-o, str. 64.

GEOGRAFIA I KRAJOZNAWSTWO.

HOFFMAN KAROL: Odczyty krajoznawcze. II. Nieznane zakątki kraju. (Suwalszczyzna). Warszawa, 1908. Nakł. Pol. Tow. Krajoznawczego. Skł. głów. w księg. Gebethnera i Wolffa. 8-o, str. 32.

SPRAWOZDANIE z czynności Towarzystwa Tatrzańskiego za czas od 4 maja 1907 do 12 lutego 1908. Kraków, 1908. Nakł. Tow. tatr. 4-o, str. 12.

SPIS RZECZY
ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM
z roku 1908.

H I S T O R Y A.

	<i>Str.</i>
PIERWSZY GENERAL-GUBERNATOR KRESOWYCH PROWINCYJ,— przez <i>Michała Rollego</i>	469

SZKICE POLITYCZNE.

RACHUNEK SUMIENIA,—przez <i>Franciszka Morawskiego</i>	1
NIEMCY W GALICJI,—przez <i>G. Smólskiego</i>	17 i 340
SPRAWA MAROKAŃSKA,—przez <i>Bolesława Koskowskiego</i>	111

STUDYA LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

SŁOWACKIEGO LATA OSTATNIE,—przez <i>d-ra T. Grabowskiego</i>	88
RUCH LITERACKI WE FRANCYI,—przez <i>Orvida</i>	138
ROK ZMARNOWANY W TEATRACH WARSZAWSKICH,—przez <i>W.</i> <i>Bogusławskiego</i>	151
PO LATACH WIELU,—przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	176
TRAGEDYA SUMIENIA,—przez <i>W. Gostomskiego</i>	245 i 515
WSPÓŁCZESNY DRAMAT ANGIELSKI,—przez <i>Maryę Rakowską</i>	313
SZTUKA WE FRANCYI,—przez <i>Konrada Ostrowskiego</i>	381
POLSKA SZTUKA STOSOWANA,—przez <i>T. Jaroszyńskiego</i>	546
RUCH UMYSŁOWY W NIEMCZECH,—przez <i>Jana Kaczkowskiego</i>	563

II

L I T E R A T U R A.

Z POEMATU. I. Wiosenne widoki Bugu,—przez <i>Maryę Konopnicką</i> . . .	<i>St.</i> 14
ŁUNA (powieść), — przez <i>Kazimierza Zdziechowskiego</i>	60, 245 i 433
PAN BALCER W BRAZYLII, — przez <i>Maryę Konopnicką</i>	225

K R Y T Y K A.

KAZIMIERZ GLIŃSKI: Królewska pieśń,—przez <i>Henryka Gallego</i>	187
MARYAN GAWALEWICZ: Dwie Baśnie. Wicherek,—przez <i>Z. D.</i>	199
CZERMAK WIKTOR: Ilustrowane dzieje Polski, — przez <i>Edwarda Bogusławskiego</i>	400
Das polnische Gemeinwesen im preussischen Staat. Die Polenfrage von Ludwig Bernhard,—przez <i>D-ra Ignacego Zielewicza</i>	598
Cyprian Norwid, eine Auswahl aus seinen Werken, übersetzt und eingeleitet von J. P. d'Ardeschah,—przez <i>M. G.</i>	609

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Ustawa o wywłaszczeniu. — Rok Słowackiego. — Pomnik Chopin'a.— Liga pomocy przemysłowej w Galicyi i Koło samopomocy przemysłowo-handlowej u nas	203
---	-----

LUTY:

Prace kulturalne i ich „gwiazda przewodnia.“ — Obrady Centralnego Towarzystwa rolniczego. — Likwidacya Macierzy Polskiej.—Polskie Towarzystwo krajoznawcze	410
--	-----

MARZEC:

Komitet jubileuszowy Słowackiego. — Zamknięcie „Oświaty“ wileńskiej.—Towarzystwo wzajemnej pomocy pracowników rolnych.—Towarzystwo Biblioteki publicznej.—Prawda o żargonie	612
---	-----

WSPOMNIENIA POZGONNE.

Ś. p. Julian Dunajewski,—ś. p. ks. biskup Stefan Zwierowicz,—ś. p. Józef Jeziorański,—ś. p. Karol Jurkiewicz i ś. p. Jan Popławski,—przez <i>Z. D.</i>	214 i 627
--	-----------

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ	218
LUTY	423
MARZEC	629

DODATEK „PRACA.“

- PRZY ZESZYCIE STYCZNIOWYM (№ 1): „Ubezpieczenia wzajemne w Królestwie Polskiem“ (dokończenie),—przez *Bolesława Chomicza*.
- PRZY ZESZYCIE LUTOWYM (№ 2): „Rosyjskie budżety państwowe“—przez *M. Łempickiego*.
- PRZY ZESZYCIE MARCOWYM (№ 3): „Rosyjskie budżety państwowe“ (dokończenie),—przez *M. Łempickiego*.
-